891.85
S57
0 ℓ 1933

Henryk Sienkiewicz

LEGJONY

F
51,5721

UNIVERSITY OF ILLINOIS LIBRARY
AT URBANA-CHAMPAIGN
STACKS

DATE DUE

DTIC DEC 07 2005

NOV 23 2005

GAYLORD

PRINTED IN U.S.A.

L E G J O N Y

HENRYK SIENKIEWICZ

LEGJONY

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

WYDANIE NOWE

LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAROD. IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1928

POLISH BOOK IMP. CO., INC.
38 UNION SQ., NEW YORK, N.Y.

I
Si 5-72 l

WŁASNOŚĆ ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Adama Wierzbickiego

891.85
S57
O ł 1933

CZĘŚĆ I.

EN
Liberal Arts Library
De Paul University
548

W KRAJU.

I.

Od lasu, ku dworowi w Różycach szli zaśnieżoną drogą dwaj młodzi ludzie ze strzelbami na ramionach.

Młodszy z nich, Marek Kwiatkowski, szesnastoletni chłopak, o delikatnej, niemal dziewczęcej twarzy i smutnych oczach, wysmukły jak trzcina, wyglądał trochę na pazia, trochę na poetę; starszy, Stanisław Cywiński, rosły, barczysty, rumiany, przedstawiał skończony typ młodego wiejskiego szlachcica.

Rozmawiali tak żywo, że chwilami stawali, jeden naprzeciw drugiego, by tem swobodniej wypowiedzieć, co każdy miał na sercu.

— Nie — mówił Marek — ja całą duszą, całem sercem wyrywam się do nich i nie cofnę się za nic na świecie. Ach! zwłaszcza po tej odezwie Dąbrowskiego!... Wiesz zresztą, że i tak nie mógłbym tu wytrzymać.

— A stryj szambelan? Dlaczego rozmowę z nim odkładasz z dnia na dzień? — zapytał Cywiński.

— Odkładałem, bo nie mogłem mówić otwarcie. A przytem cóż nas o legjonach włoskich dochodziło? Głuche wieści, w których nie było nic pewnego

i którym ludzie zaprzeczali. Mówiono nawet, że i wezwanie Ogińskiego na Wołoszczyznę jest sfałszowane. Teraz co innego. Dziś, a jeśli nie dziś, to jutro, powiem stryjowi, o co chodzi, a co on o tem pomyśli, to mi jest zupełnie wszystko jedno.

— Niekoniecznie. Przecie to twój opiekun, a ty masz dopiero szesnaście lat.

— Siedemnasty.

— Niech i tak będzie, ale stryj trzyma cały majątek w ręku.

— Nie dba o majątek ten, komu droga ojczyzna i chwała.

To rzekłszy, Marek podniósł ku zachodzącemu słońcu swą chłopięcą twarz, zarumienioną od mrozu i dodał:

— A także i ten, kto szuka śmierci.

— Dobrze — odpowiedział z pewną niecierpliwością Cywiński. — Żeby jednak dojechać do Włoch, trzeba mieć za co dojechać, więc, pytam, co zrobisz, jeśli szambelan nie da ci ani grosza?

— Ucieknę, tak jak stoję. Mam dziesięć czerwonych złotych, dwa zegarki po ojcu i własnego konia w stajni. Gdy na niego siądę, nikt nie zapyta dokąd jadę.

— Ja też mam konia, ale tam się konno nie dojedzie. Natomiast w mieszku brzęka mi ledwie kilka złotówek, a od rodziców nie chcę nic brać. Są na świecie Cywińscy, którzy mają coś więcej, niż płótno w kieszeni. Był stary bogacz, podczaszy poznański, a prócz tego i stryjeczny mego ojca siedzi w Lubelskiem na tęgiej fortunie. Ale nam Targowica zabrała

wszystko, a Lubelskie daleko, więc myślałem, że mi pomożesz. Byle do Włoch, to tam już mieszek niepotrzebny. Żołnierz dostaje wikt i broń, a o resztę nie dbam.

Marek zamyślił się i po chwili odpowiedział:

— Stryj szambelan nie będzie się przeciwił. Stryj jest człowiekiem zamożnym. Targowica innym zabrała, a jemu przysporzyła. Kajetanowi też została wioska po matce. Ale Różyce są moje, a Różyce to nie byle co. Gdy dojdę do pełnoletności, trzeba będzie mi je oddać, a ponadto zdać rachunek z funduszu, który nieboszczyk ojciec zostawił w gotówce. Przecie obaj z Kajetanem rozumieją, że jeśli zginę, to wszystko przejdzie na nich. Może tam coś powiedzą, ale szczerze nie będą się sprzeciwiali. Zażądam trzystu dukatów, a w razie mojej śmierci niech biorą Różyce.

— Za połowę tego możnaby na koniec świata dojechać.

— I dojedziemy.

— I będziemy tłukli kajzerlików, aż będzie w niebie słychać.

— A przedtem zobaczymy Włochy, Wielkiego Bonapartego, Dąbrowskiego, wojska nasze i francuskie... Ach! bić się za kraj, wrócić kiedyś z legjonami i nie patrzeć tu codzień na tych miłych krewniaków!... Choćby tylko dlatego, warto wszystko rzucić i iść na kraj świata.

Nastała chwila milczenia, tylko Cywiński wyciął kilka hołubców z radości na myśl o przyszłej wojaczce, poczem rzekł:

— Ależ wy się kochacie ze stryjaszkiem i z Kajetanem! No!

— Nienawidzę ich obu.

— Szambelana rozumiem, ale Kajetan, cóż? Stary Plichta mówi, że to w gruncie niezły człowiek, tylko odludek, mól książkowy i milczek...

— Zaruzumialec i szyderca. Daj mi z nim spokój...

— Owszem, nie przyszyłem go sobie do serca i nie potrzebuję odpruwać — odpowiedział Cywiński.

Poczem, spojrzawszy z pewną przekorą na Marka, potrząsnął głową.

— Ty od pewnego czasu więcej na nich zgrzytasz, niż dawniej.

Marek zarumieniony już od mrozu, zarumienił się jeszcze bardziej i odpowiedział:

— Mylisz się, bo ja nienawidzę ich od czasów Targowicy...

— Byłeś wtedy zupełnem dzieckiem.

— Byłem dzieckiem, ale posłuchaj tylko: ksiądz Lagrange, który wychowywał Kajetana, a później mnie, był Francuz, a jednak tak pokochał nasz kraj, że po wojnie kościuszkowskiej nigdy nie odzyskał już zdrowia i umarł ze zmartwienia. A oni co? Stryj zapisał się po sejmie wielkim do Targowicy, Kajetan zaś niby do niej nie należał, ale do kościuszkowskich szeregów nie wstąpił. Ksiądz chciał wyjechać z Różyc na zawsze, i jeśli został, zrobił to tylko dla mnie, bom był sierotą, a on pokochał mnie, jak ojciec. Ale to wiem, że od Targowicy nie przemówił do stryja ani słowa i zostawił mi, jakby w testamencie, nienawiść i pogardę dla wyrodnych

synów ojczyzny. Między mną a stryjem i Kajetanem zawsze będzie stało wspomnienie księdza Lagrange'a.

— Czy on przeklął i Kajetana?

— On nikogo nie przeklinał, tylko milczał. Kajetan był podczas kościuszkowskiej wojny zagranicą i wrócił dopiero po śmierci księdza. Ale po powrocie raz tylko odwiedził jego grób.

Tu myśli chłopca poleciały, jakby na skrzydłach, aż do sąsiedniej Leźnicy Wielkiej, gdzie przy kościele na cmentarzu wznosił się pomnik grobowy zacnego księdza z napisem, wyrytym na kamieniu:

„Jeżeli, kto tu leży, przechodzień zapyta,
Powiedzcie: ciałem Gallus, lecz duszą Lechita".

Cywińskiemu słowa Marka przypomniały także wiersze i grobowiec, albowiem zapytał:

— Nie mówiłeś mi nigdy, kto skomponował napis na grobie.

— Ja — odpowiedział Marek.

— Toś wcześnie zaczynał; myślałem, że to Kajetan, choć wiem, że i z ciebie poeta.

— Pewna zdolność do pióra jest, zdaje się oddawna wrodzona naszej rodzinie — odrzekł Marek. — W bibljotece domowej mamy łacińskie dzieło Marcina Kwiatkowskiego, który żył w XVI wieku. Jaki to był nasz krewny, tego nie wiem; ale Kajetan ma też jenjusz literacki. Przetłumaczył już Gessnera i uchodzi za uczonego młodzieńca.

— Tak jak jego ojciec, a twój stryjaszek, uchodził za szarmanta.

— Stryj jeszcze się tego nie wyrzekł.

— A słyszałem: słyszałem nawet o pannie Wyrożębskiej. Myślę, że to właśnie powód, dla którego nie możesz w Różycach wytrzymać i wolisz się bić we Włoszech.

— Dla kraju chcę się bić, dla siebie — zginąć.

— Bić się dla kraju, rozumiem, ale zginąć dla panny Klarybelli, to niezdrowo i trochę nadto. Czyś ty jej kiedy wyznał swój afekt?

— Jako przyjacielowi i przyszłemu towarzyszowi broni powiem ci wszystko, jak było. Naprzód, skomponowałem wiersz do jej sztambuchu, ale stryj znalazł te strofy w bruljonie, przepisał i oddał jej, jako swoje, wobec mnie! Uwierzyłbyś w coś podobnego?

— Czemużeś nie powiedział, że to twoja poezja?

— Bom się tak stropił, że nie umiałem słowa przemówić, a on zwrócił się do mnie i z piekielnym uśmiechem zapytał, dlaczegom się tak zmieszał.

— Ha! stary ćwik!

— I w ten sposób, ona myśli, że N. N. to znaczy: August Kwiatkowski.

— Jakto: N. N.? Nic nie rozumiem.

Marek przystanął i, ze wzrokiem zgubionym w zorzy, począł deklamować:

Klarybella, cud natury,
Podnosi oczy do góry,
Potem spuszcza je ku ziemi,
Już podbiła N. N. niemi.
W sercu N. N. cień i chmury,
A źrenice łza mu mroczy,
Gdyż podniosła nań swe oczy
Klarybella, cud natury.

Tu westchnął i tak mówił dalej:

— Nie śmiałem napisać: „Już podbiła Marka niemi“, i imię moje zastąpiłem literami N. N. A teraz korzysta z tego stryj. Taki przewrotny jest ten świat. Uważ, że stryjowi na imię August, więc jeśli się powie: „Już podbiła Augusta niemi“, to będzie za wiele żgłosek i rytm zły. Ach! ale stryj i na to nie zważał.

Cywiński jął przygryzać żółte wąsiki, a z niemi razem i krótką górną wargę, niedostatecznie odsłaniającą nieco przydługie przednie zęby.

— Ty się śmiejesz?—zapytał z melancholją Marek.

— Nie. Ale nie stójmy tak na miejscu, bo mróz bierze.

Ruszyli dalej. Mróz rzeczywiście brał tęgi. Słońce zaszło. Przez zwikłaną kratę gałęzi na przydrożnych drzewach widać było niezmierną złotą i czerwoną zorzę. Od zabudowań leciały na noc do lasu wrony. Śniegi na polach powlokły się barwą fioletową, a tropy lisie i zajęcze widne na rozłogach śnieżnych, barwą ciemnego szafiru. Wierzby przy rowach były jakby omaszczone purpurą.

— Ty się śmiejesz? — powtórzył Marek. — Myślałem, że choć w tobie znajdę trochę współczucia.

— Znajdziesz, ile zechcesz, ale tymczasem odpowiedz wyraźnie na moje pytanie. Mnie nie chodzi o sztambuchy, tylko o to, czyś wprost nie wyznał pannie Wyrożębskiej, że ją kochasz?

— Niestety, nigdy! Dziesięć dni temu byłem w Leżnicy Wielkiej. Zdarzyło się, że zostaliśmy z Klarybellą sami. Ona siedziała przy szpinecie, przebiera-

jąc palcami po klawiszach. Ja zbliżyłem się i już miałem klęknąć przed nią, już miałem na ustach: „Klarybello, wysłuchaj serca, które cię ubóstwia!“, ale zbrakło mi tchu, odwagi, słów, w oczach mi pociemniało i nie powiedziałem nic... A przecież, czegoż ja chciałem? Nie ręki jej, ale westchnienia, ale pukla włosów, ale czułego słowa na drogę. Niestety, nieba i tego mi odmówiły!

— Tak! nieba, ale nie panna, boś jej o nic nie prosił. Tym razem, nie stryj twój zawinił.

— Nie stryj zawinił, ale gdy pani starościna wróciła do salonu i gdym oświadczył, że wkrótce opuszczam Różyce, wówczas spotkał mnie cios ostatni, najboleśniejszy.

— Cóż się stało?

— Starościna niedosłyszy, więc Klarybella odpowiedziała za obie i, podawszy mi rękę, rzekła: „Waćpan zapewne do szkół?“ — I to mnie dobiło. Związany tajemnicą, którą niepotrzebnieśmy sobie przyrzekli, nie mogłem wyznać, dokąd jadę, więc powiedziałem tylko, że nazwisko moje dojdzie jej uszu dopiero wówczas, jeśli z dalekich krajów wróci na skrzydłach sławy. Po tych słowach, spojrzała na mnie i — nie wiem; może mi się zdawało, że jagody jej oblały się nagle rumieńcem, ale na wyznania było już za późno, więc wychyliłem do dna czarę cykuty — i wyjechałem.

— Wychyliłeś czarę czego?

— Cykuty. Mówię to pod figurą.

Lecz Cywiński nie zastanowił się nad tem, że chodzi o figurę retoryczną, że zaś doszli właśnie do

przydrożnej figury, więc zatrzymał się i rzekł:

— Trzeba strąbić psy.

I tak mówiąc, podniósł do ust róg, lecz Marek chwycił go za rękaw i zatrzymał,

— Czekaj. Czy nie masz dla mnie ani słowa pociechy?

— Mój drogi, ja sam potrzebuję pociechy. Wczoraj byłem w leśniczówce i powiedziałem Hance, że muszę ją opuścić na długo. Starego Plichty nie było w domu, więc odprowadziła mnie opłotkami aż do strugi, a po drodze to tak jej łzy kapały, jedna za drugą, że aż mnie ścisnęło coś w piersiach. Powiadam jej: „Hanuś“ (bo jak nikt nie słyszy, to mówimy sobie: ty), „czemu tak siejesz łzy w śnieg? Nic z nich nie wyrośnie“. A ona powiada: „Oj, smutek Stachu, wyrośnie i niedola!“ Przysięgałem jej na wszystkie świętości, że jej nie zapomnę, ale niebardzo chciała wierzyć, gdyż domyślała się, że ja puszczę się aż do Włoch, i mówiła: „Gdzie mnie tam prostej dziewczynie do tych cudnych Włoszek!“ Jakoż słyszałem i ja, że bestje są urodziwe jedna w drugą; ale ty to musisz lepiej wiedzieć, boś pewno już niejedną książkę o nich przeczytał, albos je widział na kopersztychach?

— Włoszki słyną z urody — odpowiedział Marek — i wyznaję, że, myśląc o nich, nieraz lubym oddawałem się marzeniom.

Cywiński rozśmiał się.

— To masz i pociechę, albo przynajmniej ją znajdziesz, a ja nie, bo Anusia ma włosy, jak len, i tem mnie wzięła. Dla mnie czarnowłosa kobieta

to... tego... No... nie mówię, żeby już tak całkiem nic, bo i owszem, ale nie do kochania! A ty pomyśl jeszcze i o tem, że panna Wyrożębska ma dwadzieścia kilka lat i nietylko dla ciebie, ale i dla Kajetana byłaby za stara.

Marka dotknęły słowa o wieku panny Klarybeli.

— To są ludzkie względy — rzekł — niegodne dusz czułych. Saturn nie ma skrzydeł, a Amor je ma, i dlatego unosi się nad przestrzenią i czasem.

— Może też odlecieć na tych skrzydłach, jak wróbel — odparł Cywiński i, machnąwszy ręką powtórzył:

— Trzeba strąbić psy.

Poczem odwrócił się w stronę boru i podniósł róg do ust.

Zdrowe jego, wyszczypane przez mróz policzki wydęły się, jak banie, z oczu pozostały tylko szparki, usta wpiły się jakby z chciwością w nasadę rogu, a głowa przechyliła się wtył i nabok. Mocne dźwięki, w których brzmiało nawoływanie i rozkaz, wypadły ze skrętów rogu i przeleciały, natarczywe i radosne, nad śnieżną równiną ku lasowi. Tam wnikły między pnie i szły dalej, w głąb, w gęsty bór.

Marek spoglądał na Cywińskiego, którego głowa podobna była w tej chwili do głowy dmącego w konchę trytona, to na biały pas śniegu pod lasem, na którym mogły pojawić się psy, a Cywiński, nabierając kątem ust powietrza do płuc, dął nieustannie, otwierając i przymykając oczy. Po długim dopiero czasie, z mrocznej gęstwiny wynurzył się na śnieżne fiolety jeden pies, który na wielkiej podleśnej prze-

strzeni wydawał się, jak zabłąkany. Przez chwilę biegł truchtem, w milczeniu, a następnie wpadłszy na jeden z tropów, któremi popstrzone było całe pole, począł poszczekiwać, a raczej skamlać, zarazem namiętnie i frasobliwie.

Cywiński spuścił róg, oddechnął głęboko i rzekł:

— To Surmacz... Jucha mydli oczy, bo wie, że goni starym tropem, ale chce pokazać, że taki gorliwy. Pies to ci czasem tak łże, jak człowiek.

I począł się śmiać wesoło.

A Marek Kwiatkowski, który miał w duszy trochę melancholji, a jeszcze bardziej wmawiał w siebie rozmaite poetyczne smutki, pomyślał;

— Szczęśliwy ten Cywiński! Wczoraj składał przysięgę lubej, jutro może zginąć, a dziś śmieje się z psa. Ale on sam zawsze żyje dniem dzisiejszym.

Tymczasem inne ogary poczęły wysuwać się z boru, ale te nie chciały widocznie nikomu „mydlić oczu“, albowiem zbliżyły się cicho, potrząsając uszami i nie trzymając nosów przy ziemi.

Dwaj młodzieńcy ruszyli ku wsi i przez jakiś czas szli w milczeniu. Po chwili Marek zapytał:

— Gdzie jest twój koń?

— W stajni u ekonoma. Nie chciałem zajeżdżać do pałacu, bom widział, że tam zastanę te panie z Leżnicy.

— A teraz pójdziesz ze mną?

— Jakże? w lisiurze i w długich butach? Ani sposób! Prócz tego powiem ci, że Kajetan, jak Kajetan, ale patrzeć na tę starą, malowaną kukłę, twojego stryja, nie! Wolę jechać do domu.

— Ty do Kajetana masz jakąś szczególną słabość, a ja ci powtarzam, że syn wart ojca, a ojciec syna.

— Nie mam żadnej do nikogo słabości, ale i ty nie masz racji. Kajetan chuchrak i odludek, ale w Targowicy nie był.

Marek zawahał się przez chwilę, poczem rzekł:

— Dziś dzień zwierzeń, więc przyznam ci się, że po powrocie z Leżnicy, wyzwałem Kajetana na parol.

— Zaco?

Bo powziąłem podejrzenie, że to on jest przedmiotem uczuć Klarybelli.

— A choćby tak było, czy to jego wina? Zwłaszcza, jeśli on się w niej kocha?

— Trzeba być nato głazem, więc nienawidzę Kajetana, właśnie dlatego, że jej nie pokochał. Czy widziałeś większą tragedję?

— Ja wogóle tragedji nie widziałem, wiem tylko, że takie rzeczy pan Bogusławski grywa w teatrze. Ale co ci Kajetan powiedział, gdyś go wyzwał?

— Powiedział mi po francusku, żebym się poszedł przejść.

— Ha, to już w takim razie, trzeba go było wytargać za harcap.

— Nie mogłem tego zrobić, gdyż, domyśliwszy się o co mi chodzi, dodał wyraźniej: „Nie ja jestem twoim rywalem, ale papa“.

— Więc szambelan chce się naprawdę żenić, co?

— Nie mam najmniejszej wątpliwości, że tak jest. Stryj sprowadził nową karocę, a sam różuje

się mocniej, niż przedtem, czerni brwi, wygładza paznokcie, sypia w rękawiczkach, wypycha pończochy i chodzi w podrygach. Jeżeli się już nie oświadczył, to oświadczy się lada dzień... może właśnie dziś...

— Niesłychana rzecz! Ciekawym, jak się to skończy?

— Dla mnie? Wiem jak.

— Jazdą do Włoch. Owszem, im prędzej, tem lepiej. Tajemnica była potrzebna, póki pogłoski rozszerzali ludzie prywatni i mogli za to odpowiadać, ale obecnie, po odezwie, należy wieść rozgłaszać. Ty już też rozmowy ze stryjem nie odkładaj. Wyciśnij z niego tyle dukatów, ile potrafisz, i jazda!... Wiem, że i tobie pilno. Narzekałeś, że ci nie współczuję, ale ja wszystko rozumiem. Pierwsza, choćby z twojem przeproszeniem, dziecinna miłość puści czasem tęgie korzenie i gdy przyjdzie ją wyrwać z serca, to boli... Widzisz, że ja to rozumiem...

Na to Marek podniósł rozmarzone oczy wgórę, ale tym razem nie ku zorzy, lecz ku księżycowi, który wytoczył się ponad olchy, nad stawem.

— Stanisławie, to nie pierwsze moje uczucie.

— Masz tobie! A jak na imię tej, która pierwsza zjadła nowalję?

Chłopak miał już na ustach odpowiedź, ale się powstrzymał i po chwili dopiero rzekł:

— Tamto była istotnie dziecinna miłość. Nie warto o tem mówić. Kochałem się nawet nie z widzenia...

— Tylko jak?

— Ze słyszenia.

Cywiński spojrzał na niego bystro.

— Mój kochany, czy ty kpisz, czy o drogę pytasz?

A Marek powtórzył:

— Nie warto o tem mówić...

W rzeczywistości zaś wstydził się przyznać, że jako zupełny dzieciak zakochał się przed kilku laty w małej córce Ludwika XVI Marji Teresie Karolinie, którą rewolucja więziła wraz z małym delfinem w Temple. Kochało się w niej wówczas wielu kawalerów w Europie i po większej części także ze słyszenia. Ale kilkunastoletni Marek postanowił ich zawstydzić i wyrwać z za krat nieszczęsną ofiarę przemocy. W tym celu, uciekł od księdza Lagrange'a, mając dwa talary w kieszeni, i dotarł walecznie aż do Kalisza. Na szczęście dla rewolucji dognano go tam i odwieziono do Różyc, gdzie młody bohater zachorował na odrę. Ludzie myśleli, że uciekł od stryja, i oburzenie na starego szambelana jeszcze się wzmogło, gdyż mówiono, że to nietylko targowiczanin, ale i okrutnik.

Miłość Marka skończyła się jednakże, jak nożem uciął, gdy młodą królewnę odesłano na dwór austrjacki i gdy do pani starościny Sokołowskiej przyjechała panna Klarybella Wyrożębska. Nie była to zresztą jedyna wyprawa Marka, gdyż uciekał także do wojsk Kościuszki, ale i stamtąd odstawiono go, jako małoletniego, do domu. Stary szambelan chciał skarcić surowo ten „sankjulocki" postępek, ale nie zezwolił na to ksiądz Lagrange, który wprost oświadczył szambelanowi, że w tym małym chłopcu z twa-

rzą panienki więcej jest przedsiębierczości, odwagi i patrjotyzmu, niż w całej rodzinie Kwiatkowskich.

Cywiński liczył też obecnie na to, że chęć wojaczki przeważy w duszy Marka nad miłością do panny Wyrożębskiej.

— Wybij ją sobie z głowy — mówił — a mówię z głowy, dlatego, że na mój prosty rozum, to ty ją nosisz w głowie, nie w sercu. Gniewaj się, lub nie gniewaj, ale to tylko imaginacja, nic więcej. Byleś prochu powąchał, to i zapomnisz.

— Przykro mi jednak, że nie odczuwasz moich cierpień.

— Jeśli jaka Włoszeczka wkręci ci się do serca, to będę odczuwał, nie bój się!

Marek odpowiedział westchnieniem.

Tymczasem doszli do wsi, a potem do dworku, w którym mieszkał ekonom Sęczek. Cywińskiemu wyprowadzono zaraz konia, ale nie zaraz odjechał, gdyż pokazało się, że brakło jednego psa, który był szczególnym Marka faworytem. Ponowne długie trąbienie okazało się nanic. Pies nie wracał. Ekonom Sęczek, który wyszedł powitać młodego dziedzica, oświadczył, że psa musieli porwać wilcy.

Cywiński potwierdził, gdyż przypomniał sobie że, gdy psy były w wykrotach, usłyszał nagły skowyt. Myślał, że pies dał odzew, wpadłszy na nowy gruby trop, ale mógł to być też i ostatni skowyt przedśmiertny.

— Śniegi głębokie — mówił — wilków włóczy się sporo i rozstawiają się pod wiatr, tak, że pies, nim bestję poczuje, już zęby ma w karku.

Poczem jął się żegnać z Markiem i skoczył na kulbakę, ale Marek nie chciał go puścić.

— Dam ci człowieka z kagankiem — rzekł. — Co zrobisz, jeśli ci zastąpi stado?

— Ee! Jakoś się przejedzie — odparł Cywiński.

To powiedziawszy, ruszył kłusem, ku lasom. Marek i Sęczek patrzyli czas jakiś przy świetle księżyca na biały zad konia i na ciemne plecy jeźdźca, nasłuchując zarazem żwakania śledziony w podjezdku.

— Hej! — ozwał się po chwili ekonom — z pana Cywińskiego to byłby ułan jak malowanie.

— Może i będzie — odpowiedział Marek. — Dam wam jutro odezwę Dąbrowskiego.

II.

Różowe, wesołe blaski kładły się na śniegu od jasno oświeconych okien we dworze. Markowi, gdy minął kołowrót, zdawało się, że przez okno widzi, wśród innych osób, wdzięczną postać panny Klarybelli Wyrożębskiej, ale nie widział jej wyraźnie, gdyż mróz przysłonił szyby fantastycznemi kwiatami szronu. Niedaleko ganku stała podwójna karoca na saniach; obok niej czterech parobków konno, z długiemi drążkami w ręku, do których przywiązane były żelazne koszyki, naładowane łuczywem. Dwaj z nich byli zajęci zapalaniem łuczywa, co oznaczało, że goście wyjadą lada chwila. Marek nie chciał się spotkać z paniami z Leżnicy, wszedł więc prędko do sieni, by udać się do swego pokoju na górze. Zaledwie jednak przeszedł pół drogi do schodów, gdy drzwi bawialnego pokoju roztworzyły się narozcież i ukazała się w nich starościna Sokołowska pod rękę ze starym szambelanem, za nimi zaś Kajetan prowadził pannę Klarybellę. Wobec niespodziewanego spotkania, Markowi nie pozostało nic innego, jak zatrzymać się i przywitać. Ucałował więc rękę pani starościny, drobnej i chudej osóbki, trochę głuchej i zdziecinniałej, ale czułej jeszcze na

względy towarzyskie, co pokazało się zaraz przy powitaniu, gdyż zapytała lylko zimno: „A waćpan aż do nocy polował?“ — i nie czekając na odpowiedź, przeszła. Natomiast inne było zachowanie się panny Klarybelli. Gdy Marek skłonił się przed nią, ujęła go lekko obu rękoma za skronie i ucałowała w czoło. Ponieważ przy poprzednich spotkaniach witała go i żegnała zawsze obojętnie, więc chłopiec spojrzał na nią pytającym i zdumionym wzrokiem. Ale na to nieme pytanie odpowiedziała milczeniem, tylko oczy jej stały się poważne i smutne. Była w niej jakaś powaga, której Marek nigdy przedtem nie widział, a w pocałunku, jaki złożyła mu na czole, pewna tkliwość, której się nie spodziewał. Stał więc przed nią, nie umiejąc zdobyć się choćby na jedno słowo. Ogarnęło go nagle pełne niepokoju poczucie, że coś się stało, coś się zmieniło, coś zaszło. Ale był chłopcem tak młodym i niedoświadczonym, że na pytania, które mu napływały falą do głowy, nie umiał dać sobie odpowiedzi. Serce ścisnęła mu obawa, że czeka go bolesny cios, a jednocześnie, ponieważ dał w Leżnicy do zrozumienia, że odjeżdża na długo, zatliła mu się w sercu nadzieja, że to może jest tylko czułe pożegnanie i błogosławieństwo na drogę. Mącił mu przytem myśli podziw dla piękności panny Klarybelli, który go chwytał zawsze, ilekroć ją zobaczył — podziw dla jej białej twarzy, dla czarnych loków, dla niebieskich oczu, dla całej postaci. Strojniejsza dziś, niż zwykle, przybrana w wąską, przepasaną tuż pod piersiami suknię, pod którą wysmukłe jej ciało rysowało się

aż nazbyt wyraźnie, różowa i powiewna, wydawała mu się boginią, na którą olśnione oczy jego nie były godne spoglądać.

Marek zapatrzył się na nią tak, że zapomniał o świecie bożym, i nie przyszło mu na myśl, że, stojąc tak z otwartemi ustami, a zarazem w rozterce dusznej, złożonej ze zdumienia, niepokoju i podziwu, miał minę gapia, który mógł boginię rozśmieszyć, gdyby nie to, że sama była nastrojona poważnie i smutno. Lecz nim ochłonął — przeszła, a za nią obojętny i zimny Kajetan, który po chwili począł ją otulać w ciepłe szale i puszystą lisią szubę. Służba wciągnęła następnie na jej trzewiczki i przewiązane nakrzyż pończoszki ciepłe berlacze — i obie panie, wraz z starszym szambelanem i z Kajetanem znikły za oszklonemi drzwiami sieni. Marek dojrzał jeszcze przez szyby białą perukę stryja, pochylającą się kilkakrotnie nisko, poczem na dziedzińcu zabłysły chwiejnem, krwawem światłem kafarki, parsknęły raz i drugi konie, zaskrzypiał śnieg pod płozami i kareta, zatoczywszy krąg wokół dziedzińca, wtoczyła się w bramę. Przez czas jakiś promienie łuczywa rozświecały coraz dalej i dalej pnie starej lipowej alei, poczem wszystko znikło za czworakami i kuźnią na zakręcie.

Stary szambelan wszedł z ganku do sieni, pocierając palcami końce uszu, spojrzał na stojącego, jak słup soli Marka, przymrużył oczy i rzekł:

— Dziwny to obyczaj polować, gdy w domu są goście. Ale tymczasem przebierz się i przyjdź potem do salonu.

Marek, który postanowił rozmówić się ze stryjem dziś jeszcze, zrzuciwszy na górze lisiurę i rękawice, zeszedł nadół — gdzie znalazł się w towarzystwie stryja Augusta i Kajetana.

* * *

Młodszy szambelan chodził miarowym krokiem po pokoju, a starszy siedział w fotelu przed kominkiem, i wyciągnąwszy nogi, przybrane w białe jedwabne pończochy, wydymał lekko wargi, spoglądając na Marka z wyrazem jakby serdecznego współczucia. Przybrany w brzoskwiniowy aksamitny frak, w białej peruce, z twarzą powleczoną różową szminką, wyglądał trochę jak karnawałowa maska. Przez pewien czas namyślał się widocznie, jak zacząć rozmowę, wreszcie rozpoczął ją od przysłowia, które niegdyś sobie wymyślił i przyswoił, tylko dlatego, że w owej epoce wielu magnatów miało własne przysłowia:

— Sancta Pupa, Sancta Barbara!...

Poczem podniósł głowę i zamknął na chwilę oczy.

— Przybliż się, młodzieńcze — rzekł do Marka — i słuchaj. Możesz usiąść...

Marek przysunął krzesło i usiadł.

— Stryj chce mi coś powiedzieć?

— Tak jest i to coś ważnego, a zarazem coś takiego, co powinno cię ucieszyć.

— Słucham.

Szambelan nieodrazu jednak zaczął mówić, albo-

wiem uczuł w nogach nerwowy niepokój, więc pocierając dłońmi kolana, czekał, aż mu przejdzie.

Wreszcie utkwił oczy w twarzy chłopca i zapytał:

— Czyś zauważył, że panna Klarybella pożegnała się dziś z tobą w sposób ekstraordynaryjny?

— Owszem, wyznaję, że w pierwszej chwili byłem zdziwiony.

— A więc w drugiej przestań się dziwić...

Tu znów na chwilę przerwał, poczem dokończył, kładąc nacisk na każdą sylabę:

— ...Albowiem panna Klarybella, to twoja przyszła stryjenka.

Marek zaczerwienił się, następnie pobladł, a szambelan wydobył tabakierkę, stuknął w nią zlekka, otworzył i, chwyciwszy końcami palców szczyptę tabaki, wpatrywał się wciąż w chłopaka, jakby chcąc dokładnie wysondować głębokość rany, którą zadał.

I w głosie jego drgała, jakby zwycięska, złośliwa radość, gdy, cedząc zwolna wyraz po wyrazie, tak mówił dalej:

— Sancta Pupa, mój chłopcze... Na to niema rady. Pan Buffon, sławny pisarz francuski, powiada, że w Afryce, czy tam gdzieś, gdzie rośnie pieprz i rozmaite bakalje, skoro lew ozwie się w puszczy, wszystko milknie i ustępuje mu z drogi. Otóż, widzisz, pan Buffon ma słuszność, a ja jestem trochę taki lew, może już stary, ale bez samochwalstwa, dość jary. Czasem tak bywa... Książę Richelieu, marszałek, mówił, że do ośmdziesięciu lat życia

spisywał się jak muszkieter, dzięki burgundowi... Ale nie chcę obrażać twoich niewinnych uszu...

Tu zażył, strzepnął żabot, uśmiechnął się z zadowoleniem i ciągnął dalej:

— Widzę jednak, że nowina wzruszyła cię nie żartem. Przypuszczam, że to radość... z tego, że będziesz miał tak piękną stryjenkę. Istotnie, piękna jest jak Junona. Wyrożębscy stracili całkiem fortunę... Ciotka starościna również ostatkami goni i, prócz małego dożywocia, nie ma ani szeląga. Ale wobec takiej niebianki, ktoby patrzył na posag. Tyś jeszcze za młody, byś zrozumiał moc uczuciów. Przyjdzie jednak czas, że zrozumiesz... przyjdzie taki czas, chłopcze, przyjdzie!...

Dalszą rozmowę przerwał Kajetan, który może z litości nad męczarnią Marka zbliżył się do kominka, wskazał ręką na ustawioną na nim saską figurkę, przedstawiającą Kupidyna — i począł deklamować:

„Qui que tu sois, voici ton maître;
Il l'est, le fut, ou il doit être".

Lecz wypowiedział wiersz głosem tak drwiącym, że szambelan odwrócił się zaraz ku niemu na swym szerokim fotelu.

— Co to ma być?

— Nic. Maksyma, która ostrzega młode baranki i usprawiedliwia jare lwy.

— Nikt cię o maksymy nie prosił, więc siedź cicho i dziękuj przeznaczeniu, żeś mi nie wchodził w drogę, bo i ty byłbyś odszedł z kwitem. Grzeb

w książkach, tłumacz sobie Gessnera, walaj palce inkaustem, ale o miłości nie mów, gdyż w tych sprawach nie umiesz i nie nauczysz się nigdy: a, b, c.

— Znać, że nie papa zajmował się moją edukacją.

— Nie, nie ja. Byłbym tracił napróżno czas. Mogłem cię zrobić w dwudziestym roku życia szambelanem, ale amanta nie zrobiłby z ciebie nawet książę podkomorzy.

Tymczasem Marek ochłonął, lecz ozwał się drżącym jeszcze i wzruszonym głosem:

— Pozwoli stryj dobrodziej złożyć sobie życzenia szczęśliwości przez długie lata.

— Pozwolę. Szczęśliwości jestem pewien, a co do długich lat, to jak zechce natura. Jesień bywa chłodniejsza od lata, ale trwa długo i przynosi owoce... He! bardzo trafnie. Tymczasem dziękuję ci i przechodzę do tego, o czem chciałem z tobą właśnie pomówić. Termin mego ślubu z Klarybellą nie jest jeszcze oznaczony, postaram się wszelako o dyspensę od zapowiedzi, gdyż chcę, by rzecz doszła jak najprędzej. Ale przychodzi kwestja rezydencji. Pałac w Birkowie, odbudowany po konfederacji barskiej, spalili po raz wtóry *messieurs les patriotes*, pod panem Kościuszką, a w Karpielach jest tylko mały dworek. Jedyną przyzwoitą rezydencją są Różyce. Zapewne tedy nie będziesz miał nic przeciwko temu byśmy aż do wyrestaurowania domu w Birkowie zamieszkali z twą przyszłą stryjenką w Różycach. Jestem twoim opiekunem i zdam ci ten majątek, gdy dojdziesz do pełnoletności, ale obecnie ja nim rozporządzam i mógłbym

cię o nic nie pytać, jeżeli jednak, pytam, to dlatego, by ci dać przykład dyskrecji i przyzwoitej delikatności, którą, jak sądzę, potrafisz nietylko ocenić, lecz i kiedyś, w przyszłości naśladować.

— Mniemałem, że stryj zamieszka w Warszawie, ale Różyce są do jego rozporządzenia.

— W Warszawie? Nie. Pomijam, że szczęście we dwoje potrzebuje cichego gniazda, ale dzisiejsza Warszawa zanadto jest niepodobna do dawnej, by można w niej zamieszkać. Nie. Zbyt dobrze pamiętam dwór królewski i dwór księcia podkomorzego. Pustka robi się teraz w mieście coraz większa, a w pałacach gnieżdżą się loże masońskie. Książę podkomorzy zestarzał się na dobre. Inni porozjeżdżali się na wszystkie strony. Komu nie smakują knedle generała Tawrata i kto lubi dystyngowane towarzystwo i dobry ton, ten młodej żony nie zawiezie do Warszawy. Nawet książę Pepi uciekł z Jabłonny do Wiednia. Tak! Niechże tedy na miodowe miesiące będą przed Birkowem Różyce...

— Właśnie chciałem...

— Pozwól mi skończyć i nie przerywaj. Myślałem już o tem poprzednio, że w razie, gdybym się ożenił i dla mnie i dla was byłoby lepiej na pewien czas się rozłączyć. Kajetan już wojażował, a teraz mówił mi, że wybiera się znów do Heidelberga. Dla ciebie jakikolwiek wojaż, choćby niezbyt daleki, jest koniecznie potrzebny. Młody człowiek powinien poznać trochę świata, oraz przypatrzyć się jak ludzie żyją zagranicą. Dobrze mówię!... Coprawda,

nie w smak mi ten mądry Heildelberg... Zostać z młodego szambelana starym studentem, to tylko Kajetanowi mogło przyjść do głowy... Ja proponowałbym wam co innego, a mianowicie: Berlin. Staliśmy się poddanymi króla pruskiego, i na to niema rady. Pierwszą mądrością prawdziwie rozumnych ludzi jest być dobrze z rządem, który nad nimi panuje. Zapewne, że dwór pruski, to nie dawny wersalski, ani nawet drezdeński. Pachnie tam trochę słodem, a szambelani noszą bawełniane pończochy, rękawiczki zaś tylko w niedzielę... To ich dawna maniera, z dodatkiem ciągłej czkawki...

Tu przerwał, zażył znów i uśmiechnął się, rad, że tak złośliwie scharakteryzował dwór pruski. Wiedział zresztą, że nie mówi prawdy, albowiem dwór ten zarzucił w tych czasach dawną tradycję oszczędności. Ponieważ jednak spotkało tam szambelana przyjęcie zupełnie chłodne, chciał przeto wmówić w Kajetana i w Marka, a może i w siebie, że przyczyną tego było prostactwo dworu.

Po chwili mówił dalej:

— Osobiście nie umiałem się z nimi zżyć, gdyż gusta nasze okazały się zbyt odmienne. Ale, bądź co bądź, jest to dwór, a zatem i przyzwoity pobyt dla ludzi wyższego urodzenia. W dzisiejszych czasach trzeba się z tem liczyć. Z drugiej strony, wiem, że młodzi Polacy, którzy się sami do dworu garną, mile są tam widziani. Jego królewska mość proponował przecie służbę nawet Dąbrowskiemu, choć na nim nie przyschła jeszcze krew pruska. Ale pan Dąbrowski woli służyć sankjulotom.

Marek uznał, że czas rozpocząć rozmowę.

— Ja — rzekł — chcę także służyć Francji i mam honor oświadczyć, wobec Kajetana, stryjowi, że wyjeżdżam do legjonów, które generał Dąbrowski utworzył we Włoszech...

— *Plait-il?*

— Jest nadzieja, że te legjony wrócą kiedyś do Polski, więc postanowiłem w nich służyć...

Szambelan August zamilkł i począł patrzeć na Marka, jakby nie rozumiejąc o co chodzi, a zarazem poruszać ustami. Po chwili oparł dłonie na poręczach fotelu, przypodniósł się z pewną trudnością, ale zaraz siadł znowu.

— Sancta Pupa, sancta Barbara!

— Dawno już chciałem to stryjowi oznajmić i prosić go o pozwolenie i pomoc — ozwał się Marek.

Lecz szambelan odzyskał już zimną krew.

— Chciałeś? — zapytał. — I ja także czegośbym chciał, a mianowicie, chciałbym, aby dzisiejszego, szczęśliwego dla mnie dnia nie zachmurzyły rodzinne nieporozumienia, i aby śliwki, które wieczorem jadam, nie zaszkodziły mi na żołądek. Z tych przyczyn nie będę dziś z tobą o niczem mówił, powiem ci zaś tylko tyle, że jeśli spodziewasz się mego pozwolenia, pomocy i błogosławieństwa, to się mylisz.

— Czy stryj zna odezwę generała Dąbrowskiego do wszystkich Polaków, ogłoszoną w Medjolanie z dnia I-go Pluviose, V-go roku?

— Nie znam i nie życzę sobie jej znać, jak również waszego sankjulockiego kalendarza.

I począł przedrzeźniać, wykrzywiając usta:

— Wenlozy, Pluwjozy, Niwozy... Ach kanalja!...

Poczem zwrócił się do Kajetana:

— Zadzwoń i każ mi podać śliwki.

Kajetan pociągnął za wyszywaną szklannemi paciorkami taśmę i po chwili wszedł kamerdyner Józef, przezwany przez szambelana Firminem. Usłyszawszy rozkaz, zniknął za drzwiami i niebawem wrócił z talerzem rozgotowanych śliwek, które stary szambelan jadał wieczorem dlatego, że miał ten zwyczaj król Stanisław August i jego brat, książę podkomorzy. Firmin postawił przed fotelem stolik, obwiązał pana serwetą, skłonił się w milczeniu i odszedł.

Szambelan zabrał się do jedzenia, przyczem broda schodziła się mu mocno z nosem. Chwilami przestawał żuć i patrzył, to na lustro przed kominkiem, to na stojące przed lustrem grupy saskich figurynek, to na szklanny ekran przed ogniem — i monologował:

— Ach, miłe czasy!... Zdawałoby się, że ludzie stojący u góry powinniby się wreszcie porozumieć, tymczasem nieprawda! Mało im było jeszcze wojen, przemarszów wojskowych, rozbiorów i rewolucyj... mało nieszczęść i zniszczenia... Jaki ten spokój teraz jest, taki jest, a oni chcą go zamącić... Miłe czasy!... Odezwy, legjony i generalny rozgardjasz... Pan Marszałek Małachowski, o ile mu Austrjacy pofolgują, będzie znów kokietował z Karlsbadu z rewolucją, która zamordowała króla... Pan Ignacy Potocki także... Pan hetman Ogiński światami goni...

Bars i Mniewski w Paryżu konkurują o łaski sankjulotów. Dmochowski podciął habit i stał się jakobinem, a Dąbrowski formuje legjony. Naco? dlaczego? przeciw komu? I chodzi im niby o ojczyznę... Ale Polska leży w Polsce, nie we Włoszech, ani w Paryżu... Ojczyzna? Owszem! Nam też o nią chodziło... nie chcieliśmy się jednak porywać z motyką na słońce, bo tak czynią tylko tacy ludzie, którym brak piątej klepki...

Następnie przerwał monolog i począł znowu żuć, narzekając między jedną a drugą śliwką, że w niektórych są pestki, wreszcie odsunął talerz i mówił dalej:

— ... I tego ani trochę nie rozumieją, że dziś idzie o rzeczy ważniejsze... Przyszedł czas, że ludzie lepszego urodzenia powinni we wszystkich krajach skupić się koło monarchów... Na potem spory, na potem porozbiorowe żale. Zapewne, że stało się nieszczęście, ale się stało i na to niema rady. Dziś trzeba myśleć o czem innem... trzeba ratować kapitalne pryncypja, które motłoch podeptał we Francji nogami... to główne zadanie... A co do nas, jeśli dwory spostrzegą się, że znajdą w nas podporę, to nie będzie nam źle... Nietylko własna korzyść nakazuje trzymać się dziś dworskiej klamki, ale i patrjotyczny obowiązek... I należy się z tem śpieszyć, póki nas chcą, bo mogą nadejść takie czasy, że nas nie zechcą...

Tu zwrócił się do młodych i oświadczył stanowczo, że powinni udać się do Berlina, gdzie Kajetan znajdzie tylu uczonych, ilu sam zechce, a Marek

może wstąpić do szkoły kadetów — i w ten sposób obaj znajdą się w obozie, w którym być powinni. Ale oni nie uważali na jego słowa, albo puszczali je mimo uszu, gdyż myśli ich były zajęte czem innem. Kajetan zbliżył się do Marka, uścisnął silnie jego dłoń i zapytał:

— Masz odezwę Dąbrowskiego?

— Mam na górze.

— Skądeś ją wydobył?

— Łuczyński, guwerner u Golczów w Trzebuchowie, otrzymał kilkaset egzemplarzy i rozsyła je po całej okolicy.

— Dlaczego doszła tu tak późno?

— Bo ją wyłapują po drodze.

— I naprawdę chcesz jechać do Włoch?

— Oczywiście, i nie ja jeden.

— Ach! Szczęśliwy!

Marek spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Mówisz to szczerze?

— Tak. Ty mnie źle sądzisz dlatego, żeś uprzedzony, że nigdy nie zajrzałeś mi w duszę i nie pozwoliłeś zajrzeć mi w swoją. Mniejsza, czyja to wina, ale my żyjemy, nie jak krewni tylko jak obcy.

— Kajetanie, jeśli tak jest, jeśli czułość na nieszczęścia ojczyzny nie wygasła w tobie, to co ci przeszkadza iść z nami?

— Mój wzrok.

— Prawda.

— Wiedz jednak, że serce moje jest z wami, tak jak było z Kościuszką, a teraz krwawi się również, jak wasze. Pokaż mi odezwę Dąbrowskiego.

Tyle było szczerości w słowach Kajetana, a Marek był tak młody i wierzący, że ani na chwilę nie posądził brata o komedję i z największą ochotą pobiegł na górę po odezwę.

Szambelan zaś snuł w dalszym ciągu wątek swych myśli:

— ...Bo panowie encyklopedyści — mruknął — prawili komplimenta królom i książętom. Pan Voltaire przesiadywał u starego Fryderyka, Diderot i Grimm mizdrzyli się do Katarzyny, a jednak pan de Pompignon miał w swoim czasie słuszność, przedstawiając filozofję *comme sapant l'autel et le trône*... Zupełnie słusznie. My przestaliśmy wierzyć i nam było wolno, ale gdy motłoch przestał wierzyć, wówczas nie mogło się nic ostać. Nie to nasza wina, żeśmy panów filozofów czytali, ale to, żeśmy pozwolili ich czytać. Nowe pryncypja! Z początku wydawało się to, jako zabawa i igraszka, a potem zaczęło się rozlewać i szerzyć, jak tłusta plama... Chwycili tę piłkę wlot gazeciarze i teraz przerzucają ją sobie z rąk do rąk.,. *Liberté, fraternité, égalité!* — co? Zapomnieli, że powszechność to jest drabina, a w drabinie muszą być szczeble wyższe i niższe...

— Drabinę można odwrócić do góry nogami — wtrącił Kajetan.

— Głupiś — odpowiedział szambelan — albowiem wówczas będzie tylko ten skutek, że gbury będą na górze, a ludzie urodzeni na dole, ale równości nie będzie, jak i nie było...

Kajetan uznał w duchu, że istotnie nie powie-

dział nic zbyt mądrego, więc, by nie zapędzić się dalej, rzekł:

— U nas jeszcze do tego daleko...

— A w czasie waszego „wielkiego sejmu“, czy to potomkowie znanych rodzin nie zapisywali się do stanu mieszczańskiego?

— Nic i z tego nie pozostało...

— Owszem, mieliśmy przykład na insurekcji. Pan Kościuszko poruszył chłopstwo, a lud w Warszawie chciał wolności, więc wieszał...

Kajetan zmarszczył brwi i odpowiedział z goryczą:

— Teraz w Warszawie rządzi Prusak, a po wsiach biją chłopów w skórę po staremu.

— A cóżeś chciał? żeby ich uczono filozofji i odciągano od konfesjonałów?

— My sami zapomnieliśmy o konfesjonałach...

— *Quod licet Jovi, non licet bovi.* Ja nie miałem także gustu do konfesjonału, alem pościł wigilje... To się wszędzie zachowało... Zresztą, przed ślubem muszę zapewne pójść i do spowiedzi...

Tu myśli szambelana wzięły widocznie obrót osobisty, gdyż powtórzył kilkakrotnie swe ulubione przysłowie, zażył, otrzepał żabot i począł mruczeć:

— Spowiedź przedślubna... W Warszawie możnaby się jakoś sianem wykręcić, na wsi trudno!... Pani starościna okrutna dewotka, a choćbym na nią nie zważał, co zrobię, jeśli zażąda ode mnie tego moja bogini?... *Ma foi!* chyba odpowiem jej tak, jak stary Sainte-Aulaire księżnie du Maine...

I podniósł oczy i brwi wgórę, jak czynią ludzie,

którzy usiłują sobie coś przypomnieć, jął deklamować:

„Ma bergère, j'ai beau chercher,
Je ne viens sur ma conscience.
De grâce, faites-moi pécher!
Après, je ferai pénitence..."

Poczem rad, że wiersza nie zapomniał, uśmiechnął się, wyciągnął nogi i oddal się marzeniom...

Kajetan chodził po pokoju i rozmyślał. Przyszło mu do głowy, że gdyby jenerał Dąbrowski potrzebował kogoś do pisania odezw, do raportów dla Dyrektorjatu, do korespondencji z władzami we Włoszech, to jednak możeby go użył w kancelarji, a on, nie nadając się z powodu krótkiego wzroku do szeregów, zmyłby swą gorliwą i patrjotyczną służbą plamę, jaką na rodzinę rzuciła Targowica i zachowanie się ojca w czasie wojny kościuszkowskiej. Miał zamiar wyjechać w każdym razie. Marzył o jakimś uniwersytecie zagranicznym, w którym mógłby nie jako szambelan jego eks-królewskiej mości, ale jako zwykły słuchacz, oddać się studjom naukowym.

Szambelaństwo, które ojciec wyrobił mu zapomocą kobiet i księcia podkomorzego, jako całkiem niedowarzonemu kawalerowi, ciężyło mu oddawna, a od wojny kościuszkowskiej stało mu się wprost wstrętne. To też po ukończeniu wojny, w czasie której ojciec wyprawił go do Londynu do Tadeusza Bukatego, wrócił do kraju i osiadł w Różycach, gdzie, po spaleniu pałacu w Birkowie, mieszkał i stary szambelan. Marek był wówczas nieobecny,

gdyż chodził do szkół w Kaliszu, a Kajetan wybrał Różyce dlatego, że we dworze znajdowała się od dawnych czasów spora bibljoteka, uzupełniona nowemi dziełami przez księdza Lagrange'a.

Tam, w ciszy wiejskiego życia, oddał się naukom. Uczynił to z wrodzonego do nich zamiłowawania i z jakiegoś niejasnego poczucia, że spełniony rozbiór kraju nadto jest przeciwny wszelkim prawom boskim i ludzkim, aby mógł zmienić się w trwały stan rzeczy, że przyjdą jakieś wojny, wypadki, jakieś ocknięcie się sumienia, i wielkie ruchy ludów, które zmiotą jak huragan zbrodnie i frymarki gabinetów. Wpobliżu nie zanosiło się na nic podobnego, ale na Zachodzie huczała już oddawna burza i pioruny biły jeden za drugim w stare gmachy, nietylko we Francji. Kajetan chciał być gotów. Chciał posiąść jak najwięcej nauki, aby, gdy powstanie jakaś nowa Komisja Edukacyjna, mógł pracować nad odrodzeniem młodych pokoleń, w odrodzonej ojczyźnie.

Ale ponieważ na miejscu było do tego daleko, stał się mizantropem i pragnął uchodzić za mizantropa, albowiem zdawało mu się, że w ten sposób protestuje przeciw obecnemu stanowi rzeczy. Z Markiem jako z chłopcem zdolnym do poetycznych uniesień i aż nad miarę egzaltowanym, byłby się może zbliżył. Ale Marek, po śmierci księdza, wysłany był do szkół, a w Różycach przesiadywał stale dopiero od lata — i zbyt jawnie okazywał sławnemu krewniakowi swą niechęć. Z ojcem stosunek Kajetana był zimny i z obu stron aż nadto

szyderczy. Stary szambelan patrzył na niego z pewnem pogardliwem politowaniem i nazywał go: „povero Gaëtano“, a on, niepozorny syn świetnego dworaka, brał mu za złe — i jego dawne triumfy alkowiane i niewygasłą żądzę nowych. Wmawiał i wmówił w siebie, że nie lubi kobiet, a jednakże, nie zdając sobie z tego sprawy, zazdrościł ojcu powodzeń. Przedewszystkiem jednak brał mu za złe jego egoizm i cynizm. Pamiętał, jak po śmierci Markowego ojca, gdy szambelanowi doniesiono o rozpaczy pozostałej po bracie wdowy, ów rzekł: „Dziwna rzecz, z jaką ja rezygnacją znoszę nieszczęścia cudze“. Pewnego razu, przeglądając papiery pozostałe po księdzu Lagrange'u, znalazł Kajetan list tegoż, pisany do Łuczyńskiego, do Trzebuchowa, a w liście ustęp z następującą charakterystyką starego szambelana:

„...Cały jego dowcip, to tylko czkawka, powstała z przejedzenia się maksymami Larochefoucauld'a i Camforta a w gruncie rzeczy, pod tą peruką jest wielka pustka. Ni głowy, ni serca. A w miarę jak się starzeje, żyje coraz bardziej tylko tą czkawką cudzych myśli i cudzych dowcipów. Zostały mu jedynie słabości i nowsze nienawiści. Nie ma on żadnych zasad, ma tylko nawyknienia. Pozbył się wiary, a nie odrzucił jej form. Nie pozbył się natomiast przesądów. Nie zaczyna nic w poniedziałek, boi się trzech świec i, nie wierząc w Boga, pości wigilje. Czytuje Rousseau, a ekonomom każe bić chłopów w skórę. Jego przywiązanie do monarchji polega na tem, że boi się „sankjulotów“. Po ostatecznym

upadku kraju złożył skwapliwie homagjum rządowi pruskiemu. Temu człowiekowi nie żal ojczyzny, nie żal nawet tego nieszczęsnego króla, którego był szambelanem, żal tylko przyjemności dworskiego życia. I okropna rzecz pomyśleć, że wśród ludzi, otaczających Stanisława Augusta, było wielu rozumniejszych, mało lepszych. Ach! próżnobyś mi mówił, że lepsi stworzyli konstytucję 3-go maja, gdy znalazło się dość gorszych, by ją obalić...“

Dla Kajetana list ten był ciosem, tem cięższym, że czuł prawdę słów w nim zawartych, szambelan zaś od śmierci księdza aż do ostatnich czasów nie uczynił nic, by tej prawdzie zaprzeczyć. Nie było w nim ani żalu, ani skruchy, ani chęci pokuty. Po powrocie z Berlina, gdzie zrozumiano, że z tego zaszarganego człowieka nie można nic na pożytek polityki w Polsce wycisnąć — i przyjęto go obojętnie, oświadczył, że to jest dwór „mauvais genre“ — wpadł w hipochondrję i osiadł na wsi. Ale po pewnym czasie otrząsnął się z nudy, zajął się własną osobą równie starannie, jak przedtem, i począł polerować sąsiadów, a zwłaszcza sąsiadki. Wtedy to poznał pannę Klarybellę Wyrożębską, córkę możnego niegdyś, ale zupełnie podupadłego domu, która przyjechała do swej, również podupadłej, ciotki, pani starościny Sokołowskiej. Panna była wytworna i rzeczywiście urodziwa, więc na wiejskiem bezrybiu przypadła mu istotnie do serca. Widok jej przypomniał mu lato młodości i minione dworskie czasy. Zbudził się w nim dawny szambelan August, przezywany na dworze po łacinie: „Papilio“. Za-

pragnął jeszcze jednego zwycięstwa w życiu. Był stary i przeżyty, ale posiadał metodę i wiedział, w jaki sposób ptasznik powinien zakładać sieci. Skutek był taki, że sam wpadł w te sieci i pokochał piękną pannę starczą pożądliwą miłością, która nie ufa sobie, gdy chodzi o kobietę wogóle, ale łudzi się, że odnajdzie zapał młodości, gdy chodzi o jedną, wybraną. Łączyła się z tą miłością pewność, że narazie będzie raj, a co dalej — mniejsza. Pochlebiała mu także myśl, że odsadził od panny okoliczną młodzież, a nawet i to, że zwyciężył Marka. Marek był wprawdzie jeszcze dzieckiem, ale szambelan już niem być poczynał.

Oblubieniec nie domyślał się tylko jednej prostej rzeczy, że panna oddaje mu rękę wyłącznie dlatego, by mieć kawałek chleba i dach nad głową. Próżność nie pozwalała mu tego dojrzeć, natomiast rozumiał to doskonale Kajetan i bolał nad tem, a ból ten zmieniał się w nim w niechęć i mimowolną ironję.

* * *

Przyszły „pan młody“ siedział obecnie przed kominkiem, z głową opartą o poręcz fotetu i z przymkniętemi oczyma, a syn spoglądał na niego z gorzkiem politowaniem, odczuwając jednocześnie, że to jest stary, bliski grobu ojciec, którego mógłby kochać, gdyby obaj byli inni, a zarazem, że to jest przedstawiciel świata, który powinien zginąć, albowiem jest wyjałowiony, samolubny, zły i nędzny. Ludzkość budziła się do jakiegoś nowego życia,

nowa rosa poczęła padać na wyschłe ugory, ale tacy, jak ten starzec, nie mieli już nic do roboty w blaskach porannej zorzy.

Dalsze rozmyślania przerwał Kajetanowi Marek, który wrócił z odezwą w ręku.

— Myślałem, żem ją zostawił Cywińskiemu — rzekł — ale nie, masz, czytaj!

Kajetan począł obszukiwać kieszenie.

— Zostawiłem okulary w gabinecie. Przeczytaj ty.

Marek, wziąwszy odezwę, spojrzał raz i drugi na starego szambelana.

— Owszem, niech i ojciec słyszy — rzekł Kajetan.

I zdjąwszy z konsoli świecznik, zbliżył się do chłopca, a on począł czytać swym dźwięcznym nawpół jeszcze dziecinnym głosem:

„Wierny ojczyźnie aż do ostatniej chwili, walczyłem za jej wolność pod nieśmiertelnym Kościuszką. Upadła ona wprawdzie, lecz zostaje nam pocieszająca pamięć, żeśmy wylewali krew naszą za kraj naszych przodków, żeśmy widzieli nasze sztandary triumfujące pod Dubienką, Racławicami, Warszawą i Wilnem.

Polacy! nadzieja nas jednoczy. Francja triumfuje; walczy ona za sprawę narodów. Starajmyż się osłabiać jej nieprzyjaciół; zapewnia nam schronienie, oczekujmy lepszych przeznaczeń dla naszego kraju. Stawajmy pod jej chorągwiami, są one chorągwiami honoru i zwycięstw.

Legjony polskie formują się we Włoszech, na

tej ziemi, niegdyś świątyni wolności. Już oficerowie i żołnierze, towarzysze prac waszych i waszej waleczności są za mną! Już organizują się bataljony. Przychodźcie, towarzysze moi, rzućcie broń, którą was nosić zmuszono. Walczmy za wspólną sprawę narodów pod walecznym Buonapartem, zwycięzcą Włoch. Trofea Rzeczypospolitej Francuskiej są jedyną nadzieją; przez nią tylko i jej sprzymierzonych odzyskamy te drogie ogniska, które opuściliśmy ze łzami..."

Nastała chwila milczenia, poczem Kajetan odezwał się wzruszonym, cichym głosem:

— Więc to prawda? więc są nasze legjony?

— Są. Ta odezwa wydana, jak widzisz, jeszcze zeszłego roku. Ale przecie, nim ona nadeszła, przelatywały przez kraj wieści, że legjony nietylko już istnieją, lecz się i biją.

— Te wieści słyszałem, jak każdy inny, tylko że nie było w nich nic pewnego. Gazetom nie wolno było o tem pisać: odezwę wyłapywały rządy, więc chyba dlatego dostaliśmy ją tak późno. Tem bardziej, że my siedzimy na wsi. Wszystko to rozumiem. Ale nie pojmuję jednej rzeczy: legjony biły się przecie, lub miały się bić z Austrją, a zatem co one mają teraz do roboty, skoro w Campo Formio został zawarty pokój — i czy nie zostały już rozwiązane?

— Nie — odpowiedział Marek. — Łuczyński i stary Cywiński mają przez tajne towarzystwa wiadomości, że to jest tymczasowy pokój i że wojna znów wkrótce wybuchnie. Dlatego, mówią, rząd fran-

cuski nie rozwiązał legjonów, które stoją we Włoszech i rosną z każdym dniem. Kajetanie! to nowa armja polska!...

— Nowa armja polska!

— Pod egidą zwycięzcy Buonapartego i pod chorągwiami z orłem białym...

— Która wróci kiedyś do kraju.

— Tak! nowa nadzieja! nowe życie!...

Dalszą rozmowę przerwał im silny stukot przed kominkiem. To złota, ciężka tabakierka wysunęła się z rąk drzemiącego szambelana i potoczyła się po posadzce.

A starzec ocknął się, uśmiechnął i nawpół rozbudzony począł mruczeć:

„De grâce, faites-moi pêcher!...
De grâce, faites-moi pecher!..." Ach!...

III.

Marek słusznie przewidywał, że ze strony stryja trudności nie będą zbyt wielkie. Zamiar młodzieńca oburzył wprawdzie w pierwszej chwili szambelana ze stanowiska „pryncypjów“, ale gdy zastanowił się nad sprawą w stosunku do własnej osoby, „pryncypja“ poczęły przesłaniać się mgłą, zacierać się, blednąć i wreszcie poszły w kąt. Różyce wraz z kilkoma przyległemi folwarkami stanowiły dość pokaźną fortunę szlachecką, było zaś rzeczą oczywistą, że, gdyby Marek zawieruszył się gdzieś na świecie, lub zginął, cała ta fortuna przechodziła na jego najbliższych spadkobierców. Szambelan niby nie zgadzał się na wyjazd Marka i nie przestawał odmawiać go od wyprawy, ale miękko i coraz powolniej, tak, że widocznem było, iż chodzi mu tylko o zachowanie pozorów. W końcu omawiania sprawy i narady nad nią zeszły do tego, jak rzecz urządzić, by uniknąć kłopotów z rządem pruskim, który, gdyby Marek zginął bez wieści, mógł uważać Różyce za kaduk i tem samem zabrać je na własność. Szambelan był głównym opiekunem, ale byli i dwaj inni, dodani, z którymi należało się porozumiewać. Byli to bliscy sąsiedzi, Rostkowski i Ważeński, obaj

starzy ludzie, z tradycjami jeszcze poniekąd saskiemi. Nie przechwalali ustawy trzeciego maja i nie brali udziału w insurekcji kościuszkowskiej, gdyż wydawało im się, że „poruszać chłopstwo“ jest rzeczą niebezpieczną. Ale nienawidzili Targowicy, nienawidzili „postronnych potencyj“ — i gardzili ludźmi, którzy przyczynili się do upadku kraju, nie rozumiejąc zgoła, że ów upadek jest następstwem starego porządku, a raczej nieporządku rzeczy. Szambelanowi niełatwo było z nimi obradować, gdyż wcale nie ukrywali przed nim swych uczuć. Natomiast zamiar Marka zyskał ich zupełną aprobatę. Wiadomo im było, że i w dawnych czasach różni panicze sługiwali dla wyćwiczenia się w sztuce wojennej w obcych wojskach, a przytem radowała ich myśl, że tworzy się armja polska, która kiedyś policzy się z mocarstwami rozbiorowemi.

Na prośbę Marka rada opiekuńcza zgodziła się na fikcyjną sprzedaż Różyc. Kajetan, k'óry miał być podstawiony jako nabywca, przystał na to dopiero po długich naleganiach. Stosunki stryjecznych braci stały się w ostatnich czasach bliskie i serdeczne. Gdy raz otworzyli przed sobą serca, uprzedzenia ich znikły i zastąpiła je szczera przyjaźń. Rozmawiali z sobą obecnie często i poufnie, układając plany na przyszłość. Z tych planów wypadło ostatecznie, że Kajetan wyruszy wówczas dopiero do Włoch, gdy otrzyma wiadomość od Marka, że znajdzie się tam dla niego jaka służba, a tymczasem uda się do jednego z niemieckich uniwersytetów.

Obiecał też Markowi, że będzie strzegł dla niego Różyc i zwróci mu je wiernie, jeśli Marek nie pozostawi kości na jakiem pobojowisku we Włoszech lub gdzie indziej. Ułożono również, że po przeprowadzeniu fikcyjnej sprzedaży majątku, przyszły legjonista wyjedzie za legalnym paszportem, by nie skompromitować stryja i Kajetana wobec rządu pruskiego, który, mimo zawartego w Bazylei pokoju z Francją, nie mógł pozwalać bezkarnie swym poddanym na ucieczkę do republikańskich szeregów.

Przeprowadzenie tych układów zajęło jednak sporo czasu. Tymczasem zima poczęła się przesilać. Powiały cieplejsze wiatry, pod których tchnieniem śnieg tajał na zagonach i tylko w brózdach bieliły się jeszcze długie i błyszczące, ale coraz cieńsze jego taśmy. Po przelotnych dżdżach rozbłyskiwało jasne słońce, a za chwilę nagnane wiatrem chmury sypały znów srebrną kaszą. Tylko w lasach było jeszcze kopno i chwytał chłód surowy, lecz dnie i noce przechodziły już bez mrozów. Zapowiadała się wiosna i szła na podbój świata, a zimowe moce jęły się cofać zwolna na północ.

Jednego z takich dni przyjechał do Różyc Cywiński, zarazem wesoły i smutny: wesoły dlatego, że stryj jego, Leon Cywiński, przysłał mu umyślnym piętnaście czerwonych złotych, a smutny z powodu ciężkiej choroby starego nadleśnego Plichty, ojca Anusi.

Lecz Stanisław, nie przypuszczając, żeby Anusi groziło naprawdę sieroctwo, zajęty był przede-

wszystkiem stryjowskiemi dukatami i promieniał cały z radości.

— Jeśli będziesz marudził — mówił do Marka — to ruszę naprzód, bo tu już ziemia parzy mnie tak w podeszwy, że nie mogę wytrzymać. Poczciwy stryj! Ten ci wszystko rozumie. List jest krótki i ostrożny, bo to z pod Austrjaka. Posłuchaj, co stryj Leon pisze:

„Kochany Stanisławie, posyłam ci piętnaście dukatów, gdyż rozumiem to dobrze, że młody człowiek, któremu przykrzy się w domu, potrzebuje jakiegoś grosza. U nas nic nowego, tylko Kosecki, syn pana Franciszka, zniknął już dawno z domu. Uściskaj ode mnie oboje rodziców, i niech cię Bóg błogosławi, amen!“

Na to rzekł Marek:

— Skoro ci stryj tak pisze, to muszą tam wiedzieć, że legjony nie rozwiązały się po Campo Formio.

— Ani im się śniło. Gdyby się rozwiązały, to Austrjacy nie omieszkaliby tego rozgłosić. Stryj też domyślił się, że nie usiedzę, i dlatego przesłał mi zasiłek. Bił się przecie pod Kościuszką... Tęgi stary! Żeby nie żona i dzieci, to możeby i sam jeszcze ruszył. No, a my kiedy?

— Jak najprędzej. Prawie wszystko już skończone. Pojadę jeszcze z pożegnaniem do Leżnicy, potem do opiekunów i będę gotów. Ale póki stary Plichta chory, to i ty nie możesz jechać. Tam prócz panny Anny niema nikogo w domu.

— Sprowadziłem wczoraj felczera. Ale i moja

poczciwa matka pilnuje chorego. Może Bóg da, że się to przesili.

— Kiedy zapadł?

— W sobotę, ze zmęczenia za dzikiem.

— Jakże to było?

Cywiński, jak każdy myśliwy, lubił opowiadać obszernie o przygodach myśliwskich, więc rozpoczął:

— Było tak. Borowy dał znać, że znalazł barłóg odyńca. Plichta chciał iść zaraz, bo nazajutrz nie wypadało z powodu niedzieli... Pluta była okrutna i wicher. Anusia prosiła ojca, by nie chodził, a że ja zawsze robię to, czego ona chce, więc też perswadowałem, że dzik do poniedziałku nie uciecze. Ale gadajże ze starym, gdy chodzi o grubą sztukę. My swoje, on swoje. Uparł się i poszliśmy we dwóch z psami. Nie było daleko, więc psy, pomarudziwszy trochę, ruszyły na dzika. Ale on nie głupi kołować, tylko jak się puścił przed siebie, tak gnał prosto ku Świdrowym jarom. Słuchamy, goni dalej.

Więc Plichta powiada: „Idźmy za gonem, śniegi jeszcze w lesie duże, zatknie się bestja, siędzie pod pniem i będzie się psom odcinał". Jakoż tak się stało, ale nim doszliśmy, ruszył, odsapnąwszy znowu, i tak było ze trzy razy. Co my bliżej, to on w drogę. Zziajaliśmy się, jak nieboskie stworzenia, bo dołkami było kopno. Na szczęście poszedł dzik przez łąki ku zaliwskiemu ostępowi wprost ku strudze — i tam, że to oparzelisko — ulgnął. Gdyśmy doszli, z dzika i psów była jedna kupa. Strzelać niesposób, proszę więc Plichty, by mi pozwolono go skłuć.

Chciał zrazu sam, ale wreszcie pozwolił. Psy się już tak rozżarły, że gryzły się i między sobą. Doszedłem jednak, okraczyłem juchę i pchnąłem dobrze, bo aż po rękojeść — a on mi się jeszcze podał na nóż. Próbowaliśmy go potem wyciągnąć z oparzeliska, ale ani rusz, bo nam samym nogi zapadały w bajoro. Gruba sztuka, funtów ze czterysta, albo więcej. Zamoczyliśmy się przytem wyżej kolan i, nim doszliśmy do drogi, przejął nas chłód. Na drodze przysiedliśmy się na furę, co jechała z sucharami — i było jeszcze zimniej. Plichta zaczął zębami dzwonić i mówił, że się zanadto zmęczył. W domu napił się raz i drugi wódki, ale nie chciał jeść. Pod wieczór pomiarkował sam, że z nim źle, bo nie mógł oddychać i kłuło go pod łopatkami.

Anusia uprosiła go, żeby się położył, i zgrzała mu wina z cynamonem, a on dodał jeszcze z pół naboju prochu i wypił. Ja, niedługo myśląc, pojechałem do domu, stamtąd po felczera do Łęcznej i wieczorem przywiozłem go do Zagnania. Felczer puścił staremu krew i to mu trochę ulżyło. Przesiedzieliśmy przy nim z Anusią całą noc, a nazajutrz przyjechało matczysko. Anusia okropnie niespokojna, ale felczer ją pociesza. Powiada, że każdy inny poszedłby na księżą grudź, ale taki mocarz jeszcze się wykaraska. I ja też myślę, że się wykręci, dlatego też nie biorę tego tak bardzo do serca i cieszę się z moich dukatów, bo jak tylko Plichta stanie na nogi, ruszamy, co?

— Ja będę gotów — rzekł Marek — tymczasem

pojadę z tobą odwiedzić starego żołnierza w Zagnaniu. Godzina jeszcze wczesna, więc tylko się przebiorę i chętnie będę ci towarzyszył.

— Bóg ci zapłać; poco masz się przebierać?

— Bo tam zastanę twoją matkę i pannę Annę, a przytem pojadę stamtąd z pożegnaniem do Leżnicy. Szkoda, że Kajetan w Łęczycy. On żył w przyjaznych stosunkach z Plichtą, co mnie nawet w swoim czasie dziwiło.

— Plichta poznał się na Kajetanie wcześniej i lepiej od nas. Ale ty patrz, żeby ci się w Leżnicy duch nie stłukł.

Marek wzruszył ramionami.

— Ktoby mnie tam miał odwodzić od wyjazdu i dlaczego? Gdy odejdę, nikt nie spojrzy na ślady moje, które pierwszy wiatr zwieje.

— Bardzo to poetycznie powiedziane, ale tymczasem śpiesz się.

Jakoż w pół godziny później ruszyli obaj do zagnańskiego leśnictwa, w którem mieszkał Plichta. Przyjęły ich tam: pani Cywińska, matka Stanisława, niemłoda już, ale pełna życia kobieta, o dobrych i rozumnych oczach, oraz lnianowłosa Anusia, której twarzyczka wyglądała jak rumiane, zroszone deszczem jabłuszko. Stary nadleśny miał się gorzej. Felczer puścił krew po raz drugi i bardzo obficie, z czego skutek był taki, że chory majaczył chwilami nie z gorączki, ale z osłabienia. Marka jednak poznał, natomiast Cywińskiego powitał pytaniem: „Gdzie naczelnik?“ poczem ją spoglądać na własne palce, któremi zgarniał koło siebie kołdrę. W alkie-

rzu czuć było mdły zapach krwi; na oknie leżały pokrwawione bandaże. Anusia poiła co chwila ojca odwarem ziółek, tłumiąc czkawkę, której jej nabawiło gwałtowne hamowanie łkań, a pani Cywińska wzięła obu młodzieńców do drugiego pokoju, i tam ze łzami w oczach, ale zarazem z tą pewną skwapliwością, jaką kobiety, pilnujące chorych, okazują zawsze, gdy mogą zwiastować pomyślne lub niepomyślne nowiny, poczęła szeptać:

— Źle! Może do wieczora nie dożyć; trzeba posłać po księdza.

Stanisław stropił się ogromnie.

— Jakto? To naprawdę?

— Niezawodnie, niezawodnie! — szeptała prędko pani Cywińska. — Przed chwilą począł się rozglądać po pokoju, jakby czegoś szukał, i nos mu się robi coraz ostrzejszy. Ach, Matko wielkiego miłosierdzia! Anusia też to rozumie. Biedna dziewczyna zostanie sama jak palec, ale temu się zaradzi. Tymczasem trzeba księdza i to prędko.

— Ja — rzekł Marek — miałem i tak jechać do Leżnicy, więc wstąpię do proboszcza i wyślę go natychmiast.

— Bóg zapłać, tylko niech się waćpan pośpieszy, póki chory choć chwilami przytomny.

W kilka minut później Marek pędził już do Leżnicy, leśną, niecałkiem jeszcze rozmarzniętą drogą. Myślał przedewszystkiem o tem, że stary nadleśny umiera, że trzeba mu księdza, ale zarazem przypominał sobie, że jedzie z ostatniem pożegnaniem do Klarybelli. Chciał ułożyć jakieś odpowiednie wznio-

słe wyrazy pożegnania, w którychby cierpienie i tajone uczucie tak przebijało się przez powłokę słów, jak żar przebłyska z pod popiołu. Ale mu nie szło, gdyż to, co widział w Zagnaniu, plątało mu wątek myśli. Tam było prawdziwe, nie zaś urojone nieszczęście; tam serce starego żołnierza miała przysypać ziemia, tam miały popłynąć szczere łzy sieroce, tam nie trzeba było wmawiać w siebie ni żalu, ni nieszczęścia. On zaś czuł, że musi w siebie trochę wmawiać żal i smutki — i to poczucie było mu nie w smak, gdyż towarzyszyła mu także myśl, że Cywiński kocha swoją Anusię daleko prawdziwiej i rzetelniej. Wszystko to razem wzięte sprawiło, że ogarnęła go niepohamowana chęć wyjechać jak najprędzej i zaciągnąć się do legjonów, albowiem pojął w tej chwili, że tam rozpocznie się jakaś prawda i to prawda potężna, wobec której nie trzeba będzie wmawiać w siebie czegokolwiek, ani też poetyzować i przyozdabiać rzeczywistości.

Tak rozmyślając, dojechał do Leżnicy. Na plebanji opowiedział, o co chodzi, i rozstał się z dziekanem dopiero wówczas, gdy ów siadł na bryczkę i gdy rozległ się dzwonek, na którego głos ludzie klękali przy drodze. W kwadrans później był on we dworze.

Serce zaczęło mu jednak bić żywiej na myśl, że za chwilę ujrzy tę Klarybellę, która tak długo była przedmiotem jego marzeń i uczuć. Podczas ostatnich dni głowę miał z powodu narad, układów i przygotowań tak zaprzątniętą, że panna Klarybel'a stała się dla niego poniekąd mniej rzeczywistą i stopniowo

poczęła się zmieniać jakby w dźwięczne imię, jakby tylko w pełne melancholji wspomnienie dziewiczej piękności, jakby w coś, co raczej było, niż jest. A teraz miał ją znów zobaczyć w cielesnej postaci, dotknąć jej ręki, słuchać jej słów, zapamiętać ją i pożegnać na wieki. Wobec tego ogarnęło go rozczulenie, chociaż sam nie wiedział nad kim i nad czem się rozczula.

Panie nie ukazywały się dość długo, więc tymczasem chodził po bawialni i, chcąc ją sobie wbić w pamięć, spoglądał to na bladoniebieskie meble z powszywanemi naukos gobelinowemi pasami, to na oszkloną „etażerkę“, pełną saskich figurynek, to na szpinet, to na złocony zegar, przedstawiający Dianę, ciągniętą przez jelenie, to na migotliwe kryształy w żyrandolu. Salon był umeblowany dość wspaniale, ale Marek wiedział, że to jest pozostałość lepszej przeszłości i że pod tym zbytkiem kryje się ruina, że starostwo pani Sokołowskiej zabrał rząd pruski i że panna Klarybella, córka jeszcze bardziej zrujnowanych rodziców, biedniejszą jest naprawdę od Anusi Plichcianki. Mówił o tem Markowi stary szambelan i Kajetan.

Nakoniec drzwi się otworzyły i weszła panna Klarybella. Markowi wydała się w pierwszej chwili jakby starsza i mniej ładna, albowiem przedwiosenne powietrze opryszczyło jej czoło, a bielidło nie zdołało pokryć pryszczów należycie. Jednakże zadrgało w nim serce, gdy, pochyliwszy głowę, wyczuł ustami ciepło jej ręki. Podniósł też następnie na nią oczy ze szczerem wzruszeniem, ale nie po-

witała go pocałunkiem w czoło, jak wówczas w Różycach, lecz, wskazawszy mu ręką krzesło, siadła naprzeciw i czekała na pierwsze jego słowa.

— Przybyłem — ozwał się Marek przerywanym głosem — przybyłem do pani starościny i do waćpanny z ostatniem pożegnaniem.

— Wiem — odpowiedziała panna. — Ostatnim razem mówił mi o wyjeździe waćpana szambelan August.

— Przedtem była tajemnica, więc nie mogłem mówić otwarcie, ale teraz mogę: jadę do Włoch i zaciągam się do legjonów pod Dąbrowskim.

Coś dziwnego przemknęło na te słowa po twarzy panny — ni to zmieszanie, ni wzruszenie — i dopiero po dłuższej chwili milczenia, odrzekła jakby z wahaniem:

— Słyszałam, że tam jest już wielu naszych dawnych wojskowych...

— Wielu po upadku insurekcji wyjechało do Francji. Ci przyjęli obywatelstwo francuskie i zaciągnęli się do armji republikańskiej. Ale teraz, gdy utworzyły się legjony polskie, wszyscy przeszli do nich.

— To waćpan spotka tam może...

Znów zawahała się, tak, że Marek spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Kogo? — zapytał.

— Znajomych — odpowiedziała, przymykając oczy.

— Być może. Kilku przyjaciół idzie wraz ze mną, a w każdym razie będę wśród rodaków.

— I wyjazd waćpana nieodmiennie już nastąpi. Czy trudy wojenne nie będą nad jego siły?

— Syn jenerała Dąbrowskiego jest znacznie młodszy ode mnie, a służy w szeregach. Wyjazd mój już jest postanowiony i nic nie zdoła mnie od niego odwieść.

Po chwili zaś dodał:

— Dlatego właśnie przybyłem pożegnać się i prosić o dobre słowo na drogę. Młody jestem, ale chcę ofiarować krajowi krew moją.

Pierś panny zaczęła falować żywiej. Widocznie rozmowa nie była bynajmniej dla niej obojętną, ale Marek nie umiał zdać sobie sprawy, co ją tak porusza — czy jego odjazd, czy to, że we Włoszech utworzyły się legjony polskie.

Klarybella wyciągnęła do niego obie ręce:

— Niech pana Bóg prowadzi, strzeże i pozwoli okryć się sławą wśród obcych.

Chłopiec pochylił się, przywarł ustami do jej dłoni i począł mówić zdławionym głosem:

— Dziękuję. Byłem dla pani i jestem... całą duszą oddanym jej przyjacielem.

Wierzył w tej chwili, że ją kochał nad życie, że ją kocha jeszcze, i byłby klęknął przed nią, byłby prosił ją o jaką pamiątkę, o wstążkę lub pukiel włosów, ale tymczasem w przyległym pokoju dały się słyszeć kroki pani starościny.

Drobna staruszka weszła do salonu z okularami na nosie, z koszyczkiem i kawałkiem pasa polskiego, który połyskiwał złotemi nitkami i purpurą. Po przywitaniu siadła przy okrągłym stoliku obok

Marka, podniosła rękę ku głowie, dała w powietrzu prztyczka palcami, a następnie ogarnęła ucho dłonią na znak, że gotowa słuchać.

— Ciociu — ozwała się głośno panna Karybella — pan Marek Kwiatkowski przyjechał nas pożegnać, gdyż zaciąga się do wojska polskiego we Włoszech.

— A, chwalę! — odpowiedziała staruszka — ale to się nanic nie zdało. Kościuszko? co? On ze mną raz tańczył, kiedy jeszcze był kadetem... Nieszczególny był tancerz... Co za porównanie z jenerałem Komarzewskim, albo z Trembęckim... Ale teraz cały świat się Kościuszką zajmuje...

— Pan Kwiatkowski będzie służył pod jenerałem Dąbrowskim...

— Pod Dąbrowskim? Znałam także... Ostatni raz na obiedzie u Suwarowa. Sadzał go wyżej od jenerałów pruskich, o co się Niemcy bardzo gniewali. Dąbrowski?... Słuszny mężczyzna, trochę niezgrabny... Ale to już się nanic nie zdało...

To powiedziawszy, zaczęła wyciągać nitki z resztek pasa i po chwili rzekła:

— Z tamtego żałobnego było sześć łyżeczek srebrnych, a z tego będzie sześć złotych...

Poczem do Marka:

— Proszę?... Co waćpan mówi.

Marek niewiele miał do powiedzenia, tem bardziej, że wiedział, iż staruszka niezbyt go lubi. Po pewnym czasie pożegnał się i wyszedł. Gdy znalazł się w sieni, pojawiła się nagle przed nim panna

Klarybella, której nie spodziewał się już widzieć. Odprawiwszy skinieniem służącego, który podawał Markowi płaszcz, czekała przez chwilę, póki nie opanuje wzruszenia, nakoniec rzekła:

— Mam parę słów jeszcze do waćpana i prośbę, wielką prośbę...

Marek skłonił się w milczeniu.

— Waćpan spotka może we Włoszech oficera Bogusławskiego... Na imię mu Ferdynand Jakób... To mój przyjaciel z lat dziecinnych... Jeśli jeszcze żyje, oddaj mu waćpan ten oto pierścionek i powiedz...

Tu głos panny załamał się i ucichł. Marek wziął żelazną obrączkę, którą mu podała, i, poczekawszy kilka minut, zapytał:

— Co mam mu powiedzieć?

— ...I powiedz, by ten, który ma ode mnie, wrzucił w morze...

Na twarzy Marka odbiło się zdumienie, były to bowiem rzeczy całkiem dla niego niespodziane.

— Czy waćpanna nie powierzy mi jakiego listu? — zapytał.

— Nie. Nie umiem pisać po polsku, a nie chcę po francusku... Trudno mi i teraz mówić, ale niech mu waćpan powie, by mi nie złorzeczył, bo... bo i tak jestem dość nieszczęśliwa...

Tu panna Klarybella przycisnęła powiekami oczy, by nie puścić wzbierających w nich łez, jednakże długie jej rzęsy operliły się nagle, poczem zawołała z pośpiechem:

— To wszystko! Adieu! Adieu! — i znikła w bocznych drzwiach sieni.

* * *

— Ach! — myślał Marek, wyjechawszy za dworską bramę — więc moje nadzieje, a raczej moje supiry, bo jakież mogłem mieć nadzieje, były od początku płonne... Nie wiedziałem i nie domyślałem się, że w jej sercu panuje kto inny... i teraz wywożę tylko tę obrączkę, którą muszę oddać we Włoszech...

I nie spostrzegł się narazie, że taki obrót rzeczy wywołuje w nim daleko więcej zdziwienia, niż smutku. Tymczasem wydobył obrączkę z kieszeni i począł jej się przyglądać. Była z emaljowanego na czarno żelaza, na którem widniały wyemaljowane na biało dwa wyrazy: „spes mea". Marek odczytał je głośno, powtórzył kilkakrotnie: „spes mea" i począł kiwać głową. Oto jak zawistne losy depcą po sercach i po nadziei! I wobec niedoli tych dwojga ludzi znów nie pomyślał, że i jego spotkał przecież zawód. Ogarnęło go współczucie dla panny Klarybelli i dla tego oficera, który bił się tam gdzieś na drugim końcu Europy. Panna Klarybella wyszlachetniała w oczach chłopca i okryła się nimbem poetycznej ofiary, wiedział bowiem, że wychodzi zamąż dlatego, by zapewnić rodzicom kawałek chleba i dach nad głową. Był przytem jeszcze takiem dzieckiem, że to, iż ona wybrała go na powiernika i posła, napełniło go pewną dumą. Zro-

działa się w nim chęć, by złożyć na ołtarzu ofiarnym własne uczucia i wyrzec sie wszelkiej myśli o Klarybelli. Ale zrozumiał jednak, że byłoby to bardzo skromne poświęcenie, albowiem stałoby się wielkiem tylko w takim razie, gdyby to on sam, a nie szambelan miał się z nią żenić. Przemknęła mu nawet przez głowę myśl zapisania Różyc na wypadek swej śmierci pannie Klarybelli, by ją uwolnić tym sposobem od małżeństwa ze stryjem, i postanowił wspomnieć o tem Kajetanowi, choć czuł i obawiał się, że Kajetan go wyśmieje.

Lecz dalszą grę wyobraźni zmącił mu widok zaprzężonej w czwórkę karety, która nadjeżdżała zprzeciwka. Siedział w niej, widny przez zwierciadlane szyby, szambelan August, w białej upudrowanej peruce, wyróżowany, wystrojony, podobny do woskowej figury, odmłodzony, piękny. Jechał do Leżnicy. Spostrzegłszy Marka, przymrużył oczy, podniósł wgórę dłoń, kiwnął nią protekcjonalnie, uśmiechnął się z triumfem i przejechał. „Jaki wspaniały!“ — pomyślał Marek — i narazie ogarnął go gniew, lecz w chwilę później zmienił się w złośliwe zadowolenie. „Cokolwiek się stanie, jakkolwiek rzeczy się obrócą, nie zazdroszczę stryjowi ni jego triumfów, ni małżeństwa“. Nagle szambelan wydał mu się istotą godną politowania, a jego przyszłe życie, czy z Klarybellą, czy bez niej, jakąś śmieszną i zarazem smutną komedją.

Po spotkaniu stryja chciał jechać do Zagnania, ale poczuwszy, że jest ogromnie głodny, pojechał do Różyc. W Różycach zastał Kajetana, który przed

godziną powrócił z Łęczycy i który, dowiedziawszy się o chorobie Plichty, oświadczył, że pragnie go także odwiedzić.

Stary żołnierz, od czasów Targowicy, a zwłaszcza od wojny kościuszkowskiej, zerwał był wprawdzie wszelkie stosunki z Kwiatkowskimi, ale zdarzyło się, że gdy przeszłej zimy Kajetan zabłądził w czasie zamieci w lesie, Plichta, natknąwszy się wypadkiem na jego sanie, przywiózł go do Zagnania nawpół zmarzłego, odegrzał, posilił i przetrzymał w domu, póki zamieć nie ustała. W czasie tych mimowolnych odwiedzin Kajetan potrafił widocznie rozprószyć uprzedzenia starca co do siebie, albowiem od tej pory witali się przy spotkaniach w kościele w Leżnicy, a nawet widywali się w Zagnaniu, gdzie młody szambelan składał kiedy niekiedy dziękczynne wizyty swemu wybawcy.

Obaj młodzieńcy postanowili wobec groźnego stanu Plichty wybrać się do niego zaraz — i po lekkim posiłku ruszyli w drogę małą zaprzężoną w parę koni karjolką. Miało się pod wieczór. Zanim wyjechali ze wsi, Marek opowiedział naprzód, jak wyprawił księdza z Panem Bogiem z Leżnicy, a następnie jął mówić o swej wizycie we dworze. Nie chcąc, by woźnica ich rozumiał, rozmawiali po francusku. W umyśle Marka zrodziła się wątpliwość, czy ma prawo powtórzyć to wszystko, co powiedziała mu panna Klarybella, ale ponieważ chodziło o Kajetanowego ojca, a panna Klarybella nie zastrzegła wcale tajemnicy, Marek pomyślał, że tak samo Kajetanowi powierzyłaby obrączkę, gdyby

to on jechał do Włoch — i postanowił mówić otwarcie.

— Daj mi słowo — rzekł — że to, co ci powiem, pozostanie zawsze między nami.

— Daję najchętniej — odpowiedział Kajetan. — Wiesz przecie, że jestem z natury milczek.

— Więc naprzód zapytam, czy myślisz, że małżeństwo stryja dojdzie naprawdę do skutku?

— Nie mam żadnej wątpliwości. Ojciec chce, by ślub odbył się jak najprędzej. Wczoraj znów powtórzył, że jedzie po dyspensę od zapowiedzi do Warszawy. Namawiał mnie nawet, bym jechał z nim razem.

— I co dalej będzie? Pomyśl o różnicy wieku. Stryj ma siedmdziesiąt trzy lata. Jak się to obróci?

Marek zapomniał w tej chwili o tem, co w swoim czasie mówił Cywińskiemu, że Saturn nie ma skrzydeł, a Amor je ma i dlatego unosi się nad przestrzenią i czasem.

A Kajetan ruszył ramionami.

— Co będzie? — powtórzył. — Licho wie. Nie będzie nic dobrego, bo nie może być. Nie miałem i nie mam co do tego żadnych złudzeń.

— Skoro nie miałeś żadnych złudzeń, to czyś nie próbował perswadować?

— Perswadować poważnie nanicby się nie zdało. Próbowałem, jak wiesz, ironji, ale ojciec się tem tylko drażni, a kiedyś odpowiedział mi tak: „Masz po matce własny majątek, a jeśli mój rozdzieli się na kilka osób, to i w takim razie ‘z głodu nie umrzesz“.

— W ostatnich czasach rozmawiałeś jakoś czę-

ściej z panną Klarybellą, czy nie zdarzyło ci się mówić i z nią o tem małżeństwie?

— Nie. Nie mamy wzajem do siebie sympatji, a to wyłącza ufność.

— Gdybyś jednak spróbował zbliżyć się z nią i przełamać lody...

— Lód jest i po tamtej stronie bardzo gruby...

— Mnie chodzi o Klarybellę — mówił Marek — i powiem ci otwarcie, że przedewszystkiem o nią. Bo widzisz, małżeństwa między osobami w tak nierównym wieku nie są zwykle szczęśliwe, ale czasem mogą być spokojne...

— Mówisz roztropnie, nad twoje młode lata — przerwał Kajetan.

— Pozwól... Bywają czasem spokojne... Ale jeśli kobieta, która wychodzi za starca, kocha innego, wtedy życie jej staje się jednem męczeństwem.

— A czy panna Klarybella kocha innego? — zapytał zimno Kajetan.

— Tak jest.

— Tem gorzej dla papy.

I tu spojrzał na Marka z uśmiechem pełnym wyrozumiałości i politowania dla jego młodzieńczej naiwności, a Marek zrozumiał, zarumienił się po uszy i odparł żywo:

— Ani mi się śniło myśleć o mnie. Ten, którego ona kocha, jest oficerem w legji Dąbrowskiego i przelewa krew za wolność narodów. Może już nie żyje, ale prosiła mnie, bym w razie, gdy go spotkam, oddał mu tę oto obrączkę...

Tak mówiąc oddał obrączkę Kajetanowi, a ów

zbliżył ją do samych oczu, obrócił wokoło i przeczytał: „spes mea".

Po chwili milczenia uśmiechnął się znowu, ale tym razem gorzkim i szyderczym uśmiechem.

— „Spes mea" — powtórzył. — Wszakże to Seneka powiada: „Nie buduj domu na piasku, a szczęścia na sercu kobiecem". Niezłą miał przecież żonę stary Seneka, bo Paulina straciła dla niego cerę, a jednak on to powiada...

— Ty się śmiejesz, Kajetanie?

— Prawie, albowiem myślę, że jeśli ów legjonista żywi się tylko tą nadzieją, to nie musi być otyły.

— Gdybyś widział Karybellę, tak jak ja ją widziałem, smutną, ze łzami w oczach, tłumiącą łkanie, nie szydziłbyś z jej nieszczęścia. Nigdy w życiu nie zapomnę tego widoku i oddałbym nie wiem co, byle wrócić jej choć nadzieję.

— Której dobrowolnie się wyrzeka. Podziwiam cię tem bardziej, iż i tobie nie była obojętna. Nie umiałeś skrywać twoich młodzieńczych uczuć, które mogły mieć siedlisko tylko w wyobraźni, jednakże płonęły tak jasno, że wszyscy je widzieli: ja, ojciec i ona. Ale współczucie unosi cię za daleko, bo ostatecznie, gdyby kochała tamtego legjonistę, to nie zgodziłaby się na małżeństwo z moim ojcem.

— Ale czyż nie rozumiesz, że tam ruina i że chodzi jej o chleb dla rodziców.

— Tak się to mówi, bo to brzmi żałośniej i poetyczniej. Wyrożębscy to znaczny ród i między ich krewnymi są niezawodnie nietylko ludzie zamożni.

ale i magnaci. Wiesz przecie, jak to bywa u nas w Polsce. Tacy bogaci krewni znajdą zawsze dla uboższych — choćby przez pychę rodową — czy to jaką rezydencję, czy jaki folwark dzierżawny, czy jakąś intratę, a w ostatecznym razie dadzą u siebie mniej więcej wygodny przytułek. Ludzie o znacznych nazwiskach nie umierają u nas dotychczas z głodu. Takie czasy może nadejdą, ale jeszcze nie nadeszły. Nie, mój drogi! Tu nie o dach nad głową i nie o chleb chodzi, ale o wygody, o woskowane posadzki, o miękkie karła, o złocone *trumeaux*, o służbę w liberji i zbytkowne pokoje. Klarybella do takiego życia przywykła i nie umie się z niem rozstać i dlatego, nie zaś dla chleba, poświęca swego legjonistę. A przychodzi jej to tem łatwiej, że on może już i leży pod jakim cyprysem we Włoszech.

Marka uderzyły te słowa, gdyż wyczuł w nich niemiłą i niemiłosierną prawdę. Jednakże wystąpił jeszcze w obronie Klarybelli.

— Ona to czyni nie dla siebie — rzekł.

— A kto będzie mieszkał w pałacu różyckim, a potem w birkowskim?

— A jednak ja wierzę w jej szczerość, w jej żal i w jej łzy.

— Gdy kobieta pokwituje łzami, uważa, że dług spłacony.

— Kajetanie, nie potępiaj jej zgóry, bądź dla niej wyrozumiałym, pozyskaj jej ufność. O to cię tylko proszę, bo czy ty słusznie mówisz, czy nie, ona jest naprawdę nieszczęśliwa.

— Nie chcę ci odmawiać, choć wątpię, by mogło przyjść między mną a nią do ufności.

Wjechali w las. Do Zagnania nie było już daleko. Na świecie mroczyło się.

— Jak się nazywa ten legjonista? — zapytał Kajetan.

— Bogusławski.

— Ach!...

— Znałeś go może?

— Nie, ale to bardzo dzielny oficer. To nazwisko powtarzało się kilkakrotnie w biuletynach Kościuszki, które mam w domu i które ci pokażę. Nie wiem, czy to będzie ten sam, bo takie nazwisko nosi u nas wiele osób, ale pamiętam je dobrze.

Marek nie odpowiedział, gdyż byli blisko leśniczówki. Począł teraz myśleć o chorobie Plichty. Mimo obaw pani Cywińskiej i mimo, że sam wyprawił księdza z Leżnicy, nie przypuszczał, żeby choroba starego żołnierza miała się źle skończyć.

W siedmnastym roku życia pojęcie o śmierci jest czemś jakby nierzeczywistem, nieokreślonem i niedopuszczalnem. Wie się, że ona gdzieś tam po świecie ludzi zabiera, ale się nie wierzy, by miała przykryć swym całunem nas samych, albo nam bliskich. Marek spodziewał się nawet, że może stan chorego przesilił się już i że zastaną go zdrowszym. Przypomniał sobie, że i Cywiński nie tracił ani na chwilę nadziei i zapewnił go, że ich wyprawa nie ulegnie zwłoce.

Był jednak co do wyprawy innego zdania, więc gdy wjechali w opłotki i zdala widać już było

oświecone okna dworku, rzekł, idąc za biegiem własnych myśli:

— Stanisław, jako narzeczony panny Anny, nie będzie jednak mógł wyruszyć, póki kapitan Plichta nie wstanie z łóżka.

— A ty zapewne zaczekasz na Cywińskiego? Tem lepiej.

— Ja chciałbym jak najprędzej. Cywiński jest wprawdzie bardzo zaradny, ale beze mnie będzie mu trudno. Francuszczyzny liznął trochę, jeszcze od księdza Lagrange'a, natomiast po niemiecku nie umie ani słowa, a to przecie podróż przez kraje niemieckie.

— Gdzie nieraz trzeba będzie się tłumaczyć, dokąd i po co jedziecie. Przytem i tobie byłoby z Cywińskim raźniej.

Jechali teraz noga za nogą, po rozbłoconej, ciężkiej drodze. Z prawej strony widać było zabudowania folwarczne, a bliżej studnię z żórawiem, przy której parobczak poił przybrane już w chomąta konie. Marek poznał człowieka Cywińskiego i, przechyliwszy się, zapytał:

— A kto to odjeżdża? starsza pani, czy młody pan?

— Młody pan, do Łęczycy po trumnę — odpowiedział furman.

Marek i Kajetan spojrzeli na siebie ze zdumieniem i przestrachem.

Po chwili wyskoczyli obaj z bryczki przed gankiem. Na ganku stało ze strapionemi twarzami kilku borowych, organista z Leżnicy i babka ko-

ścielna. Jeden z leśników, widocznie dawny żołnierz, o białych długich wąsach, wyprostował się i potwierdził wiadomość:

— Pan kapitan Plichta umarł.

Weszli do sieni, a następnie do pokoju. Tam ujrzeli Anusię, opartą czołem o ścianę, szlochającą tak, że cała jej postać dygotała jak w febrze. Tuż za dziewczyną stał Cywiński, który, przechylając się to na prawo. to na lewo, powtarzał błagalnym głosem:

— Panno Anno, na rany boskie! panno Anno!...

Młodzi ludzie weszli do przyległego alkierza. Tam, na łóżku, pod kołdrą jeszcze, z wyciągniętemi wzdłuż ciała rękoma leżał Plichta. Na powiekach położono mu dwa miedziaki, a szczękę podwiązano chustką, by nie pozostał z otwartemi ustami. W głowach łóżka paliła się gromnica, rzucając żółte blaski na czoło zmarłego, na obraz Matki Boskiej, na dwie oficerskie szpady i na dwie ryciny, przedstawiające Kościuszkę w sukmanie i Ksawerego Działyńskiego z czaplem piórem u czapki. Duże, okrągłe miedziaki, przyciskające powieki, wyglądały jak oczodoły w trupiej czaszce. Brwi nieboszczyka były zmarszczone, twarz jakby stroskana, a zaciśnięte, z powodu podwiązania chustką, usta dawały mu wyraz pewnej zawziętości. Blizna na policzku stała się już błękitna.

Przy łóżku klęczała ze spłakaną twarzą pani Cywińska. Kajetan i Marek nie należeli do ludzi głęboko wierzących, jednakże uklękli obaj i poczęli szeptać: „Wieczny odpoczynek“. Po chwili wstali

i wyszli, a z nimi razem i pani Cywińska. W pierwszym pokoju Anusia wciąż stała z czołem opartem o ścianę, a Stanisław za nią. Lecz Matka odsunęła go i objąwszy łkającą dziewczynę, przycisnęła ją do piersi i rzekła: „Idź, kochanie, do ojca". Poczem odprowadziła sierotę do drzwi alkierza. Cywiński poszedł, by modlić się z nią razem.

— Nie spodziewaliśmy się nie zastać już kapitana przy życiu — ozwał się Marek.

A pani Cywińska z taką samą skwapliwością, z jaką przedtem wypowiadała swe obawy, poczęła teraz mówić pocichu i z wielkim pośpiechem:

— Spowiadał się i komunikował tak, że nie daj Boże gorzej nikomu z nas. Ale w godzinę później widać było, że już niema nadziei. Potrzymał Anusię za skronie, powtórzył dwa razy: „Moje dziecko", a potem począł patrzeć w jedno miejsce na ścianie, jakby tam kogo widział. Chwilami tracił przytomność, chwilami odzyskiwał. Przypomniał sobie Racławice i wołał na mego Stacha, żeby prowadził chłopów z kosami. Pytał się kilka razy, gdzie naczelnik... I widocznie stanęły mu wkońcu w oczach Maciejowice, bo nie schodził z radością z tego świata. Przeszkadzala mu już czkawka, ale słyszeliśmy jeszcze, jak powiedział: „Nieprawda! nie mówił: *finis!*" Oczywiście, że mówił o Kościuszce. Anusia spostrzegła pierwsza, że już rozpoczęło się konanie, i uklękła przy łóżku, a ja zapaliłam gromnicę. W chwilę potem skończył.

— Co się stanie z panną Anną? — zapytał Marek.

— Anusię zabierzemy do nas, do Rudni — od-

powiedziała pani Cywińska. — Męża mego niema: pojechał z ratą dzierżawną. Gdyby nie to, jużby tu był... Ale Anusię zabiorę dziś jeszcze. Przy nieboszczyku zostanie służba miejscowa, organista i babka kościelna. Razem go ubiorą. Jeśli Stach znajdzie w Łęczycy trumnę gotową, a myślę, że znajdzie, to jutro nieboszczyk będzie już w trumnie. Trumna, to już wiadomo, że śmierć, ale póki ciało w łóżku, to wtedy najokropniej patrzeć. Trzeba będzie Stacha teraz wywołać, żeby jechał, a sama pójdę do tego kochanego biedactwa.

To rzekłszy, wywołała syna, poczem sama weszła do alkierza. W kwadrans później Cywiński ruszył do Łęczycy, a Kajetan z Markiem napowrót do Różyc.

Przez jakiś czas nie mówili do siebie nic, obaj pod wrażeniem tej śmierci i tej troski, przywarłej do twarzy zmarłego. Dopiero, gdy z mroku leśnego wyjechali na czyste, obszerne pole, Kajetan począł mówić:

— Szkoda człowieka. Umarł dzielny żołnierz i prawy Polak, a takich teraz coraz mniej.

— I przyszło to tak niespodzianie. Byłem prawie pewny, że się ta choroba przemoże. Ach, co to jest życie człowieka, jego zamiary, jego nadzieje! Pamiętam, jak kiedyś mówił mnie i Cywińskiemu: „Ciężko mi będzie umierać pod tą zmorą pruską, ale może Bóg da, że jeszcze dożyję zmiany...“

— I umarł pod zmorą pruską. Nam wszystkim siedzą teraz na piersiach zmory. Czyś zauważył, co mówiła pani Cywińska o ostatnich słowach nieboszczyka?

— Tak. Myślał o kraju i przeczył tym nędznym gadaniom, jakoby Kościuszko miał powiedzieć: *Finis Poloniae.*

Kajetan podniósł swe krótkowzroczne oczy ku księżycowi, który zalewał pola bladem światłem i srebrzył się na śniegach, leżących jeszcze tu i owdzie w brózdach polnych.

— *Finis Poloniae, finis Poloniae!* — powtórzył. — Jest coś niepojętego w tych wyrazach. Przed kilku jeszcze laty był rozległy kraj, który zwał się: Polska, był król, senat, sejm, wojsko, szlachta, lud, miasta, wsie, miljony ludzi, wielkie polskie życie... A teraz wszystko znikło i zamiast tego są tylko Prusy, Rosja i Austrja. Sterczą tylko jakieś nowe słupy graniczne — i więcej nic! Ja wprost nie mogę ogarnąć imaginacją, nie mogę zrozumieć, że się to stało, a jednak stało się. I nie mogło być inaczej, skoro pod Maciejowicami, gdy ginęło ogromne państwo, biło się nie sto, nie dwieście, ale sześć tysięcy ludzi. A dziś? — widzisz te pola, te lasy, te łęgi, tę całą okolicę? — to wszystko już nie Polska! Widzisz ten księżyc? — i on nie świeci już nad polską, ale nad pruską ziemią. I wszystko prawda! Ogień, który rozniecił Kościuszko, zgasł. Zostały tylko zgliszcza. Pod Maciejowicami rozległ się ostatni krzyk, na Pradze ostatni jęk, a teraz cisza. Czasem zdaje mi się, że to zły sen, albo że ja tracę zmysły.

Tu Kajetan, zwykle spokojny i zimny, zdarł prawą ręką z lewej rękawiczkę i rzucił ją na ziemię, poczem, sam nie wiedząc co robi, ściągnął

drżącemi palcami z nosa okulary i jął mrugać rozpaczliwie a bezradnie.

A Marek objął mu ramionami szyję:

— Ach, jak ja cię dotychczas nie znałem!

Umilkli i przez czas jakiś słychać było tylko cmokanie błota pod kopytami koni.

— Bo — ozwał się znów Kajetan — choćby Kościuszko był zawołał pod Maciejowicami: *Finis Poloniae*, toby jeszcze można zrozumieć, jako chwilową rozpacz. Ale co, mój drogi, jest okropne, co jest przerażające, to to, że te same słowa powtarzają sobie dziś pocichu ludzie w Warszawie, w Poznaniu, we Lwowie i w Wilnie, że uwierzyli, iż tak być musi, że zżyli się z tą myślą, że inaczej myśleć nie są zdolni i że niczego już nawet nie pragną... Intrat, folwarków, spokoju, ciszy, zapomnienia, snu, niczego więcej! Sam słyszałem takie słowa: „To trudno! ciężko nam było przeżyć Polskę, ale skoro już jej niema, to musimy tak postępować, by nam było jak najlepiej". I akomodują się we wszystkich zaborach, i składają homagja, i bratają się z zaborcami, orzą, sieją, pożyczają pieniędzy, urzędują, żenią się, płodzą dzieci, bawią się i śmieją, albo, jeśli im niedość wesoło w kraju, a mają trochę grosza, to jadą do wód zagranicznych. Ot, w czem jest *finis Poloniae*. Życie się toczy, a Polski niema. Kto dziś naprawdę chce jej rezurekcji? Powiesz mi, że są i były próby, że są jakieś tajne towarzystwa, że dążą do wolności loże wolnomularskie. Ale ja ci odpowiem, że te próby są niedołężne, że w lożach więcej jest Niemców,

niż Polaków, a tych ludzi, którzy należą do tajnych towarzystw, możnaby na palcach policzyć. Polski powinny chcieć miljony, a miljony śpią. Jest cisza i hańba. Przeżyliśmy Polskę, ale po wiek wieków nie przeżyjemy hańby, bo zginęliśmy i giniemy bez honoru!...

Przy ostatnich słowach Kajetana gruby obłok przesłonił tarczę księżycową i uczyniło się ciemno. Posępny, beznadziejny mrok ogarnął zarazem i duszę obu młodych ludzi. Ale trwało to tylko chwilę. Wkrótce wiatr przepędził chmurę i równia polna oblała się znów srebrnem światłem, a jednocześnie Marek zwrócił rozjaśnione oczy na brata.

— Kajetanie — rzekł — we Włoszech są legjony polskie.

I począł mówić z wielkiem uniesieniem, że one ratują honor narodu, że są protestem wobec świata przeciw rozdarciu kraju, że walcząc za wolność ludów, walczą zarazem za wolność Polski, i że w nie wcieliła się dusza narodu, który chce żyć i żyć będzie.

IV.

Pogrzeb kapitana Plichty odbył się w Leżnicy Wielkiej. Zjechali się dość licznie księża i sąsiędzi, by uczcić starego żołnierza. Razem z Anusią przybyli starsi państwo Cywińscy i syn ich, Stanisław. Stawili się także opiekunowie Marka, Ważeński i Rostkowski, ludzie uczciwi i dobrzy patrjoci, ale okrutnie zacofani, którzy dotychczas nie mogli zrozumieć, dlaczego króla pruskiego nie pozwano zaraz po sejmie grodzieńskim przed trybunał piotrkowski za bezprawny zabór ziem polskich. Utrzymywali, że choćby to nie zapobiegło przemocy, byłaby na przyszłość podstawa prawna. Był Łuczyński, guwerner od Golczów, który miał stosunki z lożami masońskiemi. Z Różyc przybyli Marek i Kajetan, oraz stary szambelan, który przez udział w pogrzebie oficera kościuszkowskiego chciał odzyskać trochę popularności w sąsiedztwie, a zarazem spędzić po skończonej ceremonji resztę dnia we dworze leżnickim. Była to jednak z jego strony duża ofiara, albowiem niecierpiał pogrzebów. Za młodych lat miał dwa pojedynki o kobiety i nie uchodził za tchórza, ale nic nie napełniało go takim wstrętem, jak widok świeżo odwalonej na

cmentarzu kupy żółtego piasku, i nic takim strachem, jak śpiewy pogrzebowe.

To też w czasie *requiem aeternam* nie patrzył wcale na trumnę, tylko na pannę Klarybellę i kilkakrotnie podnosił do wyróżowanych nozdrzy flakon z solami. Panna Klarybella chwyciła za serce nawet Kajetana, gdyż zaraz po przysypaniu mogiły zbliżyła się z oczyma pełnemi łez do Anusi i, uściskawszy ją serdecznie, zaprosiła ją wraz z panią Cywińską do starościny Sokołowskiej. Pani Cywińska, ku wielkiemu oburzeniu i skrytej radości szambelana, odmówiła jednak, grzecznie, ale stanowczo, albowiem od śmierci kapitana uważała Anusię jakby za swą wyłączną własność i była przekonana, że prócz niej samej nikt nie ma prawa zajmować się nią, ani nawet jej pocieszać. Chciała też pomówić bez zwłoki z mężem o Anusi i Stanisławie, co do których miała gotowy plan, ułożony z wielkim wysiłkiem myśli w ciągu trzech dni, dzielących śmierć od pogrzebu. Plan ten, który miał uszczęśliwić oboje młodych, a zarazem zapewnić spokój do końca życia jej samej i mężowi, wydawał się zacnej niewieście ostatnim wyrazem macierzyńskiej polityki.

To też zaraz po powrocie z pogrzebu i po posiłku zabrała męża do jego własnej kancelarji i, zasiadłszy z robotą po drugiej stronie stołu, założonego rejestrami, poczęła w milczeniu nizać włóczkowe oczka. Cywiński domyślił się, że przyszła na dłuższą rozmowę, więc nabił fajkę, zapalił i czekał.

Był to człowiek lat sześćdziesięciu kilku, pleczysty, silny, ale z uciętą lewą ręką i bardzo blady.

Ta bladość miała swoją historję. W czasie rzezi Pragi, gdy otoczyło Cywińskiego rozjuszone żołdactwo, konny oficer rosyjski, chcąc go widocznie ratować, krzyknął: „Chwyć za strzemię“ — ale Cywiński nie chciał tego uczynić i padł skłuty bagnetami. Odratowany cudem, stracił wówczas tyle krwi, że od tej pory twarz miał jak z białego marmuru. Ale zdrowie wróciło mu, a wraz ze zdrowiem żywość i energja. Siedział na małej dzierżawie w Rudni i pracą wydobywał z niej tyle, że rodzina nie marła z głodu.

Lubił wzniecać obawę, choć w gruncie rzeczy posiadał niesłychanie poczciwe serce, o czem wiedzieli nietylko żona i syn, ale i czeladź w Rudni. Gdy był wzruszony, lub gdy zaskoczyło go coś niespodzianie, miał zwyczaj ściągać jakby do gwizdania usta i marszczyć brwi, co bladej twarzy jego nadawało wyraz zdumiony i groźny, zwłaszcza, że wytrzeszczał przytem oczy. Nad górną wargą nosił niewielkie siwiejące już wąsy, z pod których wyglądały dwa nieco przydługie, tak jak u syna, zęby, ale zdrowe i mocne. Mówił mało, wyrażał się krótko i węzłowato. W okolicy nazywano go „jakobinem“, albowiem od czasu jak pod Racławicami obaczył chłopów, idących z kosami na armaty, głosił, że poddaństwo powinno być zniesione, wielu zaś okolicznej szlachty uważało, że byłaby to „obraza boska i ludzka“. Miał jednak ów „jakobin“ przysłowie: „sto batów“ i, zwłaszcza przy gospodarstwie, szafował temi batami bez miary, na szczęście, jak mówiła czeladź: „jeno w gębie“.

Obecnie siedział za stołem i pykał, spoglądając

na żonę, a gdy mu się wydało, że jejmość milczy zbyt długo, zapytał z pewną niecierpliwością:

— Co Kundzia mówi?

— Chciałam z tobą pomówić o Anusi — odpowiedziała pani Cywińska. — Bo jeśli kapitan zostawił jaki testament, to niezawodnie ciebie mianował opiekunem. Więc myślałam, że najlepiej będzie zaraz zabrać do nas Anusię.

— Słusznie. Plichta był mi przyjacielem. Nie przewala się u nas złoto, ale kawałek chleba dla sieroty się znajdzie.

— Tylko, że to nie chodzi o czasową gościnę...

— Rozumie się.

— Jeśli tak mówisz, to rzecz skończona. Ale trzeba też spojrzeć na sprawę i ze strony Anusi. Boję się, że się będzie czuła na łasce, albo ciężarem dla nas.

— Jaki tam ciężar!

— Prawda, ale za każdą sukienką, jaką jej sprawimy, ona może coś podobnego pomyśleć.

— To będzie głupia.

— Pewnie, że tak. Trzeba wszelako i na to coś poradzić.

— Co Kundzia ma na myśli?

— Gdyby tak nasz Stach... Bo oni się przecie kochają i myśmy dobrze wiedzieli, jak to się musi skończyć... Otóż... gdyby to przyśpieszyć i wcale z tem nie zwlekać...

Pan Cywiński wyjął z ust cybuch, usta złożył do gwizdania, zmarszczył brwi, spojrzał groźnie na fajkę i zapytał:

— Hę?

A pani Cywińska, wiedząc, jak małżonek lubi, by okazywano przed nim strach, powtórzyła nieśmiało:

— Gdyby nie zwlekać ze ślubem?

— Sto!... A legjony?...

— Niechby się ożenił, a potem ruszył. Jeśli Anusia zostanie przy nas, jako synowa, to będzie całkiem co innego... A choćby też i Stach posiedział w domu trochę dłużej!... On nasz jedynak, legjony nie uciekną, a jak raz wyruszy z domu, to możemy go więcej nie zobaczyć...

— Polakowi tam teraz służba.

— A toż ja się nie przeciwię, tylko mi dziecka żal...

Cywiński, widząc, że oczy jej zachodzą łzami, spojrzał jeszcze groźniej na fajkę i począł chodzić po kancelarji.

Nagle przyszło mu coś widocznie do głowy, albowiem stanął przed żoną i rzekł:

— Kundzia tumani z tym ożenkiem...

— Ja? tumanię? dlaczego?

— Bo Kundzia myśli, że jak się Stach ożeni, to wcale nie pójdzie.

Pani Cywińska pochyliła głowę ku swej włóczkowej robocie i zamilkła.

— Prawda — rzekła po chwili. — Z tobą trzeba mówić szczerze, bo ciebie nikt nie otumani. Oddałabym resztę życia, byle Stach nas nie opuszczał i jeśli Anusia potrafi go zatrzymać, to będę ją błogosławiła do śmierci.

— A on będzie od psa oczu pożyczał, co?

— Mój Telesforze, ja jestem też Polka i rozumiem, co człowiek powinien ojczyźnie. Pamiętasz, kiedyście szli na wojnę kościuszkowską? Stach miał piętnaście lat. Co się ze mną działo, tego nie potrafię nawet wypowiedzieć. A czym mu broniła? Czym się spierała z tobą? Czym spazmowala? Nie! mówiłam sobie: on jedynak, ja matka, ale i Polka. Ilem łez w skrytości wylała, Bóg jeden wie, alem Stachowi nie broniła... Bo chodziło o ojczyznę i wojna była w kraju. Wszelako, co innego ojczyzna, a co innego Włochy. Gdyby mi tu był chłopak poległ, to przynajmniej wiedziałabym, że leży we własnej ziemi, mogłabym odnaleźć jego mogiłę, choćby leżał we wspólnej, i modlić się na niej za jego duszę. Ale tam, broń Panie Boże czego, to i słuch o dziecku zaginie. Okropność pomyśleć, że pochowają Bóg wie gdzie, w niepoświęcanej ziemi, bo te niedowiarki Francuzy wcale o takie rzeczy nie dbają. Prawda! Ja mam szczerą nadzieję, że jak się ożeni, to od Anusi nie ucieknie, ale co w tem złego? Albo te legjony coś wywojują i przyjdą tu do Polski, albo nie. Jeśli przyjdą, niech się Stach zaciągnie, słowa nie powiem. Ale poco on ma zaraz tam lecieć i bić się za Włochów, czy za Francuzów? Sam powiedz, jako ojciec i jako obywatel.

— Oni się tam poto biją, żeby tu wrócić.

— Więc jak wrócą, pójdziecie obaj, ale nie teraz.

Pan Cywiński począł przekładać mechanicznie rejestra, a chwilami spoglądać w okno. Nie byłby za nic w świecie odmawiał syna od udziału w walce

za kraj, ale gdyby Stanisław został z własnej woli, nie chcąc opuszczać młodej żony, nie brałby mu tego bardzo za złe, nawet jako obywatel. Wydało mu się, że w tem, co mówi matka, jest dużo słuszności, — i ze względu na Anusię, której położenie byłoby inne, gdyby została u nich jako synowa — i ze względu na legjony. „Nasi emigranci“ — myślał — „są wszędzie, i w Wołoszczyźnie, i w Konstantynopolu, i w Wenecji, i w Paryżu: oni to przedewszystkiem powinni iść do legjonów, a dezerterzy austrjaccy dopełnią liczby“. Uderzyła go trafność żoninej uwagi, że jeśli legjony wrócą do kraju, to wówczas będzie wszelki czas zaciągnąć się do nich, a jeśli nie mają wrócić, to iść do Włoch niema wielkiego obowiązku, ani wielkiego sensu. Żal mu było przytem syna, którego całem sercem kochał. Żołnierz, ale zarazem i domator, nigdy ani na krok nie wychylił się za granice kraju, więc i dla niego zgoła co innego było polec w Polsce i być przysypanym polską ziemią, a co innego zaprzepaścić się gdzieś za górami i za morzami.

Na myśl, że to Stanisława może spotkać, brał go strach. W głębi duszy, był także pewien, że ów, ożeniwszy się, zostanie co najmniej rok przy młodej żonie. W ciągu roku mogło się dużo rzeczy wydarzyć, mógł nawet i Dąbrowski znaleźć się w kraju.

Więc pan Cywiński złożył znów usta jak do gwizdania, a potem rzekł:

— Kundzia jest chytra jak liszka, ale ja Stachowi dałem pozwolenie i słowa nie cofnę, Anusia

w żałobie, a już o tem, żeby on chciał czekać, aż jej się żałoba skończy, niema gadania.

— Anusi wyperswaduję, że to są okoliczności wyjątkowe, a Stachowi, niech Bóg broni mówić, że musi zostać. Powie mu się tylko, że przed wyjazdem powinien się ożenić, a co potem nastąpi, to już Anusina rzecz.

— A same zapowiedzi? a ślub? mało na to miesiąca.

— Od zapowiedzi można wziąć, dyspensę. Przed samym pogrzebem dowiedziałam się, że Kwiatkowscy wybierają się do Warszawy. Mógłby Stach jechać z nimi i o dyspensę się postarać. Ja wiem, że ty nie chcesz znać starego szambelana, ale Marek to przecie przyjaciel Stacha, a Kajetan też dobry człowiek. Powiedział Marek, że — (jako to zwykle ludzie uczeni pisują do siebie) — tak i Kajetan pisał kilka razy do biskupa Krasickiego i miewał od niego odpowiedzi. Mógłby pomóc teraz Stachowi, i pewnie z chęcią to uczyni. Dyspensa to nietrudna rzecz. Możnaby ją bliżej dostać, ale co wielki ołtarz to nie boczne.

— Z groszem trudno. Ja dopiero zapłacił ratę dzierżawną, a Stanisław wyda w Warszawie to, co mu stryj przysłał, i nie będzie miał zaco jechać do Włoch.

A pani Cywińska, opuściwszy na kolana szydełkową robotę, złożyła ręce i poczęła powtarzać z nieukrywaną radością:

— Otóż to! otóż to! W Bogu nadzieja.

V.

Kwiatkowscy wybierali się rzeczywiście do Warszawy; stary szambelan również do „wielkiego ołtarza“ po dyspensę — i po sprawunki; Kajetan dla towarzystwa Marka, a Marek po paszport zagranicę do Fawratha. Panna Klarybella oświadczyła wprawdzie, że wolałaby, żeby sprawy ślubne odbyły się zwykłym trybem, ale szambelan chciał mieć na wszelki wypadek dyspensę gotową, a przytem poczuwał się do obowiązku złożenia wizyt w kilku domach, spokrewnionych z Wyrożębskimi. Cywiński przyjechał do Marka zaraz na drugi dzień po rozmowie z rodzicami, rozradowany i szczęśliwy. W głowie mu nawet nie postało, żeby mogło chodzić o co innego, jak o to, by Anusia mogła pozostać w domu jego rodziców, nie jako przytulona sierota, ale jako synowa. Pytał wprawdzie Marka, czy zaczeka na niego z tydzień, albo z dziesięć dni, ale zaręczał, że dłużej po ślubie nie zmarudzi. Marek, w prostocie ducha, nie wątpił wcale o szczerości słów przyjaciela, ale innego zdania był Kajetan, który przy Cywińskim wzruszał tylko ramionami, ale zaraz po jego wyjeździe począł, jako uczony sceptyk, cytować wiersz Wirgiljusza:

„...Non illum nostri possunt mutari labores,
Nec si frigoribus mediis Hebrumque bibamus
Sithoniasque nives hiemis subeamus aquosae,
Omnia vincit amor et nos cedamus amori".

Poczem rzekł:

— Byłbyś naiwny, gdybyś liczył, że Cywiński pojedzie z tobą dalej, jak do Warszawy. Jeśli arcybiskup Krasicki bawi w Łowiczu, to on nie dojedzie nawet do Warszawy. Owszem, postaraj się, by ci w paszporcie umieszczono i służącego, gdyż nie wątpię, że znajdzie się jaki oficer kościuszkowski, który zechce się z tobą zabrać, ale stawiam w zakład wszystkie moje książki, a razem z niemi i okulary, że twój przyszły towarzysz nie będzie się nazywał Cywiński.

Marka zaś uderzyła poetyczna strona sprawy.

— Ach, jakaż to prawda — rzekł — że okrutne fatum każe człowiekowi wciąż walczyć z własnem sercem. Tu oto, ledwie poślubiona dziewica, tam ojczyzna. Co za temat do czułej tragedji i czemuż nie mamy poety, któryby umiał ją rzewnym wierszem napisać.

Było mu trochę żal, że to nie on sam znajduje się w podobnem położeniu, albowiem Cywiński wydawał mu się, jak na tę rolę, za mało posępny i nazbyt pełen prostoty. W braku bardziej poetycznego bohatera, postanowił jednak w niczem na niego nie wpływać i do niczego go nie namawiać, aby nie osłabiać jego walki wewnętrznej. Postanowił również wcale na niego nie czekać i, po otrzymaniu paszportu od pruskiego wielkorządcy, wyruszyć na-

tychmiast po ślubie Stanisława przez Wiedeń i Wenecję do Włoch.

W kilka dni później ruszyli do Warszawy: stary szambelan z Kajetanem, a Marek z Cywińskim. W owych czasach podróżowano zwykle wolno, albowiem w każdym szlacheckim, nawet nieznajomym dworze można było znaleźć gościnne przyjęcie i mniej więcej wygodny nocleg. Ale, pomimo że szambelana mocno utrudzała dłuższa podróż, nie zajeżdżał jednak do dworów, gdyż właśnie nie był pewien, w jaki sposób zostanie przyjęty. Ludzie w tej epoce przeżyli wprawdzie upadek kraju i aż nazbyt wielu pogodziło się z losem, lecz z nienawiścią patrzyli na tych, którzy wprost lub ubocznie przyczynili się do tego upadku. Nienawidzono szczególniej targowiczan i tych, którzy zachowywali się nieprzyjaźnie względem kościuszkowskiego powstania. Nawet ludzie, którzy sami nie brali w niem udziału, okazywali pogardę jawnym przeciwnikom narodowej wojny. Szambelan August był zbyt małą figurą, by udział jego w Targowicy, jak również jego stanowisko podczas ostatniej wojny, były powszechnie znane, rozumiał jednakże, że, gdyby trafił na ludzi, którzy o nim zasłyszeli, mógłby się narazić na wyproszenie za drzwi, lub nawet na pojedynek, w którym krótkowzroczny Kajetan nie byłby w stanie go zastąpić. Nie przyznawał się wprawdzie do tych obaw przed synem, ani przed Markiem, zapowiadał nawet, że wstąpi do pana obożnego koronnego, którego w dawnych czasach widywał, ale nie wstąpił — i pod pozorem, że mu pilno jechać, a jeszcze

pilniej wracać, zatrzymywał się tylko na krótkie popasy po zajazdach i śpieszył, ile mu sił starczyło, do Warszawy.

Ks. Ignacy Krasicki, dawny książę biskup warmiński, a obecnie arcybiskup gnieźnieński, jakkolwiek z racji swego urzędu przebywał często w Gnieźnie, jednakże rad zaglądał do dawnej stolicy, co przychodziło tem łatwiej, że całemi miesiącami przesiadywał w Skierniewicach. Kwiatkowscy wstąpili nawet do Skierniewic, ale tam kanonik Mowiński oświadczył im, że arcybiskup wyjechał właśnie do Warszawy.

Kajetan widział przed dziewięciu laty Krasickiego, ale był wówczas młodzikiem, więc nie śmiał się do niego zbliżyć. Natomiast obaj z Markiem czytali, częścią w „Monitorze", częścią w wydaniach Grella, niemal wszystko, co wyszło z pod pióra biskupa prozą, i umieli napamięć mnóstwo jego wierszy. Obu też biło serce na myśl, że staną przed obliczem wielkiego człowieka, którego podziwiała nietylko cała Polska, ale i zagranica, a którego dowcip zachwycał wykwintnego Stanisława Augusta i przypierał do muru starego szydercę, strasznego Fryderyka II. Szambelan August liczył na dobre przyjęcie z tej przyczyny, że jeszcze w Skierniewicach ksiądz Mowiński powiedział mu, że książę prymas rad widzi ludzi, którzy przypominają mu dawniejsze lata, i że wogóle rad widzi gości.

Była to prawda. Arcybiskup, przywykły do gwarnego życia za czasów, w których dwór jaśniał jak słońce nad Warszawą, i w których rezydowało

w niej wiele świetnych domów, bolał obecnie nad jej opuszczeniem i chętnie przyjmował wszystkich, którzy z jakiegokolwiek powodu odwiedzali stolicę. Mieszkał nawet w tym samym domu Wasilewskiego, na Krakowskiem Przedmieściu, gdzie ongi wydawał owe słynne wieczory literackie, na których bywał sam król, a wraz z królem ci z jego otoczenia, którzy błyszczeli nauką, talentem, lub dowcipem. Obecnie, nie wydawał już takich epikurejskich uczt, bo nie było na nie kogo prosić, drzwi jednak dla wszystkich dawnych znajomych, którzy przelotnie bawili w Warszawie, trzymał otwarte. To też stary szambelan, dowiedziawszy się o godzinach przyjęcia, postanowił pójść, nie jako interesant, ale jako znajomy z dawnych czasów, i, bez żadnej ceremonji, zabrał z sobą Kajetana, Marka, a nawet i Cywińskiego.

By wszelako mieć czas pogadać i o sprawach, które ich sprowadziły, przyszli wcześnie, więc z gości zastali tylko synowicę arcybiskupa, Annę, którą ów przezywał żartobliwie Marcybellą, a z nią razem starego jenerała Byszewskiego i niejakiego pana Chadzkiewicza.

Markowi, który pierwszy raz w życiu widział Krasickiego, wydał się on najdoskonalszym tworem ludzkim, jaki można na świecie zobaczyć; podziwiał więc z całej duszy jego klasycznie piękne rysy, jego rozumne oczy i jego arystokratyczną twarz, która, delikatna i blada sama przez się, wydawała się przy purpurze i koronkach jeszcze delikatniejszą i bledszą. Kajetan zauważył, że biskup w ciągu

owych dziewięciu lat posunął się jednak znacznie. Cerę miał przezroczystą, jak wosk kościelny, ręce białe jak opłatek i trochę już drżące, w ustach wyraz gorzkiej rezygnacji człowieka, który wiele widział i przeżył, a niczego się już nie spodziewał. Pamiętał widocznie, że nietylko minęły jego czasy, ale minęła także i ojczyzna.

Starego szambelana Augusta spotkał na samym wstępie pewien zawód, albowiem, jakkolwiek książę przyjął go wraz z towarzyszami uprzejmie, jednak nie mógł go sobie odrazu przypomnieć. Przyczyna tego była prosta. Król Stanisław August mianował tuzinami szambelanów i mnóstwo ich kręciło się po zamku. Kwiatkowski, pochodząc ze starej ale miernej rodziny szlacheckiej, nie nosił takiego nazwiska, które mogło zostać w pamięci. Był wprawdzie w młodości, a nawet w wieku dojrzalszym, nadzwyczaj urodziwy, ale ówczesny książę biskup warmiński wolał patrzeć na urodziwe damy, niż na urodziwych szamlanów. Co do zapożyczonych od Larochefoucaulda i Champforta aforyzmów, i te nie mogły wysunąć na czoło szambelana Augusta, albowiem na królewskim dworze było wówczas wielu takich ludzi, którzy, jak sam książę biskup, jak Naruszewicz, Trembecki, Węgierski, Zabłocki, błyszczeli, nie pożyczanym, lecz własnym dowcipem. Ponieważ szambelan trzymał się był przytem głównie brata królewskiego, księcia podkomorzego, więc to wszystko sprawiło, że książę prymas przypomniał sobie Kwiatkowskich, naprzód z powodu Kajetana.

— Ja waćpana niegdyś widziałem — rzekł —

ale nie wiem, czy jesteś tym samym Kajetanem Kwiatkowskim, który przesłał mi swoje przekłady Gessnera?

— Do usług waszej książęcej mości — odpowiedział, mrugając oczyma i kłaniając się nisko, Kajetan.

— Tom rad odnowić znajomość. Na Parnas droga stroma i miejsca na szczycie skąpo: łatwo zlecieć i szyję złamać. Ale waćpanu to nie grozi, bo przewodnikiem ci nie byle jaki, choć dziwny poeta. Jenjuszem Gessnera zachwyca się teraz powszechność w całej Europie... Czytałem z rozkoszą „Pierwszego żeglarza“ i „Noc“ i „Wizerunek potopu“. Rytmów waćpana nie zaparłby się sam Trembecki...

Kajetan zarumienił się z radości.

— Dość mi, jeśli nie wzgardził niemi nieśmiertelny Krasicki.

Na to biskup pokiwał głową:

— Bliżej mi do śmierci, niż do sławy, ale bodaj moje utwory mnie przeżyły...

Lecz stary szambelan, którego korciło, że prymas nie zaczął z nim najpierwej rozmowy, przypomniał sobie medal, wybity niegdyś z rozkazu króla na cześć Krasickiego, i zacytował napis z medalu:

— *Musa vetat mori.*

Poczem, rad z siebie, wydobył tabakierkę i zażył.

A biskup wyciągnął także ku tabakierce swe przezroczyste palce, wziął szczyptę i powtórzył kilkakrotnie:

— Król świecił wówczas jak słońce nad krajem, ale nie wrócą te czasy, nie wrócą, nie wrócą!...

Tak mówiąc, popatrzył chwilę na strojnego starca i nagle mnóstwo znanych niegdyś postaci wychyliło mu się z mgły lat ubiegłych, a z niemi razem i osoba szambelana Augusta.

— Ach! — ozwał się — wszakże to waćpana, mości szambelanie, nazywano u króla i u księcia podkomorzego „Papilio“?

— Tak. Jestem August Kwiatkowski.

— Rysy pamiętam, tylko... tylko, czy mi się zdaje, czy też ów „Papilio“ inne miał imię chrzetne?...

— To, które noszę, przybrałem na cześć króla, a potem i ludzie o dawnem zapomnieli i ja tak do nowego przywykłem, że nawet nie piszę się inaczej.

— Niezawsze bywa *nomen omen,* bo nasz Augustus stradał dawnych dostojności i chwały — rzekł z goryczą biskup.

Lecz po chwili otrząsnął się z dawnych wspomnień i zapytał weselej:

— No, a Augustus-Papilio! Jakże się miewa i jakoż mu się powodzi?

— Nieszczególnie — odpowiedział z uśmiechem szambelan — bo niegdyś latał sobie bez troski z kwiatka na kwiatek, a teraz samego złapano za skrzydełka.

— Proszę? Cóż to za spóźniona przygoda?

Szambelan zmarszczył lekko brwi, ale, chcąc odrazu załatwić sprawę dyspensy, począł opowiadać, jak zdrajca Kupido, ukryty w oczach panny

Klarybelli Wyrożębskiej, przeszył mu serce grotem, jak odrazu ogarnęły go lube żądze i jak postanowił bez żadnej dłuższej zwłoki zapalić pochodnię hymenu. Ksiądz Krasicki wysłuchał cierpliwie tyrady, a wreszcie, dowiedziawszy się o właściwym celu wizyty, rzekł:

— Dyspensa to mała rzecz, trudniej będzie o rozwód.

— Nie przypuszczam, bym kiedykolwiek mógł zgłosić się do w. ks. mości z podobną prośbą — odparł sucho szambelan.

Oczy prymasa błysnęły dawnym złośliwym dowcipem.

— Nie przypuszczam i ja. Tylko, widzisz, mości szambelanie, Papilio pierwej bywa poczwarką, potem motylem, a człek wprzód motylem, potem poczwarką.

— Dziękuję waszej książęcej mości.

A ksiądz Krasicki spojrzał na zmarszczki szambelana, pokryte grubo różem i bielidłem.

— Ech! — rzekł — waćpan wyglądasz jak róża, więc nie gniewaj się. Dyspensa będzie gotowa choćby na jutro...

Podczas tej rozmowy jenerał Arnold Byszewski jął przypatrywać się z pod nasuniętej na czoło peruki Cywińskiemu, którego nazwisko usłyszał przy reprezentacji, poczem zapytał:

— Czym dobrze słyszał? Waćpana nazwisko Cywiński?

— Tak jest — odpowiedział Stanisław.

— To zapewne krewny nieboszczyka Puchały Cywińskiego, podczaszego poznańskiego?

Stanisław wybierał się wprawdzie do demokratycznych szeregów we Włoszech, jednakże pytanie, czy nie jest krewnym znakomitego dygnitarza wojewódzkiego, mile połechtało jego próżność, zwłaszcza, że zapytano go wobec Kwiatkowskich. Więc zarumienił się tak samo, jak poprzednio Kajetan, i odpowiedział:

— Ojciec wspominał o nim, jak o krewnym, ale ja nie widziałem go nigdy w życiu.

— To był prawdziwie wielki pan, na staropolską modę. Ja go pamiętam dobrze, bo, jako młodzian, bawiłem jakiś czas na jego dworze.

— Miłe wspomnienia młodości! — wtrącił po francusku pan Chadzkiewicz. I w głosie jego czuć było jakby pobłażliwą ironję, albowiem Chadzkiewicz, jakkolwiek dość młody jeszcze człowiek, znał tysiące ludzi w Polsce, i tysiące ich tajemnic; wiedział więc doskonale, że Byszewski nie bawił, lecz służył niegdyś, jako kawalkator, na dworze pana Cywińskiego i uciekł z tej służby, ponieważ pan podczaszy, za zabicie ulubionego ogara, obiecał mu sto bizunów — oczywiście, jako dobremu szlachcicowi, na kobiercu, ale okrągło. Wprawdzie udobruchał się potem, obdarzył Byszewskiego i polecił go, jako sławnego ujeżdżacza późniejszemu królowi. Bądź co bądź, jednak te wspomnienia nie mogły być miłe jenerałowi, który przez łaskę królewską wyszedł na dygnitarza, a przez bogaty ożenek w rodzinie Skórzewskich — na bogacza.

Był to jednak niezły człowiek, więc, wspomniawszy, że bizunów nie dostał, a ostatecznie wszystko zawdzięczał protekcji podczaszego, zwrócił się znów do Stanisława:

— Co waćpan porabiasz w Warszawie? Ja tu tylko przejazdem, bo wracam znów do naszego nieszczęsnego króla, który dogorywa w Petersburgu, wszelako, jeślibym mógł być w czem pomocnym, to proszę mnie nie żałować.

— Dziękuję panu jenerałowi — odpowiedział Cywiński — ale ja także przyjechałem z prośbą o dyspensę od zapowiedzi.

— Co znowu! — zawołał książę prymas — a to, widzę, wszystkie pary schodzą się do mnie jak do arki. Czemu to waćpanu tak pilno? Rozumiem szambelanowi, bo *periculum in mora*, ale ty, młodzieńcze, mógłbyś nietylko na zapowiedzi, lecz i na ślub parę lat poczekać.

Szambelan spojrzał nieżyczliwie na biskupa, a Cywiński począł wyłuszczać żywo i śmiało swe powody. Mówił, że chodzi o to, by córka kościuszkowskiego żołnierza została u nich w domu, nie jako przygarnięta z łaski sierota, ale jako synowa, co bez prędkiego ślubu byłoby niemożebne, gdyż on wyjeżdża na długo, może na zawsze.

— Jakto? — zapytał ze zdziwieniem biskup — waćpan się żenisz i wraz odjeżdżasz na długo, może na zawsze?

A na to Cywiński, sądząc, że tajemnica jest zbyteczna, rzekł:

— Tak jest, J. O. książę prymasie, gdyż obaj

z młodszym panem Kwiatkowskim idziemy do legjonów we Włoszech.

— Ach! — zawołał pan Chadzkiewicz.

Nastała chwila milczenia.

Twarz prymasa przyoblekła się nagłym smutkiem. Potarł ręką czoło, a następnie spojrzał na swych gości i zapytał zmienionym głosem:

— Czy który z waćpanów słyszał o Bellerofonie?

Nikt nic nie słyszał, z wyjątkiem Kajetana, który odpowiedział:

— To bohater grecki, zabójca Chimery.

A biskup począł kiwać głową:

— Otóż nieprawda. Bellerofon widocznie nie zabił Chimery...

Nastała znów chwila ciszy.

— Ach! — ciągnął dalej biskup — żyła ona zawsze, a teraz żyje w głowach Dąbrowskiego, Wybickiego i tych wszystkich, którzy chcą zaszczepić Polskę na ziemi włoskiej.

— Ci chcą wrócić do Polski! — rzekł Chadzkiewicz.

— I wrócimy! — zawołał z zapałem Marek.

Panna Anna Krasicka poczęła spoglądać na chłopaka ze współczuciem, wyobrażając sobie mimowoli, że ta cudna twarz lepiejby wyglądała w jakim chórze anielskim, niż wśród szeregu twardych żołdaków republikańskich. Książę prymas zwrócił się także ku niemu z widocznem współczuciem.

— Nadzieja i starość — rzekł — nie trzymają się za ręce, więc mi brak w sercu nadziei, ale niech cię Bóg błogosławi i ustrzeże, moje dziecko.

Marek wstał i ucałował jego dłoń, a biskup zrobił mu krzyż nad głową.

— Dąbrowski, to mój brygadjer, z czasów gdym dowodził dywizją wielkopolską — ozwał się stary jenerał Byszewski. — Ceniłem go jako służbistę i jedynego, można rzec, między Polakami uczonego oficera. Strategik z niego przytem pełny pomysłów. On to w dziewięćdziesiątym trzecim roku obmyślił plan, bym cofnął się do Warszawy, połączył się z warszawską załogą i uderzył na Prusaków Mollendorfa. Ha! gdyby Gorzeński nie był rozgłosił rzeczy przed czasem i gdyby król przesłał mi stanowczy rozkaz, nie stałoby się może to, co się stało. Ja byłem gotów, Bóg widzi! ale bez rozkazu nie mogłem. Potem było za późno, bo Igelström wzmocnił załogę moskiewską... Nie moja wina! nie moja!

Stary jenerał mówił takim głosem, jakby się usprawiedliwiał przed tymi, którzy go słuchali, albo przed własnem sumieniem. Czuł jednak, że, gdyby nie jego wahanie się w dziewięćdziesiątym trzecim i nie oglądanie się na rozkazy zniedołężniałego Stanisława Augusta, Prusacy nie panowaliby w tej chwili w Warszawie, a król nie umierałby może jako wygnaniec w Petersburgu.

— Jeden też Dąbrowski nie stracił wówczas głowy — ozwał się Chadzkiewicz — i wraz potem poddał Wodzickiemu myśl, by nasze wojsko przebiło się do Francji. Ale najbardziej odznaczył się za ostatniej insurekcji. On to, nikt inny, pobił Prusaków pod Warszawą, a później wziął do niewoli całą dywizję okrutnika Sekulego. Suworów straszył

nim Prusaków, których zresztą niecierpiał. Pamiętam, jak przy mnie powiedział pruskim jenerałom: „Wy sławne dyplomaty, bo inni niezawsze umieją korzystać z własnych zwycięstw, a wy umiecie — z cudzych“...

— I to prawda — potwierdził Byszewski.

Lecz prymas, który był człowiek ostrożny, a przytem obsypany łaskami dworu pruskiego, pomyślał, że rozmowa przybiera jednak charakter drażliwy i rzekł:

— Jenerał Dąbrowski jest wojskowym niezwykłych zdolności, ale trzeba przyznać, że jegomość król Fryderyk Wilhelm potrafił go ocenić i nietylko przyjął go najłaskawiej, lecz ofiarował mu wysoki stopień w armji.

— Którego Dąbrowski nie przyjął — dodał Chadzkiewicz.

— Nie przyjął, bo pociągnęła go gwiazda Buonapartego... Ale kto wie, czy ta gwiazda nie jest kometą, która, jak pojawiła się, tak i przejdzie... Nadzieje już poniekąd zawiodły, bo przecie pokój z Austrją został w Campo Formio zawarty, i jenerał Dąbrowski nie grozi teraz żadnej z tych potencyj, które rozebrały Polskę, ale Rzymowi.

Prymas Krasicki mniej może brał do serca sprawy Państwa Kościelnego, niż inni biskupi polscy, ale, jako przezorny dyplomata, uważał za stosowne wypowiedzieć to, co wypowiedział.

Lecz Chadzkiewicz, mimo iż ruchem głowy zdawał się potakiwać słowom biskupa, odrzekł:

— Ani Dyrektorjatowi, ani Buonapartemu nie chodzi o zabór Państwa Kościelnego, tylko o to, by papież nie wchodził w układy z wrogami Francji. A co do pokoju w Campo Formio, świeżo odebrałem wiadomość i podaję to za rzecz pewną, że jest to raczej czasowe zawieszenie broni, niż stały pokój.

Kajetan i Marek spoglądali z pewnem zdziwieniem na Chadzkiewicza. Nigdy o takiej osobistości ani o takiem nazwisku nie słyszeli, a jednak ów pan zachowywał się u księdza prymasa z całą swobodą dworaka, przywykłego do wytwornych towarzystw, odzywał się z pewną wielkopańską niedbałością do jenerała Byszewskiego, a o sprawach publicznych, choćby najważniejszych, mówił, nietylko tak, jakby o nich wszystko wiedział, ale jakby brał w nich udział. Posiadał przytem jakąś niezmierną łatwość w obejściu się z ludźmi i zarazem, jakby łaskawą poufałość. Staremu szambelanowi niezbyt się podobał, albowiem był od niego o jakie trzydzieści lat młodszy, prosty jak trzcina, wesoły i urodziwy — jednakże i szambelan nie mógł się oprzeć podziwowi na widok jego manier i wprost nie zdawał sobie sprawy, skąd ten człowiek umiał się tak poruszać, tak podnosić lornetkę do oczu i tak się ubierać. Marka i Cywińskiego ujęło i uradowało to, co Chadzkiewicz mówił o pokoju w Campo Formio. To też, gdy po skończonej wizycie u prymasa, zaproponował im, by poszli z nim razem, zgodzili się na to z wielką skwapliwością.

Wyszedłszy, udali się ulicą Miodową, ku Długiej. Po drodze, pan Chadzkiewicz począł mówić do nich tak, jakby ich znał od całych lat:

— Prymas nie martwiłby się także, gdyby Dąbrowski tu kiedyś wrócił, poparty całą potęgą Francji i jenjuszem Buonapartego. To w gruncie rzeczy dobry patrjota, ale politykuje z dworem pruskim, bo musi... Szkoda tylko, że to przyjaciół jego smuci, a nieprzyjaciół oburza. Są tacy, którzy go posądzają o obojętność, nietylko dla ojczyzny, ale i dla wiary. Wpadł mi niegdyś w rękę taki wiersz:

„Biskup warmiński, gładysz gładkich sentymentów,
Nie lubi mieć o wiarę trudów i zakrętów"...

Dalej zapomniałem, ale było tam coś takiego, że dla zbytku i rozkoszy wszystkiego gotów odstąpić. A to nie jest prawda, nie! Ale na teraz mniejsza z tem. Chciałem z waćpanami pogadać o ich wyprawie, albowiem wybieram się także do Włoch i mogę wam być pożytecznym. Dla was, to wcale niełatwa podróż. Prusy zawarły wprawdzie pokój w Bazylei z Rzecząpospolitą Francuską, gdyż, dostawszy cięgi, nie mogły uczynić nic innego. Ale rząd pruski czuje upokorzenie, jakie go spotkało, nienawidzi Francji i boi się, by pryncypja, jakie Rzeczpospolita głosi, nie poczęły się szerzyć między jego własnymi poddanymi. W Austrji rozstrzeliwają lub wieszają Polaków, którzy chcą przedrzeć się do legjonów. Tu Fawrath wydaje z trudnością paszporty, a młodym ludziom odmawia ich stanowczo. Tyrańskie rządy zawsze potrafią się z sobą porozumieć

i pomagają sobie nawet wówczas, gdy się nienawidzą, lub wzajem sobą gardzą. Na szczęście jest i inna władza na świecie, z którą każdy tyran musi się liczyć.

— Chyba władza boska — ozwał się Cywiński.

— Tak... władza wielkiego architekta, który zbudował świat i ma na nim swe sługi. Ale o tem później...

Tu Chadzkiewicz przerwał, albowiem, spotkawszy jakiegoś znajomego oficera, zatrzymał go i rozpoczął z nim po niemiecku rozmowę, która trwała blisko kwadrans. Cywiński i Marek zauważyli, że nowy ich towarzysz jest człowiekiem ogromnie znanym w Warszawie, albowiem witało go mnóstwo osób, a między niemi i kilku oficerów pruskich. Niektórzy salutowali go po wojskowemu, niektórzy inaczej, niż w zwykły sposób, a jednak tak, jak podwładni witają zwierzchnika. On zaś odpowiadał na ukłony przyjaźnie, ale jakby z pewną wyższością. Jednym rzucał mimochodem kilka słów, innych pozdrawiał, kiwając wzniesioną do góry dłonią, do wszystkich uśmiechał się poufale i wesoło.

Po ukończonej rozmowie z oficerem złączył się znów z nimi i prowadził ich dalej. Zatrzymali się nakoniec na Długiej, gdzie Chadzkiewicz zaprosił ich do siebie. Zajmował on w kamienicy Lelewela wspaniały apartament na pierwszem piętrze, pełen zwierciadeł, kryształowych pająków, dywanów, wygodnych sof i stolików do gry w karty. W pierwszym pokoju przyjął ich młody człowiek, ubrany modnie, ale niesłychanie piegowaty, którego gospo-

darz przedstawił jako obywatela Gromadzkiego, swego sekretarza.

— Czy obywatel Nurski czeka na mnie? — zapytał.

— Niema go, ale zawiadomił, że zaraz przyjdzie — odpowiedział cudzoziemskim akcentem Gromadzki.

Weszli do gabinetu, w którym służący podał im niebawem fajki. Cywiński przypił się chciwie do bursztynu, a i Marek nie odmówił, wydało mu się bowiem, że przyszłemu legjoniście wstyd byłoby się przyznać, że nie pali. Chadzkiewicz pociągnął także z cybucha, puścił kilka regularnych kółek, poczem, wracając do przerwanej rozmowy, rzekł:

— Chciałem właśnie waćpanom powiedzieć, że wkrótce jadę do Wenecji. Pokój w Campo Formio oddał ją, jakoście słyszeli, Austrji. Ale Austrjacy nie usadowili się w niej jeszcze na dobre, i być może, że nie usadowią się stale. Moja podróż ma między innemi i ten cel, by to utrudnić. Zachowanie się Wenecji względem Francuzów było nędzne i kara, która ją spotkała, jest słuszna, ale nie możemy pozwolić na wzrost potęgi tak tyrańskiego państwa, jak Austrja.

Zdziwienie młodzieńców wzrastało z każdą chwilą, gdyż Chadzkiewicz mówił wprost tak, jakby w jego ręku spoczywała jakaś władza. Nie rozumieli też zgoła, jakim sposobem ten nieznany im, okazały jegomość może pozwalać, lub nie pozwalać, by Wenecja przeszła w ręce austrjackie, i w czyjem imie-

niu się odzywa. Spoglądali jednak na niego z coraz większem zajęciem i szacunkiem.

A on zapytał:

— Czy kawalerowie wiecie, że legjony już się biją? Strzałkowski pobił w górach insurgentów włoskich, a Liberadzki dzielnie się spisał w Weronie, gdzie też i poległ. Mają mu tam wystawić pomnik. Wojska nasze zajmowały także razem z francuskiemi Wenecję, którą do poddania się nakłonił Sułkowski. Tworzy się, a raczej jest już prawie sformowana i druga legja, którą ma dowodzić Rymkiewicz. Czy w kraju, po prowincjach o tem wiadomo?

— Mało co — odpowiedział Marek. — Doszło nas wypadkiem pismo Ogińskiego i wiedzieliśmy, że emigranci nasi zbierają się na Wołoszczyźnie. Wiedzieliśmy o Denisce i Ksawerym Dąbrowskim, ale o jenerale Janie Henryku prawie nic. Ani w „Korespondencie Warszawskim", ani w „Gazecie Rządowej" nie można się było niczego doczytać.

— Rozumie się. Prusacy zabraniają o tem pisać. Najwięcej wiadomości podawał „Intelligenzblat", dlatego że wychodzi po niemiecku.

— Odezwę medjolańską jenerała Dąbrowskiego dostaliśmy dopiero przed miesiącem.

— A on ją wydał w styczniu, rok temu...

— I tylko z jej daty zmiarkowaliśmy, że legjony walczą już od roku.

— Tak nie jest, bo między odezwą a formacją pierwszych bataljonów musiało upłynąć trochę czasu. Kosiński i Tremo jeździli po miastach we Francji,

w których trzymano jeńców austrjackich, i wybierali z pomiędzy nich Polaków. Z początku brak było oficerów, ale teraz jest już ich więcej, niż potrzeba, i, jeśli kawalerowie liczycie na stopnie oficerskie...

— Nie — przerwał Cywiński. — Zaciągamy się, jako prości żołnierze.

— Chadzkiewicz objął oczyma wątłą a wykwintną postać Marka:

— Waćpan także, panie kawalerze?

— Tak — odpowiedział Marek — chyba że się krwią dosłużę wyższej rangi...

— Przedtem opali ci porządnie słońce panieńskie liczko, ale to mi się podoba. Bo przedewszystkiem oficer powinien znać służbę. U nas jenerałem zostawał wielki pan, lub sprytny dworak, który o wojskowości tyle wiedział, ile o astronomji. *Exemplum* jenerał Byszewski, któregoście dziś poznali. Prawdziwi wojskowi to Kościuszko, Dąbrowski, Kniaziewicz i Zajączek. Inni, pożal się Boże. Wyjątek stanowi też książę Józef, który przeszedł szkołę austrjacką i który ma przyrodzoną zdolność do wojny. Nie wiodło mu się pod Warszawą i powszechnie mają go za marnego jenerała, ale ja go przejrzałem lepiej od innych...

— Książę Józef nie mieszka w Warszawie? — zapytał Cywiński.

— Owszem. Są więzy, które tu trzymają naszego Alcybiadesa, lecz obecnie jest w Wiedniu.

Tu Chadzkiewicz począł się śmiać.

— Piękny książę — mówił dalej — ma dopiero

trzydzieści pięć lat, ale mu włosy rzedną nad czołem, że zaś chciałby je nosić à la Buonaparte, więc pojechał do Wiednia, do doktora Graffa, który wynalazł podobno sposób na porost czupryny. Ma tam wszelako książę i inne sprawy. Jeśli pojedziecie razem ze mną, to po drodze przedstawię was.

— Radzibyśmy wyruszyć razem — rzekł Marek.

— Szczerze waćpanów na to namawiam, gdyż to droga niepewna i łatwo może zakończyć się w kazamatach Józefsztadu, gdzie siedzi obecnie ksiądz Kołłątaj. Właśnie w jego sprawie zatrzymam się w Wiedniu, choć tam trudno będzie teraz coś zrobić. Tymczasem spróbuję dostać dla was od Fawratha paszporty jako dla moich domowników i poproszę go o osobne, abyście mogli wyjechać później, jeśli na czas nie zdążycie...

Dalszą rozmowę przerwał im piegowaty Gromadzki, który wprowadził obywatela Nurskiego. Był to człowiek lat czterdziestu, ogromnie wysoki i ogromnie chudy, z wypiekami na twarzy i z czarnemi włosami, które na jego czaszce tworzyły jakby grzebień, podobny do koguciego. Gdy gospodarz przedstawił mu obu młodzieńców, nowoprzybyły podał im rękę, zaginając palce w tak osobliwy sposób, że obaj spojrzeli nań ze zdziwieniem.

Poczem zwrócił się do Chadzkiewicza.

— W sprawie Kołłątaja? — zapytał. — Myślałem, że Złoty Lichtarz.

— Nie — odpowiedział Chadzkiewicz — żadna loża. To są przyszli legjoniści, z którymi umawiałem się o wspólną podróż.

— Legjoniści? Miło mi poznać was, obywatele,

I nagle nad głowami Marka i Cywińskiego otworzyły się upusty wymowy. Nurski z niezmierną obfitością słów i z takim pośpiechem, jakby sądził, że, jeśli się nie pośpieszy, to nie zdoła wszystkiego wypowiedzieć, począł mówić, naprzód o emigracji w Paryżu, o sporach między Barsem i jego stronnikami, a tym obozem, którego duszą był Dmochowski, a następnie o legjonach. Dąbrowskiemu przyznawał wysokie zdolności wojskowe, ale wolałby widzieć na czele człowieka, głębiej przejętego duchem rewolucji francuskiej. Według jego zdania, Kościuszko był zbyt miękki i Dąbrowski będzie zbyt miękki, a tymczasem Polska potrzebuje pługa, któryby ją głęboko przeorał, tak, by wyższe warstwy poszły na spód, niższe na wierzch. Legjony uważał zresztą za ratunek dla narodowego ducha. Z rozgorzałemi wypiekami na twarzy i pryskając śliną, wołał w uniesieniu, że gdyby nie te zastępy, które uratują przyszłe generacje od spodlenia, to wolałby, żeby ziemia zapadła się pod Polską i żeby na miejscu, gdzie ona była, utworzył się ziejący ogniem krater.

Marek słuchał go z przestrachem, Gromadzki patrzył na pułap, Chadzkiewicz podnosił dwuznacznie brwi, tak, że niewiadomo było, czy chwali, czy potępia, a Cywiński, któremu się wydało, że Nurski, mówiąc o kraterze na miejscu Polski, przebiera miarę, począł się niecierpliwić i pokazywać swoje przydługie zęby.

Suchotnik zaś mówił, póki się nie wyczerpał.

Wówczas umilkł, ale ręką dawał znak, że jeszcze nie skończył, i że zacznie na nowo jak odetchnie.

Jakoż po chwili ozwał się znów, ale cichszym już i zachrypniętym głosem:

— Wrócicie! wrócicie! Buonaparte to Samson, który zburzy świątynię tyrańskwa, choćby sam miał zginąć pod gruzami. Wspiera go własny jenjusz, ale wspierają i takie siły, przeciw którym nie wskórają żadne austrjackie zakazy, ani żadne ukazy po tamtej stronie Wisły. Musi zwyciężyć ten, który ma pomocników nawet we wrogich sztabach. A wam powiadam, że wrócicie, a wraz z waszym powrotem zrodzi się nowa Polska. Zacznie się od zagłady Austrji, a potem pójdzie dalej. Na imię wam: zwycięstwo. Ale czy myślicie, że zwycięstwo będzie waszą jedyną zasługą? Nie! Waszą drugą, równie wielką, będzie to, że przyniesiecie do kraju nowe pojęcia i zaprowadzicie nowy ład. Przyszła Polska nie ma być magnacką, ani, jak jeszcze niedawno była, jezuicką, ani szlachecką, jeno panem i zwierzchnikiem ma być w niej, tak jak we Francji — lud!... Wolność, równość i braterstwo! Sejm czteroletni, ustawa trzeciego maja, to dopiero pierwsze litery abecadła. Trzeba pójść dalej, aż do końca choćby tę odrodzoną Polskę przyszło w krwi współobywateli wykąpać!

Tu podniósł chustkę do ust i odjął ją z czerwonemi plamami. Nastało dość przykre milczenie. Cywiński i Marek słuchali słów Nurskiego z niechęcią, albowiem ta kąpiel ze krwi współobywateli, w której tak niedawno nurzała się Francja, napeł-

niła cały świat przerażeniem i na myśl o niej wzdrygały się ludzkie umysły. W pojęciu obu młodzieńców legjony miały całkiem co innego do roboty, jak wprowadzać do Polski gilotynę, to też słysząc coś podobnego, zaniepokoili się tem szczerze.

Lecz uspokoił ich do pewnego stopnia Chadzkiewicz, który pochylił się z żartobliwą twarzą nad Nurskim i, klepiąc go po kolanach, począł mówić z taką pojednawczą wyrozumiałością, z jaką mówi się do chorego dziecka:

— Ha, Robespierre krajowej fabryki! Robespierre! No, dość tego! *Liberté, égalité* i *fraternité* można przeprowadzić, nie napełniając koszów głowami. Tymczasem uspokój się i odetchnij, nim zaczniemy mówić o Kołłątaju. Powtarzam ci, że dziś w Austrji to trudna sprawa, bo czasy naszych wpływów nietylko tam minęły, ale trzeba się wprost ukrywać, więc mogę działać tylko prywatnie, jako polski hrabia, który nie żałuje grosza.

Marek i Cywiński, nie chcąc przeszkadzać dalszej rozmowie, wstali i poczęli się żegnać. Chadzkiewicz uścisnął przyjaźnie każdemu dłoń i w progu już rzekł:

— Zobaczymy się jeszcze u prymasa, albo u mnie. Przyjdźcie nawet do mnie koniecznie.

Poczem do Marka:

— Ha, stryj twój, panie kawalerze, nie przypadł jakoś prymasowi do serca, i wzajemnie. Poznałem to odrazu... Do widzenia!

Ponieważ na zapytanie, czy znają Warszawę, i Marek i Cywiński odpowiedzieli przecząco, więc

uprzejmy gospodarz polecił jeszcze Gromadzkiemu odprowadzić ich do gospody, tem bardziej, że czynił się już wieczór, wieczorami zaś zdarzały się często awantury między pijaną młodzieżą a pruskiemi rontami.

Zaraz gdy wyszli, piegowaty Gromadzki rzekł:

— Miło mi poznać przyszłych kamratów. Niech żyją legjony!

— To waćpan idziesz z nami? — zapytał Marek.

— A spodziewam się! Milszy mi karabin, niż pióro. Ale niech obywatel nie nazywa mnie waćpanem, tylko obywatelem. W legjonach tak sobie wszyscy mówią.

— Powiedz mi tedy, obywatelu — ozwał się Cywiński — jakim sposobem masz nazwisko polskie, a mówisz jak cudzoziemiec?

— Bo mój dziad był przy królu Leszczyńskim, ojciec umarł w Lotaryngji, a ja się tam wychowywałem i do Polski przyjechałem dopiero na insurekcję.

— Biłeś się pod Kościuszką?

— Biłem się z Prusakami pod Dąbrowskim.

— Tośmy koledzy, bo i ja odbywałem tę wojnę.

— W takim razie zaproponuję wam co innego. Zamiast do waszej gospody, pójdziemy na Stare Miasto oblać dawną służbę i nową znajomość.

Cywiński spojrzał na niego przyjaźnie.

— Dobrze. Wyglądasz obywatel, bez urazy, jak indycze jaje, aleś tęgi chłop.

— Ba, to nic jeszcze! Żebyście wiedzieli, jak ja piegowacieję latem!

Na Stare Miasto nie było daleko, więc w kwadrans później znaleźli się w winiarni. Obszerna, sklepiona izba pełna była gości. Przy środkowych stołach siedziała szlachta. Tu i owdzie widać jeszcze było kontusze i podgolone głowy. Przy innych pili ludzie, ubrani po cywilnemu, w których z ruchów i twarzy łatwo było poznać byłych wojskowych polskich. Pod ścianami sadowili się mieszczanie. W głębi stół jeden zajęty był przez liczną kompanję oficerów pruskich, drugi, w samym końcu sali, przez tak zwanych „ptymetrów", to jest młodych elegantów, ubranych wedle najnowszej mody, ale pijących wedle dawnej.

Gromadzki, Cywiński i Marek znaleźli jednak wolny stolik, więc kazali podać wina i poczęli pić. Stanisław i Gromadzki rozmawiali o insurekcji, udając przytem starych weteranów, którzy zęby zjedli na wojnie. Marek przypominał sobie w milczeniu, że tak długich rzęs i tak pięknych brwi, jak u panny Anny Krasickiej, nie widział nigdy w życiu. Tak myśląc, wzdychał. Po pierwszej butelce dusze poczęły im się rozweselać. Wyczerpawszy wojenne wspomnienia, Cywiński zwrócił rozmowę na Chadzkiewicza.

— Powiedzże mi, kolego — zapytał — co to jest za osoba, bo jak się go słucha, to zdaje się, że Bóg wie co od niego zależy.

— Od niego dużo istotnie zależy, gdyż ma pieniądze, a przytem tyle stosunków i znajomości, jak chyba nikt z cywilnych. Zresztą, ponieważ on się sam z tem nie kryje, więc nie zdradzę żadnej ta-

jemnicy, gdy powiem, że to jest mason, a do tego dygnitarz w masonerji.

— Patrzajże go! — zawołał Cywiński,

— Jaką godność zajmuje, tego nie wiem, bo do żadnej loży nie należę, ale myślę, że ma wysoką. Niedawno mówił mi, że mnie wprowadzi do Królewskiego Yorku Przyjaźni, lecz nie będzie już na to czasu, zwłaszcza, że i ja się zbytnio do tego nie zapalam. Od niego też wiem, że niegdyś był w Tarczy Północnej przewielebnym mistrzem katedry, a potem piastował jakiś gruby urząd w Wielkim Wschodzie.

— Słyszałem, że to jest loża polska.

— W Warszawie była polska, bo należeli do niej tylko Polacy. Ale po upadku Kościuszki Wielki Wschód Polski rozleciał się. Chadzkiewicz ma zamiar go wskrzesić i w tym celu jeździł porozumiewać się, bogdaj z wielkim mistrzem wszystkich lóż. Nie wiem, jak to wypadło, ale wiem, że był niedawno w Anglji i we Francji.

— Takiż z niego peregrynat?

— On ciągle jeździ. Wróciwszy z ostatniej podróży, reformował jakoby w Berlinie „Królewski York Przyjaźni“ i „Złoty Lichtarz“, a potem urządzał zmiany w tutejszych filjach. Bywa u niego mnóstwo wojskowych pruskich, którzy, jako masoni, są pod jego władzą. W Austrji loże są teraz zakazane, ale swoją drogą wielu oficerów, a nawet i dworskich dygnitarzy do nich tajnie należy i z tego powodu Chadzkiewicz może i w Wiedniu więcej dokazać, niż każdy inny. Sypie przytem pieniędzmi

i jako „comte Chadzkiewicz“ ma wszędy dostęp. Bez niego nie moglibyśmy pomyśleć o drodze przez Wiedeń, a z nim przejedziemy, śpiewając.

— Patrjota zaś z niego dobry?

— Popiera ogromnie legjony, więc patrjota jest i człowiek bardzo uczynny, tylko...

— Tylko co?

— Tylko nie grywajcie z nim nigdy w karty.

— O! — zawołał Cywiński — szachruje?

— Boże uchowaj! gra przyzwoicie, a jednak wyłuskał okrutnie bogatszych oficerów pruskich, i dziś prawie niema takiego, któryby nie pożyczał od niego pieniędzy. Szczęście to, czy zimna krew, nie wiem.

— A że to go nie posądzają?

— Pewno, że baczą na jego grę, ale dotychczas nikt nie mógł mu nic zarzucić. Ma przytem maniery wielkiego pana i w razie czego umie tak pokazać zęby, że lepiej go nie zaczepiać, i niejeden ciężko to już przypłacił. Między masonami nie uchodzą pojedynki, ale jemu wszystko uchodzi.

— Że też waćpan tyle wiesz o masonach — zauważył Marek — wcale do nich nie należąc?

— Bo się ciągle o nich ocieram i jestem blisko ich robót. A że do nich dotychczas nie należę, to powiem wam otwarcie dlaczego. Bo, jeśli zaciągnę się naprzykład do legjonów, to pomogę tłuc kajzerlików, potem, kogo Bóg zdarzy, i wiem, że jak wszystkich wytłuczemy, to będzie Polska. Tam nie potrzebuję sobie głowy nad niczem łamać. A masonerja, to jedna zagadka. Jużci starszy brat wie

więcej od młodszego, ale czy myślisz, że i taki Chadzkiewicz wie wszystko? Nie! wszystko wie jakaś najwyższa rada, jakiś wielki mistrz, jakiś Hiram, który djabeł wie, gdzie jest i co myśli. Tymczasem bierze mnie ktoś za łeb i posuwa mną jak pionkiem na szachownicy, a ja się ruszam i nie wiem, co z tego wypadnie. Rozumiecie, że ja nie robię im żadnych zarzutów, tylko powtarzam, że nic nie wiem, i że to mi nie w smak. Powiem szczerze, że nie w smak mi także i te ich wszystkie ceremonje. Bo to schodzą się, przebierają, zasiadają w jakichś ciemnych salach, przyjmując nowego brata, straszą go trupiemi głowami, przykładają mu miecze do serca, a on zgóry wie, że to wszystko komedja. W Wiedniu jest, czy też była, jakaś loża Mopsa, w której ten, kogo przyjmują, musi podobno pocałować mopsa pod ogon. Powiedzcież sami, cobyście powiedzieli, gdyby wam ktoś podobną rzecz zaproponował?

— Jabym mu dał w pysk — odpowiedział Cywiński.

Lecz Marek, który wiedział, że do lóż należeli znakomici ludzie Polacy i należeli jako patrjoci, zapytał:

— A czy waćpan myślisz, że masonerja, jako znamienita siła, nie może nam pomóc do restauracji kraju?

— Nie wiem — odpowiedział Gromadzki — siła to jest istotnie duża. Niewątpliwie też popierają prawa człowieka, wielką rewolucję i sprawę uciśnionych narodów, ale...

— Jeśli tak, to niech żyje masonerja — przerwał Cywiński.

— A niech żyje! — odpowiedział, trącając się z nim, Gromadzki. — Tylko, na mój prosty rozum, to jest tak: któż tu należy głównie do lóż? oficerowie pruscy. A cóż ci oficerowie niedawno uczynili? Mordowali na współkę z sąsiadami Polskę. I ja mam wierzyć, że ci sami ludzie będą ją wskrzeszać?

— Prawda jest. Tego nie rozumiem.

— I ja także.

Dalszą rozmowę przerwał im coraz większy gwar w sali. Gromadzki, Cywiński i Marek mieli już trochę w głowach, ale i siedzący najbliżej nich obywatele wiejscy poczęli się rozrzewniać i wykrzykiwać. W głębi, od stołu modnych „ptymetrów" jęły padać szydercze i wyzywające spojrzenia w stronę oficerów pruskich, co widząc, Gromadzki rzekł:

— Nie wyobrazicie sobie, ile teraz pojedynków odbywa się w Warszawie. Szczególniej tacy właśnie eleganci szukają zaczepki z oficerami. Ale oni nie czynią tego przez patrjotyzm, tylko z próżniactwa i chęci do awantur. Niema reduty, żeby się coś nie wydarzyło, a to samo w restauracjach i nawet na ulicach. Patrzcie, już się coś zaczyna.

Cywiński i Marek podnieśli głowy i ujrzeli dwóch „ptymetrów", którzy, zbliżywszy się do stołu, przy którym siedzieli oficerowie, poczęli im się w sposób wyzywający przypatrywać przez lornetki, podobne do nożyczek, odwróconych kółkami do góry.

— Jeden, to Śniechowski, drugi, Próchnicki — rzekł Gromadzki — obaj starościce i znani awanturnicy.

— Poszliby lepiej z nami do legjonów — ozwał się Marek.

Tymczasem od stołu wojskowego podniosło się dwóch oficerów, ludzi młodych i pięknych, o energicznych twarzach, z warkoczami po obu stronach policzków i z harcapami, spadającemi na plecy. Ci, stanąwszy „ptymetrom“ do oczu, poczęli z nimi rozmowę, lecz bynajmniej nie kłótliwą i nie głośną. Owszem, pytania i odpowiedzi zamieniano prawie szeptem, pochylając w lekkich ukłonach głowy. Śniechowski i Próchnicki uśmiechali się uprzejmie, ale oczy ich stały się połyskliwe i zimne jak stal.

— Mają, czego chcieli — rzekł Gromadzki.

— I jabym chciał coś mieć — odpowiedział Cywiński.

Tak mówiąc, począł patrzeć wilczym wzrokiem na oficerów, przytem dwa przydługie przednie zęby wychyliły mu się z pod lnianych, rzadkich wąsów.

Ale Marek Kwiatkowski, lubo szumiało mu już w głowie, położył mu dłoń na kolanie.

— Stanisławie, ciebie czeka w Rudni panna Anna.

— Prawda! prawda! Kpem byłbym, gdybym o niej zapomniał.

Tymczasem, przy najbliższym stole, stary szlachcic z siwemi wąsami i podgolonym łbem uderzył pięścią w stół, aż zabrzęczało szkło i mówił rozmazanym, pijackim głosem:

— Słuchaj sąsiad. Ja, panie, złożyłem homagjalną przysięgę, bo obiecali nas szanować i otworzyć kredę dla szlachty. Ale... słuchaj sąsiad!

— Słucham.

— Ale, jeśli nam mają całkiem odebrać prawo sądu i kary nad chłopem, to, jak Pana Boga kocham, sprzedam majątek i przeniosę się pod Moskala...

— Z deszczu pod rynnę, co?

— Nieprawda! Tam przynajmniej człowiek wie, kogo ma nad sobą, a kogo pod sobą... Ale żeby mi kto miał odjąć prawo.,. tego...

— A ustawa trzeciego maja? albo ta tego nie odjęła?

— To też wszystko djabli wzięli.

— Nie dlatego.

— Mówię, że dlatego!

Trzeci rozrzewnił się.

— Oj, ciężkie czasy i szkoda tego, co przeszło..,

— Ale na to niema rady.

— No, a Buonapart?

— Pan Bóg bliżej.

Poczem pili dalej, obcierając łzy, wzywając od czasu do czasu zmiłowania Bożego, lub klnąc. Ich żale mieszały się z językiem niemieckim wojskowych i złą francuszczyzną „ptymetrów". W sali czynił się gwar coraz większy, tak, że wkońcu nie można już było nic dosłyszeć. Powietrze w izbie przesłoniło się dymem z fajek. Marek czuł zawrót głowy; Cywińskiego drażnił coraz bardziej widok oficerów pruskich, co zauważywszy, Gromadzki za-

płacił za wino, a następnie przewodniczył im do teatru Narodowego, w którym, mimo nieobecności Bogusławskiego, dawano co pewien czas przedstawienia.

Obaj młodzieńcy odetchnęli pełną piersią, zanim jednak doszli do teatru, piegowaty ich towarzysz zatrzymał ich i rzekł:

— Widzieliście, jak na jeden dzień sporo; widzieliście prymasa i Chadzkiewicza i Nurskiego i masonów i tę szlachtę, która żałuje prawa nad chłopem, i „ptymetrów"... W Lotaryngji nauczyłem się od tamtejszych Polaków przysłowia: „Jeden do Sasa, drugi do Lasa". I to się nie zmieniło. Dziwny kraj. Dlatego idę do legjonów, bo tu łatwiej stracić głowę, niż tam.

Lecz Cywiński i Marek myśleli w tej chwili o czem innem. Młodziankowi nie schodziły z pamięci długie rzęsy panny Krasickiej, a Cywińskiemu wzbierała w duszy ochota przetrzepania skóry jakiemu Prusakowi.

— Mnie się oni jednak podobali — ozwał się, biorąc Gromadzkiego za guzik.

— Kto ci się podobał?

— A te eleganty...

— Ach, *les petits maitres!* Pojedynki, karty, kobiety, hulatyka na pogrzebie!

— Na jakim pogrzebie?

— Ojczyzny.

* * *

Nazajutrz Cywiński i Marek, przyszedłszy o wczesnej godzinie do Kajetana, zeszli się z młodym klerykiem, który przyniósł kopertę od prymasa.

W kopercie były pożądane dyspensy, jednakże szambelan August, obejrzawszy swoją, wpadł w jak najgorszy humor, gdyż mógł wprawdzie na mocy tego dokumentu wstąpić w związki małżeńskie z panną Klarybellą wnet po powrocie do Różyc, ale zarazem znalazł na odwrotnej stronie dopisek, który go dotknął do tego stopnia, że, zamiast rzecz utaić, rzucił dokumentem o podłogę. Stojący najbliżej Marek podniósł ze zdziwieniem kartę, przeczytał ją, nim szambelan zdążył mu ją odebrać, i skutkiem tego dopisek stał się wiadomy.

Ksiądz biskup Krasicki przypomniał sobie widocznie na chwilę dawne wesołe czasy, pełne konceptów, przymówek i dowcipów, albowiem pozwolenie na ślub bez zapowiedzi opatrzył złośliwym czterowierszem, którego nie zawahał się, dzięki ówczesnej foldze obyczajów, umieścić na dokumencie kościelnym:

„Posyłam ci dyspensę, mości szambelanie,
A ty — wierz mi — pośpieszaj, póki sił ci stanie,
Boć igraszka to losu okrutnie niemiła,
Gdy żądza pozostaje, a odchodzi siła".

Cywiński i Marek poczęli się uśmiechać, lecz Kajetan zmarszczył brwi, bo chociaż szło mu o dobre stosunki z biskupem i chociaż sam uznawał niestosowność spóźnionych amorów, jednakże zabolało go mocno szyderstwo z ojca. Samego szam-

belana ogarnęło takie rozdrażnienie, że nos i broda poczęły mu się schodzić zupełnie i trzęsły mu się ręce, gdy, stukając tabakierką, mówił:

— Dowcip mu zwietrzał, ale nie wywietrzał, a jego biskupią reputację dawniej psy zjadły, niż mój wigor. Bo ja widziałem swego czasu koper-sztych, a na nim księdza biskupa warmińskiego przy ołtarzu i dwie damy w rogówkach, służące mu do mszy. Zawsze był zgorszeniem dla ludzi i taki sam pozostał. Gotów żonglować cnotami teologicznemi, jak kuglarz, albo grać niemi w bilbokieta... Jeśli ksiądz Łuskina nie napadał na niego w swoim „Monitorze", to tylko dlatego, że mu drogo sprzedawał wino francuskie na Starem Mieście... Ale dzisiejsza jego purpura pokrywa tak samo siedm grzechów głównych, jak wczorajsze fiolety... Tylko odgrzewane koncepta mniej są warte od dawniejszych. Nie pójdę do niego z wizytą, ale mu to napiszę. Zdobędę się i ja na takie rymy...

I z wielkiej irytacji zaciął się, a wogóle słowa przychodziły mu z pewną trudnością, tak nawet wyraźną, że Kajetan spojrzał nań kilka razy ze zdziwieniem. Rozdrażnienie nie opuściło go aż do obiadu, a wino, którego wypił więcej niż zwykle, spotęgowało tylko jego gniew na biskupa. Uspokoił się nieco dopiero po poobiedniej drzemce, ale zbudziwszy się, dał jednak rozkaz Firminowi, by pakował rzeczy, i powtórnie zapowiedział, że jutro odjeżdża. Pod wieczór siadł do pisania odpowiedzi prymasowi, lecz nie mógł się na nic zdobyć i list odłożył do powrotu na wieś. Dwaj młodzi Kwiat-

kowscy poszli jeszcze tegoż samego dnia do Chadzkiewicza, Kajetan bowiem chciał się z nim o wielu rzeczach rozmówić, a Marek ułożył się ostatecznie o termin wyjazdu do Wiednia. Chadzkiewicz, załatwiwszy się prędko z Markiem, zatrzymał Kajetana, gdyż chodziło mu o to, by wykształconego i zamożnego młodzieńca pociągnąć do masonerji. Kajetan nie miał nic przeciw temu, ale sprawa jego przyjęcia nie mogła być narazie załatwiona. Tymczasem dowiedział się wielu rzeczy o stanie kraju i sprawach politycznych zagranicą, o których, siedząc na wsi, nie mógł mieć dokładnego pojęcia. Jakoż w odwrotnej drodze do Różyc, przyznał się Markowi że to, co mówił o stanie umysłów, wówczas, gdy po śmierci Plichty wracali do domu, było poniekąd mylne. Po insurekcji kościuszkowskiej i ostatecznem rozdrapaniu kraju, ogarnęło ludzi istotnie jakby jakieś omdlenie i obojętność, nie wszyscy jednak pogodzili się z losem. Trwała aż do 97 roku praca nad zwaleniem jarzma. Nie pomagało prześladowanie i srogie kary na spiskujących. Tworzyły się tajne towarzystwa we Lwowie, Krakowie i Warszawie. Nie usnęli patrjoci cywilni i wojskowi, nie usnęło mieszczaństwo, pomimo uwięzienia Kriegera. Wrzała praca w kraju i na obczyźnie, aż wreszcie wszelkie czyny i wysiłki zbiegły się we Włoszech i znalazły swój wyraz w legjonach. Obecnie zadaniem patrjotów było rozbudzić ducha w narodzie i przygotować go do wielkich wypadków, które wkrótce miały nastąpić.

Kajetan, zważywszy to wszystko, porzucił osta-

tecznie myśl jechania do Włoch, albowiem przekonał się, że i na miejscu znajdzie się dla niego ważna służba.

Marek byłby chętnie nie wracał już do Różyc, ale przyrzekłszy Cywińskiemu, że będzie na jego ślubie, musiał słowa dotrzymać. Chcąc jednak wcześniej stanąć na miejscu, i on i Stanisław porzucili po drodze starszych Kwiatkowskich, którzy jechali bardzo wolno. Szambelana Augusta droga męczyła nadzwyczajnie. Był ciągle rozdrażniony i nie czuł się wcale zdrów. Chwilami wracała mu trudność mowy, a raz zaciął się nawet przy wymawianiu imienia panny Klarybelli jakby nie mógł go sobie przypomnieć.

VI.

Ślub Stanisława odbywał się cicho w leżnickim kościele i przy małej ilości świadków. Prócz rodziców Cywińskich, Marka i Kajetana, oraz dwóch druchen panny młodej, nie było w orszaku weselnym nikogo więcej. Przyszło trochę czeladzi z Rudni, kilku borowych, dawnych żołnierzy z kompanji piechoty, którą nieboszczyk Plichta dowodził, a w głębi kościoła zasiadła w ławce panna Klarybella Wyrożębska, w towarzystwie starej szafarki dworskiej.

Godzina była południowa, dzień niedżdżysty, ale chmurny bardzo, tak, że kościół pogrążony był w mroku, który rozpraszały tylko świece, płonące przy ołtarzu. Przed ołtarzem klęczeli Cywiński i Anusia. Ona, w wianeczku zwitym z doniczkowej ruty, ale w czarnej, żałobnej sukni, przy której włosy jej wydawały się w blasku świec niezmiernie jasne, i ze łzami, staczającemi się zwolna po jej różowych policzkach, wyglądała jak polny kwiat, mokry od rosy. Stanisław, ogromnie wzruszony, spoglądał na nią, odchylając górną wargę, nietylko jak oblubieniec na oblubienicę, ale takim poczciwym wzrokiem, jakim się patrzy na ukochane, a rozżalone dziecko. Przed nimi stał ksiądz Wysocki, przy-

brany w biały ornat, i w ciszy wielkiej wymawiał sakramentalne słowa: „Ja biorę ciebie sobie...“ i t. d. Stanisław powtarzał je głośno, mocnym głosem, Anusia, chlipiąc zcicha. Lecz gdy ksiądz włożył im na palce obrączki, a na chórze organista zaintonował: „Veni Creator“, dziewczyna podniosła swe modre oczki ku Ukrzyżowanemu w ołtarzu, jakby dziękując Mu za te serca, za tę opiekę, którą u dobrych ludzi znalazła, i za to młode, dzielne ramię, na którem mogła się wesprzeć. Kochali się przecie już przedtem, a Stanisław kochał ją w tej chwili nad życie.

Stary Cywiński składał przez cały czas usta jakby do gwizdania, marszczył brwi, wytrzeszczał oczy i minę miał tak groźną, jakby się gotował do jakichś nieludzkich czynów. Matka popłakiwała w ciągu ceremonji bez przestanku, ale łzami szczęścia, była bowiem pewna, że jej jedynak nie porzuci teraz jasnowłosego dziecka dla wojny dziwnej i dalekiej...

Z kościoła poszli nowożeńcy na cmentarz, gdzie wśród zrudziałej zeszłorocznej trawy i leżących tu i ówdzie w dołkach płatów śnieżnych żółcił się jeszcze piasek na mogile Plichty. Tam klękli oboje i Anusia pytała ojca, czy ją widzi i błogosławi, a Cywiński przyrzekał mu, że mu dziecka nie skrzywdzi i nie zmarnuje. Marek rozczulał się widokiem młodej pary, klęczącej na mogile, i myślał, że w ich rozmowie z tą duszą, która w tej chwili krążyła może wśród mgły nad nimi, w ich pamięci, w ich przysięgach i w ich wzajemnej miłości

jest szczerość i prawda, taka, jakiej w jego dotychczasowych sentymentach nie było. Zrozumiał, że on tylko roił i do tych rojeń chciał naciągać rzeczywistość, tu zaś życie samo rozkwitało tak poezją, jak wiosną pokrywają się kwieciem łąki.

Po skończonej nagrobnej modlitwie, Stanisław Cywiński wstał z klęczek, a gdy wstała i Anusia, wziął obie jej dłonie i podniósł je do ust z wielką tkliwością, a zarazem i z taką powagą, jakiej się Marek po nim nie spodziewał. Po nim wzięła dziewczynęw objęcia matka, a gdy i pan starszy Cywiński uronił łzę z pod zmarszczonych brwi na jej ruciany wianek — pojechali do Rudni.

Marek, jako drużba, pojechał z nimi. Kajetan, który mało znał Cywińskich, wycofał się jeszcze przedtem z orszaku, rozumiejąc, że taka uroczystość weselna, w którą wpleciona jest świeża żałoba, powinna się odbyć tylko w gronie ludzi najbliższych. Więc wprost z przed kościoła udał się wraz z panną Klarybellą do dworu w Leżnicy, gdzie czekała ich starościna i szambelan.

Szambelan bywał tam teraz codziennie i przesiadywał do późna z narzeczoną i z panią Sokołowską, prawiąc pannie komplimenta i odczytując jej madrygały, zapożyczone od Laineza i Moncrifa, które tłumaczył Kajetan. W chwilach wolnych od czułych oświadczeń układali też pasjanse. Tym razem jednak panna przywiozła z kościoła migrenę, więc wrócili do Różyc nieco wcześniej. Po upływie godziny nadjechał i Marek, a ponieważ Kajetan jeszcze nie spał, więc obaj, pod wrażeniem zdarzeń

dnia dzisiejszego, poczęli rozmawiać o ślubie i nowożeńcach.

— Co to za czuły poemat — mówił Marek. — Rodzice oddali im oficynkę, a w niej dwa pokoje, wymalowane na biało. W oknach są firanki, a na oknach doniczki z fuksjami i geranjum. Gniazdo jest małe, a szczęście może być w niem wielkie.

— I pewno będzie — odpowiedział Kajetan. — Ona jest stworzona dla Cywińskiego.

— To jeszcze dziecko. Po wieczerzy wziął ją Stanisław na ręce i nosił po pokoju; wydała mi się wtedy trzynastoletnią dziewczynką, choć wiem, że skończyła szesnaście.

— Sielanka Teokryta!

— Tak. Cudniejszej pasterki nawet jego imaginacja nie stworzyła.

— Zato Cywiński mniej podobny do sycylijskiego pasterza...

Poczem Kajetan spojrzał, przymrużając oczy, na Marka i zapytał:

— Kiedy Chadzkiewicz ostatecznie wyjeżdża?

— Od dziś za dziesięć dni.

— I ty myślisz, że Cywiński zdobędzie się na to, by po dziesięciu dniach przerwać sielankę?

— Nie. Wcale już na to nie liczę i nie będę na niego czekał. Wszystko ma swoje granice. Nie będę nawet już u nich z pożegnaniem, by Stanisław nie wziął tego za przypomnienie, lub za wymówkę.

— A ty kiedy chcesz jechać?

— Pojutrze, by w Warszawie poczynić przygotowania i sprawunki. Nie mam tu już nic do ro-

boty... Ale chciałem cię prosić o jedną rzecz, jako właściciela Różyc.

— Wiesz, że jestem tylko nominalnym.

— Jak chcesz, jednakże, jeśli zginę, staniesz się nietylko nominalnym. Otóż proszę cię, byś pomyślał o tem, czyby Stanisławowi nie można puścić Różyc w dogodną dzierżawę. Ja go kocham, bo to szczery człowiek, i przez długi czas, nim nauczyłem się kochać i cenić ciebie, był to jedyny człowiek, przed którym mogłem otwierać serce. Stryj nie gospodarz, ty również wolisz książki, a Cywiński ma energji za trzech i zna się na rzeczy, więc Różyce na tem nie stracą... A ja takbym chciał zrobić coś dla nich obojga!

Kajetan uściskał go serdecznie.

— Ty jesteś poczciwy z kościami chłopak i stanie się wedle twej woli.

* * *

Na trzeci dzień po tej rozmowie Marek wraz z Kajetanem wyruszyli do Warszawy. Nad wszelkie spodziewanie stary szambelan pożegnał bratanka z pewnem wzruszeniem, a nawet uczynił nad nim krzyż tabakierką i podarował mu zegarek, który w swoim czasie wygrał w zakład od hetmana Branickiego. W Warszawie Chadzkiewicz nie zmienił zamiaru wyjazdu, a ponieważ lubił jeździć wygodnie i dworno, więc przygotowania do podróży były już rozpoczęte. Gromadzki i Marek mieli jechać jako sekretarze „hrabiego“, Cywiński, dla

którego paszport był także, na wszelki wypadek, wyrobiony — jako masztalerz. Tydzień, który pozostawał do wyruszenia w drogę, zeszedł obu młodym Kwiatkowskim na wizytach i na odwiedzaniu Narodowego teatru, a prócz tego Chadzkiewicz wprowadził Kajetana do loży, noszącej nazwę „Złoty Lichtarz“, do której, w oczekiwaniu na odnowę Wielkiego Wschodu Polskiego, zapisywali się dość licznie Polacy.

Nadszedł nakoniec termin wyjazdu. Dzień był chmurny i tak ciemny, że w stancjach trzeba było do dziesiątej rano palić świece. Marek i Kajetan przyszli wcześniej jeszcze do mieszkania Chadzkiewicza, które zapełnione było walizami i tobołkami, a zresztą puste, gdy gospodarz, wyjeżdżając na długo, sprzedał jednemu ze znajomych „ptymetrów“ meble. Ludzie poczęli wynosić rzeczy do karety i do bryk węgierskich, stojących przed domem. Gromadzki pilnował rzeczy. Chadzkiewicz wyszedł przed samym wyjazdem, by odwiedzić chorego Nurskiego, a obaj Kwiatkowscy, siedząc w oknie, wruszeni do głębi serca, rozmawiali z sobą tak, jak rozmawiają przyjaciele przed rozstaniem.

Kajetan trzymał rękę brata i, mrugając oczyma, wpatrywał się w niego po raz ostatni. Niegdyś obojętny dla krewniaka, pokochał go teraz całą duszą. Z ojcem stosunek jego był zawsze dość daleki, a z powodu zamierzonego ojcowskiego małżeństwa, miał się stać jeszcze dalszy, więc od czasu zbliżenia się z Markiem samotny mizantrop pokochał go głęboko, sercem nietylko braterskiem, ale rodziciel-

skiem. Młody chłopak stał się dla niego istotą, która jedynie wiązała go z życiem. Czuł, że po jego wyjeździe pozostanie jeszcze bardziej samotny i że poprostu nie będzie miał się z kim podzielić żadną myślą. Może po raz pierwszy poczuł, że nauka nie może wszystkiego zastąpić i że jeśli umysł okręca się naokół wiedzy, jako chmiel lub bluszcze naokoło pni drzewnych, to i miłość musi znaleźć także jakąś podporę.

Patrzył też z ogromnem przywiązaniem w oczy Marka, patrzył na jego prawie dziewczęcą, jasną twarz i ze ściśniętem sercem myślał, że może szabla jakiego pandura rozorze ją i zeszpeci te szlachetne rysy; gładził ręką obfite włosy chłopca i widział w wyobraźni, jak obetną je żołnierskie nożyce. Z każdą chwilą wzbierał w nim żal coraz większy, tak, że wkońcu objął Marka ramionami i przycisnąwszy go do serca, mówił przerywanym głosem:

— Tyś za młody na obozowe życie. Gdybyś przynajmniej miał tam kokoś bliskiego... Gdyby Cywiński!... albo gdybym ja mógł jechać, a ty zostać.

A Marek oddał mu serdecznie uścisk i odpowiedział:

— Ja nie mogę, Kajetanie. Ty wiesz, że nie mogę. Tam obowiązek, tam służba krajowi, tam pole uczynków i pole spłaty krwią...

— Ta spłata, to mój obowiązek.

— Nie. Tobie tu świeci jak pochodnia nauka i tą pochodnią będziesz oświecał rodaków, a ja, po-

wiedz sam, co ja mam tu do roboty? Tylko jakieś szukanie celu w życiu, tylko jakaś nieprawda rojeń i marzeń, i nic więcej, a naokół pustka.

Kajetan pociągnął dłonią po czole.

— Nie mów tak. Przed tobą wszystko stoi otworem i na nic ci jeszcze nie za późno. Ale moja wina, żem się tobą wcześniej nie zajął, żem nie wzbronił odbierać cię ze szkół, żem nie otoczył cię braterską opieką, moja wina!

— Kajetanie, ja ci będę wiecznie wdzięczny za to serce, któreś mi w ostatnich czasach okazał...

— Pójdzie ono za tobą wszędzie...

Dalszą rozmowę przerwał im plusk deszczu o szyby i głośna rozmowa w sieni. Ktoś się tam o coś spierał, ktoś dopytywał widocznie o gospodarza i gniewał się na służbę, która twierdziła, że niema go w domu. Po chwili drzwi otworzyły się szeroko i ukazał się w nich Cywiński.

— Stanisław! — zawołał ze zdumieniem Marek.

A ów cisnął na kufer mokrą burkę i zwrócił ku nim twarz, jakby zawziętą.

— I jedziesz z nami? I znalazłeś dość sił, by odjechać żony?

Na to Cywiński nie odrzekł nic, tylko wciągnął nozdrzami powietrze i wielkie łzy poczęły mu spływać z oczu.

Z ulicy dochodziło szczękanie podków końskich o bruk.

CZĘŚĆ II.

POD DĄBROWSKIM.

I.

Cywiński, lubo pilno mu było do obozu, zgodził się jednak na żądanie Marka, by kilka dni spędzili w Wenecji. Zgodził się, raz dlatego, że sam chciał poznać miasto, a po wtóre, że oficer Drzewiecki, z którym obaj młodzieńcy poznali się zaraz po przyjeździe, zapewnił ich, iż nie potrzebują się zbytnio śpieszyć, gdyż legje od czasu pokoju zawartego w Campo Formio stoją w Rimini i gotują się do wyprawy na Rzym, ale narazie nie mają nic do roboty.

Drzewiecki był gładki i rozmowny oficer, a przytem trochę beletrysta. Bywał on już poprzednio w Wenecji i poznał nieźle osobliwości miasta, więc, jako chętny przyszły kolega, pokazywał je młodym rodakom od kilku dni i od rana, aż do zachodu słońca. Obiecał też towarzyszyć im do Padwy, którą także chcieli po drodze zobaczyć.

Owóż w wigilję wyjazdu, zasiedli przed kawiarnią na placu św. Marka, by nieco przeciągnąć strudzone nogi, popatrzyć na ludzi i porozmawiać o wrażeniach zebranych w ciągu dnia. Lecz po chwili zbliżył się ku nim młody jeszcze, ubrany po cy-

wilnemu mężczyzna, z odciętą częścią wąsa i wyszczerbioną wargą. Przybyły powitał Drzewieckiego, a ów przedstawił go Markowi i Cywińskiemu, jako kapitana Nadolskiego.

— Byłem w twojej kwaterze — rzekł do Drzewieckiego Nadolski — a teraz wypatrywałem cię na placu, gdyż mam dla ciebie rozkaz.

— Wiadomo, że w Wenecji każdego można znaleźć wieczorem na placu — odpowiedział Drzewiecki.

Poczem wziął list, przebiegł go oczyma i zwrócił się do Cywińskiego.

— Niestety, nie mogę jechać jutro z waćpanami do Padwy, albowiem otrzymałem od jenerała Kniaziewicza rozkaz powrotu.

Młodzieńcom przykro było rozstawać się z miłym towarzyszem, ale ponieważ nie było na to rady, więc Marek wyraził tylko swój żal z powodu rozłąki, a Cywiński ozwał się, ważąc rzecz na dwoje.

— To może i my pojedziemy z waćpanem wprost do obozu, a nie do Padwy.

— Do Padwy warto jechać — odpowiedział Drzewiecki — raz dlatego, że blisko, a po wtóre, że tam w uniwersytecie jest dużo wmurowanych tablic z polskiemi nazwiskami i herbami. Magnaci nasi w wieku XVI często piastowali godność rektorów padewskich... Możecie też dotrzeć do Werony, a stamtąd dopiero jechać do Rimini.

— A jeśli tymczasem wojsko nasze ruszy ku Rzymowi?

— Nie ruszy — przerwał szorstko Nadolski — bo żołnierzowi brak butów, koszul i portek. Czekamy, by nam to przysłano z Medjolanu, ale Dyrektorjat cyzalpiński marudzi, a może i sam nie ma złamanego szeląga.

— Więc zawsze stara bieda? — zapytał Drzewiecki,

— A stara. Dąbrowski wysyła list za listem. Gdym wyjeżdżał, on i Kniaziewicz chcieli wysłać Tremona, ale że Tremo teraz potrzebny na miejscu, więc miał jechać Dembowski i podobno Bogusławski.

— Bogusławski? Czy nie Jakób Ferdynand? — zapytał Marek.

— Tak. Waćpan go znasz?

— Nie, ale słyszałem o nim w kraju...

Umilkli na chwilę i poczęli przypatrywać się rzece ludzkiej, która przepływała od Św. Marka w stronę San Moise i zpowrotem. Wieczór mimo wczesnych dni wiosny, był nadzwyczaj ciepły i pogodny. Nad placem widać było niebo nabite gwiazdami, a zręby prokuratorji i siwe kopuły kościoła srebrzyły się od miesięcznego blasku. Sam plac gorzał od świateł. Na środku grała na wzniesionej estradzie wojskowa muzyka czeska. Tłumy mężczyzn i kobiet przesuwały się wzdłuż prokuratorji, a gwar ich rozmów mieszał się z dźwiękiem instrumentów muzycznych i z furkotaniem skrzydeł gołębi, płoszonych przez nagłe głosy trąb i bębnów. Przed kościołem paliły się w żelaznych koszykach wiązki pochodni, rzucając różowe blaski na jasne

mozaiki, na złocony wnęk i na wielkie żółte chorągwie, zawieszone na masztach przed świątynią.

— Wśród tych cudów — ozwał się Marek — ludzie powinni żyć tylko imaginacją i rozrzewnionych serc zachwytem...

— Mój towarzysz jest poetą — przerwał mu Cywiński. — Ale istotnie pięknie tu i rojno. Czy to tak zawsze bywa?

— Miarkuję od kilku dni, że pan Kwiatkowski pija z kastalskich źródeł — odpowiedział Drzewiecki. — Wenecja, nawet gdy w niej pusto, może poruszyć czułe struny w duszy poety. Wszelako teraz nastały czasy wyjątkowe. Stoi tu liczna załoga austrjacka, lecz że Austrjacy nie rozgospodarzyli się jeszcze na dobre, a pokój został zawarty, przeto uważają ludzie Wenecję jakoby za grunt neutralny. Rozumiesz waćpan, że tak osobliwe miasto musi wszystkich pociągać, więc oficerowie francuscy z fortec cyzalpińskich biorą setkami urlopy i przyjeżdżają tu na oględziny i zabawę. Anglicy wszędzie się znajdą, a nie brak też tu i naszych, gdyż Austrja uznawszy Rzplitą Cyzalpińską, musi uznawać i jej paszporty. Są tedy Niemcy, Węgrzy, Wołosi, Anglicy i Polacy. Istna *colluvies gentium!* Ale po prawdzie, to na nas Polaków, nie patrzą tu teraz życzliwie.

— Dlaczego? — spytał z odcieniem żalu Marek.

— Bo z woli Buonapartego wzywał Wenecję do poddania się Sułkowski, a potem bronzowe konie z kościoła Św. Marka kazano zdejmować naszym żołnierzom, co ludność miejscowa bardzo

wzięła do serca, gdyż oni tu okrutnie zawsze kochali Św. Marka i jego złocone rumaki.

— A co się z niemi stało?

— Poszły do Paryża, jak wiele, wiele cennych łupów. Ale Włosi nie rozumieją, że żołnierz musi słuchać rozkazu, i powiadają, że konie zabrali „Polachi".

— Wartoż ich było żałować? — zapytał Cywiński.

— Zmiłuj się waćpan. Toć przecie arcydzieło...

— Niema co! walnych mają rzeźbiarzy. Bo i ten rycerz na koniu, którego widzieliśmy przed kościołem św. Piotra i Pawła... Jakże on się zowie?...

— Colleoni. To robota Verocchia.

— Rycerz, jak rycerz! Bez wąsów i brody wygląda na babę, ale szkapa tęga: pęcina krótka, więź dobra, zad szeroki...

Uśmiechnął się na to pan Drzewiecki i rzekł:

— Waćpan patrzysz na dzieła sztuki jak kawalerzysta.

— Bom pod Kościuszką w jeździe służył.

— A ile miałeś wówczas lat?

Cywiński wskazał na Marka.

— Tyle, ile on ma dziś, a nawet mniej, ale na koniach znałem się od dzieciństwa.

— Te, które nasi zdjęli z kościoła, pochodziły z Konstantynopola, więc nie były włoskiej roboty. Ciężkie było to zdejmowanie i żołnierz nierad się do tego brał, zwłaszcza, że mu złorzeczono.

— A że to Włosi odróżniają Polaków od Francuzów? — ozwał się Marek.

— Odróżniają nas po mowie, po kwadratowych czapkach i po niebieskich oczach. Przytem, od czasu jak Buonaparte pokarał Weronę rękoma naszych żołnierzy, boją się nas.

— To wtedy poległ Liberadzki?

— Tak, ale lepiej wam to opowie Nadolski, bo osobiście był w ogniu.

Na to Nadolski pociągnął ze szklanki wina, zmarszczył się i rzekł:

— W Weronie motłoch wymordował nietylko załogę, ale i rannych w szpitalach, których było kilkuset, Francuzów i naszych. To też odwet był srogi i łaźnia krwawa.

Tak mówiąc, podniósł palec do ust.

— Patrzcie. Odstrzelono mi wówczas wąs i część wargi. Warga się wygoiła, ale wąs już nie odrośnie, i tego tym szelmom baurom nigdy nie daruję.

— Jakto baurom?

— Bo między tymi, którzy powstają przeciw Francuzom, najwięcej jest chłopów, więc nasi nazywają wszystkich baurami. Należy bestjom przyznać, że się djablo biją. W Weronie trzeba było zdobywać ulicę za ulicą, dom za domem. Nasi bardzo się przytem odznaczyli i od tej pory żołnierz polski budzi w tych okolicach postrach i nienawiść.

— Jednakowoż nie wszędzie — objaśnił Drzewiecki — bo tam, gdzie jest pokój, wolą nas od Francuzów i nawet podziwiają skromność żołnierza. W Rimini, naprzykład, szczerą nam okazują życzliwość. Posłuchajcie, jakie to kantaty komponują na naszą cześć i chwałę.

To rzekłszy, począł nucić:

„La libertade Italica
Che tanto deve a Voi,
Bravi Polachi, volgevi
Lieta gli squardi suoi..."

Poczem tak mówił dalej:

— Prawda jednak, że czasem i noże bywają w robocie, zwłaszcza, gdy chodzi o kobiety. Ach, Włoszki! pod ich oczyma topnieją serca nietylko naszych żołnierzy i oficerów, ale nawet i jenerałów.

— Bestyjki wabne, że aż człowieka biorą ciągoty — zauważył Cywiński.

I przeciągnął się, jakby morzony snem.

— Strzeż się waćpan Włochów — odpowiedział Drzewiecki.

Następnie popatrzył przez chwilę na anielską twarz Marka i dodał:

— A waćpan Włoszek. To słodka wprawdzie niewola, ale zawsze niewola.

Marek zarumienił się jak panna, i już chciał wyznać, że jeszcze w kraju marzył o włoskich dziewicach, ale w obawie, by oficerowie nie poczytali go za roztkliwionego niedorostka, zwrócił rozmowę na tory polityczne.

— Wyznaję — rzekł — że nic z tego nie rozumiem. Bo ja myślałem, że Włosi co do jednego stoją przy Buonapartem, który dopomógł im zrzucić obce jarzmo.

— Tak i my myśleliśmy — odpowiedział Drze-

wiecki — ale w tym kraju dzieją się dziwne rzeczy. Francuzi biją kajzerlików, przewracają małych tyranów i niosą Włochom wolność. I byłoby wszystko dobrze, gdyby nie to, że zarazem depcą świętości, które ten naród czci... Więc tam, gdzie zawiał wiatr rewolucyjny, w wielkich miastach, gdzie zagnieździła się masonerja, gdzie wychodzą gazety, a ludność rwie się do swobody, tam radośnie witają trójkolorowy sztandar. Ale inni, a bogdaj tych więcej, nie chcą o nim słyszeć.

— Zwłaszcza, że Dyrektorjat nasyła złodziei-dostawców, którzy krzywdzą wojsko, a ludność obdzierają ze skóry — wtrącił Nadolski.

— A Rzeczpospolita Cyzalpińska? — zapytał Cywiński.

— Rzeczpospolita Cyzalpińska, to poprostu prowincja francuska. Francuzom ona potrzebna, bo z niej grożą całej Italji. Oczywiście i we Włoszech chodzi o nią patrjotom, chodzi ludziom oświeconym, chodzi tym, którzy piastują urzędy, chodzi nieprzyjaciołom Austrji, a przyjaciołom wolności. Natomiast spytaj waćpan chłopów, co o niej myślą, posłuchaj, co mówi motłoch, taki właśnie, jaki w Weronie wycinał Francuzów i naszych po szpitalach, spytaj księży, spytaj arystokratów, a obaczysz, co ci odpowiedzą. Wolność to dobra potrawa, ale gdy się ją gwałtem wpycha w gardło, prędko obrzydnie. Były już insurekcje chłopskie, które tłumił Strzałkowski, była insurekcja w Weronie i będą jeszcze inne. Pożal się Boże tej krwi, a i nam żal ją rozlewać... Lud przywykł do swego jarzma, do swych

małych tyranów, ba, nawet do Austrjaków. Myśl o wielkiej, wolnej ojczyźnie włoskiej może tu całkiem nie umarła, ale usnęła i śpi...

— Budzi ją jenerał Buonaparte! — zawołał Cywiński.

— A mnie tymczasem chłop odstrzelił wąs — mruknął Nadolski.

Drzewiecki zaś powtórzył:

— Budzi ją Buonaparte, ale tymczasem oddał tę oto Wenecję Austrjakom.

Umilkli i zwrócili się ku kościołowi, albowiem w tej chwili orkiestra poczęła grać hymn austrjacki i przed fasadą zapalono ognie bangalskie. W oślepiających blaskach rozbłysły tem bardziej złocenia i mozaiki. Kolumny kościelne zdały się być uczynione nie z marmuru i porfiru, ale z czerwonego i zielonego światła. Zabarwiły się też na różowo i zielono zestrachane gołębie, latające nad świątynią. W różnych stronach placu kilkanaście głosów zakrzyknęło: „Evviva Austria!“ ale tłum pozostał posępny, głosy nie znalazły echa i umilkły, jakby zawstydzone.

— Jakiż to cios był dla patrjotów, to oddanie Niemcom Wenecji — ozwał się Marek.

— Był i dla nas — odpowiedział Drzewiecki. — Myśleliśmy, że gdy Buonaparte zgniecie Austrję tak, jak zgniótł jej armję, to pójdziemy do Galicji. A tymczasem, on dał Austrji, czego przedtem nie miała. Waćpanowie nie potraficie sobie wyobrazić, jaka była między nami konsternacja. Dąbrowski, Kniaziewicz i Wielhorski puszczali sobie krew. Nie-

tylko oficerowie, lecz nawet żołnierze pytali się wzajem, co my mamy do roboty i po jakiego lichaśmy tu przyszli?

— I na to pytanie niema dotąd odpowiedzi.

— Jest nadzieja, że pokój będzie krótki. Dąbrowski i Kniaziewicz muszą mieć o tem jakieś pewne wiadomości, gdyż nabrali znów ducha i pomnażają legje.

— To znaczy, że pójdziemy do Galicji! — zawołał z radością Cywiński.

— Byle prędko. Słyszałem niedawno, jak Kniaziewicz mówił do Wielhorskiego tak: „W Buonapartem płynie przecie krew włoska, więc nie mógł oddać na długo Wenecji Niemcom i chciał ją tylko pokarać za jej zdrady w ostatniej wojnie". I to może być prawda.

— Mniejsza o Wenecję — mruknął znów Nadolski. — Nie zastąpi nam pomarańcza rzepy.

— Nie, kolego — odrzekł Drzewiecki — o Wenecję nie mniejsza, bo jeśli Buonaparte nie zostawi jej na stałe Niemcom, to ją musi odebrać, a jeśli ją zechce odebrać, to musi znów Niemców pobić.

— Austrja sama wypowie wojnę, bo jej żal fortec.

Marek Kwiatkowski, który oczarowany był Wenecją, wtrącił się zkolei do rozmowy.

— Czy podobna pomyśleć — rzekł — żeby ten jenjusz, na którego wszystkie narody patrzą jak na wybawcę, miał poddawać w niewolę tę królowę mórz, ten cud świata. Co do mnie, nie uwierzę w to nigdy.

— A jednak tymczasem tak jest. Co zaś do

królowania nad morzami, to stare dzieje. Tak!... Do ostatnich jeszcze czasów doża rzucał pierścień w morze, lecz to jest tylko czcza ceremonja, a dawna potęga to jeno wspomnienie, pod którem kryje się próchno, a nawet nędza.

Tu Drzewiecki machnął ręką.

— Co było w skarbie miljonów, to je wydano na przekupienie tych tam złodziei adwokatów z Dyrektorjatu, co dziś rządzą Francją. Na Canale Grande stoją dotychczas stare pałace i przeglądają się w wodzie, ale czy dacie wiarę, że ich mieszkańcy niezawsze mają co jeść. Spodek polenty, filiżanka czekolady, raz na dzień... Widzicie te kobiety, które tu płyną jak fala? Koronki na głowach, jedwabie, wachlarze! a założę się, że połowa ich przynajmniej nie ma koszuli pod spodem.

— Nie noszą ci koszul? — zapytał z nadzwyczajnem zajęciem Cywiński.

Marek spuścił oczy, a Drzewiecki, który wiedział, że Cywiński zostawił w kraju niedawno poślubioną żonę, począł się śmiać i przekomarzać,

— A waćpanu co do tego! To tam w domu za tobą płaczą, a ty się tu dopytujesz o włoską bieliznę? Proszę!„.

Twarz Cywińskiego przesłoniła się natychmiast chmurą i smutku i rozczulenia. Nie odpowiedział też ani słowem na żarty Drzewieckiego, tylko pochylił głowę i pochylal ją coraz niżej, by ukryć łzy, zbierające mu się pod powiekami. Myślą uciekł do kraju, do dworku w Rudni, a głos wielkiej tęsknoty wołał mu w duszy:

— Hanuś, moja jedyna, kiedy ja cię zobaczę? Hanuś!.,.. Hanuś!...

Towarzysze patrzyli na niego z głębokiem współczuciem, albowiem każdy z nich zostawił jakieś kochanie w dalekiej ziemi.

Przez dłuższy czas trwało milczenie, poczem Cywiński otrząsnął się jak ze snu, przetarł dłonią czoło, spojrzał weselej i rzekł:

— Ha! trudno!...

I gdy w tej chwili zbliżyła się do nich młoda, przystojna „fioraia", od której zalatywał zapach sasanek i żółtego kwiecia mimozy, uśmiechnął się do niej tak szczerze, że dwa jego przydługie przednie zęby rozbłysły prawie całe z pod jasnego wąsika, i chwyciwszy dziewczynę za rękę, jął powtarzać:

— Bella, co? bella?

Był to pierwszy wyraz włoski, którego nauczył się w Wenecji, i jedyny, którym się począł posługiwać.

Uczyniło się późno. Kapela zeszła ze wzniesienia, a wkrótce potem przerzedziły się szeregi, przesuwające się wzdłuż placu. Drzewiecki, który, stosownie do rozkazu, miał jeszcze tej nocy wyruszyć do Rimini, pożegnał wkrótce młodych towarzyszów, a wraz z nim odszedł i Nadolski. Marek i Stanisław wsiedli na Piacecie do gondoli, chcieli bowiem zobaczyć „Canale Grande" przy księżycu.

Zaledwie wyruszyli, ogarnęła ich po gwarze, panującym przed Św. Markiem, cisza. Tam biły w oczy tysiące lamp i krwawo płonących pochodni,

tu jedynie światło miesiąca spało cicho na gzymsach pałaców i kładło się długą srebrzystą taśmą na wodzie. Koło Santa Maria della Salute, gdzie zwykle zbierały się barki ze śpiewakami i gdzie co wieczór dźwięki mandolin rozsypywały się drobnym deszczem po wodzie, było już pusto. Od czasu do czasu tylko, z bocznych wąskich kanałów wysuwał się czarny, wydłużony kształt gondoli i odzywało się przeciągłe: „a — oe!“ gondoljera. Okna były prawie wszędzie ciemne, ale w jednym z pałaców dziwny widok przedstawił się oczom młodzieńców. Wysokie dolne okno w nieoświeconej komnacie było otwarte, a w niem bieliła się jakaś postać kobieca z rozwiązanemi włosami. Na gondoli z powodu pogodnej nocy nie było budki, więc Markowi i Cywińskiemu nie przesłaniało nic widoku. Kobieta — raczej młoda dziewczyna — głowę trzymała przechyloną wtył i opartą o ramę okna, a twarz jej skąpana była w blasku miesięcznym. Zdawała się być uśpiona, gdyż oczy miała zamknięte i cień od długich rzęs zachodził głęboko na jej policzki. Lecz usta jej, nieco otwarte, podane były ku księżycowi, jakgdyby w lunatycznem upojeniu piła jego srebrne promienie. Marek zatrzymał gondolę i patrzył. Nie był on muzykalny i wyraz „nokturn“ był mu zapewne obcy. A jednak odczuł coś takiego, co tylko muzyka może wyrazić, jakąś symfonję, złożoną z bladych, drgających na wodzie blasków, z sennego bełkotania fali pod dnem łodzi, z milczących pałaców, z ich ukojonych linij, z tej białej postaci i z tej twarzy, przechylonej ku niebu, a po-

grążonej w śnie, w marzeniu, czy też w omdlałym zachwycie...

— Nie budźmy jej! — szepnął do Cywińskiego.

A ów popatrzył także przez dłuższą chwilę i odpowiedział również szeptem:

— Ona się całuje z księżycem...

Zapadła wielka cisza. Słychać było tylko łagodny plusk wody o marmurowe progi pałacu.

Markowi wydało się, że jest w krainie czarów. Tak też i było od pierwszej chwili przybycia do Wenecji. Od błękitnych lagun, od blasków słonecznych na rozlewach, od różowych marmurów zamku dożów, od pałaców, jakby zamyślonych nad wodami, od kościołów i tęczowych mozaik bazyliki. padało na duszę młodzieńca radosne olśnienie. To, co niegdyś czytał o tem cudownem mieście, co o niem wiedział i co wyobrażał sobie jako daleką pozycję, zmieniało się w bliską rzeczywistość. Życie traciło tu zupełnie swą powszedniość i zdawało się szeregiem świąt, pełnych uroczystości i wesela. Marek czuł się jakby pijany pięknością. Wszystkie jego władze duchowe rozszerzyły się, jak nigdy dotychczas, i stały się mocne, a zarazem wrażliwe, jak struny harfy.

Nawet i Cywiński nie oparł się urokowi, chociaż ów urok zmieniał się w nim głównie w zdumienie. Wiedział jeszcze ze szkół, że Wenecja stoi na wodzie, ale wiedzieć, a widzieć jest co innego. Teraz, gdy patrzył na nią, nie chciał oczom wierzyć. Jeżdżąc gondolą, wybuchał często śmiechem lub wykrzykiwał: „Niech djabli wezmą!“ nie umiejąc ina-

czej swych podziwów wyrazić. Miasto wydawało mu się czemś przechodzącem wyobraźnię, a zarazem i czemś niedorzecznem, albowiem szlachecki jego rozum nie mógł pojąć, żeby „ludzie żyli jak kaczki“. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że jego zdziwienie graniczy z radością i zachwytem, w którym, bardziej świadomie, tonął jak w morzu Marek.

Ale tej nocy, pod niebem nabitem gwiazdami, w tajemniczym potoku srebrnych blasków, w milczeniu śpiących pałaców i przed tem otwartem oknem, w którem biała dziewczyna podawała jakby w omdleniu usta księżycowi, czar owładnął Markiem z większą niż kiedykolwiek mocą. Przez myśl przeleciało mu szybko, jak letnia błyskawica, wspomnienie „Nocy Younga“, które czytywał jeszcze w Różycach. Ogarnęło go poczucie, że żyje w jakichś lazurowych przestrzeniach i że dusza jego pławi się na rozłożonych skrzydłach gdzieś w zaświatach, gdzie wszystko składa się ze świetlanych toni, cichej muzyki, z westchnień, z błogiej melancholji, z łagodnych ukojeń z pół snu, pół jawy, z zapachu kwiatów, z nadziemskich zachwytów i z księżycowych pocałunków. A potem wydało mu się że jego jestestwo zmienia się całe w jedno pasemko miesięcznego światła, że pada na twarz uśpionej dziewczyny, dotyka jej włosów, rozświeca czoło, dotyka zamkniętych oczu, zatrzymuje się na otwartych ustach, które wysuwają się ku niemu, wnika przez nie do jej serca, zaślubia je i w niepojętem szczęściu tuli się w niem, jak w kielichu lilji białej.

Długo trwało milczenie. Marek ocknął się z upojenia dopiero, gdy znów jakaś gondola wysunęła się z bocznej uliczki i gdy wśród nocnego spokoju rozległ się przeciągły głos gondoljera:

— *Sia di lungo !...*

Wówczas zwrócił się do Cywińskiego.

— Stanisławie — szepnął — ja muszę ją poznać, ja... tu wrócę...

Lecz Cywiński, strudzony całodziennem zwiedzaniem miasta, wyciągnął się wygodnie na poduszkach gondoli i spał jak zabity.

II.

Trzeciego dnia obaj młodzieńcy znaleźli się w Padwie. Jeszcze przed południem pokłonili się św. Antoniemu Padewskiemu, którego cześć była od wieków tak i w Polsce rozpowszechniona, że Cywiński dowiedział się z pewnem zdziwieniem, że ów wielki święty nie był Polakiem. Potem odczytywali pod kolumnami w uniwersytecie nazwiska polskie i rozpoznawali polskie herby, a wkońcu „cicerone“, niedorosły jeszcze chłopak, zaprowadził ich przed posąg Guattamelaty i jął opowiadać o jego czynach rycerskich, tak przewracając oczyma, jakby był ich uczestnikiem. Ale oni obaj byli już ogromnie wygłodniali, wskutek czego, ani więź, ani pęciny donatellowego konia nie zdołały zatrzymać dłużej uwagi Cywińskiego. Jakoż, w chwilę później, odprawiwszy chłopca, znaleźli się w „trattorji“, na placu dei Frutti.

Zwykła pora obiadowa, bardzo wówczas we Włoszech wczesna, już minęła, więc tylko w głębi obszernej, ale dość ciemnej sali siedziało kilku cywilnych i dwóch księży, bliżej zaś od wejścia czterej oficerowie francuscy zajęli okrągły stół, na którym sterczało kilka oplecionych słomą flaszek.

Dwóch było huzarów, jeden dragon i jeden grenadjer. Przybyli tu za urlopami, może z Mantui, a może tak jak Marek i Cywiński wracali z Wenecji. Wojskowi w podróży przywdziewali zwykle strój cywilny, lecz ci nie zrzucili wcale mundurów, licząc widocznie na urok i poszanowanie, jakie uniform francuski wzbudzał w tych krajach, w których był symbolem zwycięstw i bohaterstwa. Dwaj młodzi Polacy usiedli wpobliżu, spoglądając z sympatją na ich rozochocone twarze i żywiąc w duszy chęć zapoznania się z nimi natychmiast. Powstrzymał ich tylko widok wypróżnionych butelek, który nie pozostawiał żadnej wątpliwości, że muszą być mocno podchmieleni. Dowodziła tego również ich zbyt głośna rozmowa i ustawiczne wybuchy śmiechu, rozlegające się głośnem echem w pustej sali. Nie mając nic innego do roboty, drwili ze starego zezowatego „cameriere“, który znosił to z wielkim spokojem.

Tymczasem wszedł nowy gość, który zwrócił na siebie uwagę i obu młodzieńców i Francuzów, a zwrócił ją, raz dlatego, że w tej stronie sali nikogo więcej nie było, a po wtóre, że wyglądał dość osobliwie. Był to człowiek lat około trzydziestu, szczupły, niewielkiego wzrostu, wygolony starannie, o rysach twarzy wybitnych, a zarazem jakby skamieniałych. Włosy nosił ówczesnym zwyczajem długie, związane ztyłu czarną wstążką. Oczy miał dziwnej barwy, zielonkowatej, przypominającej śniedź na bronzie.

Była to twarz prawie piękna, ale tkwił w niej jakiś skrzepły smutek i lodowaty spokój. Zdawało

się, że jego wąskie, bladawe usta mogą tak wiecznie milczeć, jak milczą usta posągów. Przybrany był w długi, ciemnoorzechowy surdut i w czarne pończochy, co czyniło go podobnym do Anglika, a nawet do angielskiego księdza.

Wszedłszy, wniósł z sobą jakby zamróz, co odczuli zupełnie wyraźnie zarówno Cywiński i Marek, jak i oficerowie francuscy. Przyczem nie spojrzał na nikogo i, wydawszy ciche polecenie służącemu, wydobył z kieszeni książeczkę i począł w niej coś notować.

Oficerowie wzięli go widocznie za Anglika i przypatrywali mu się bacznie, robiąc jednocześnie do siebie pocieszne miny. W chwilę później, huzar kichnął rozgłośnie, a pozostali wybuchnęli śmiechem.

— Dostałem naraz kataru! — zawołał huzar. — Hej tam! Jeszcze butelkę wina. Trzeba się rozgrzać. Czy czujecie, jak tu nagle ochłodło?

— Brr! Czujemy, czujemy! — odpowiedział oficer od grenadjerów. — Pamiętacie Alpy! Nie zimniej było na świętym Bernardzie.

— Który oto przyszedł widocznie z wizytą do św. Antoniego.

— Z bryłą lodu w kapturze.

— Albo w żołądku.

— I oziębił nam trattorję.

— Do djabła! Zgasła mi fajka.

— Zapewne zmarzł w niej ogień.

— Święty Bernardzie, zmiłuj się nad nami!

Ostatnie słowa zwrócone były już wprost do

przybysza, lecz ów nie słyszał ich, lub udawał, że nie słyszy.

To podnieciło jeszcze oficerów.

— Święty Bernardzie, czyś głuchy? — zawołał młody huzar.

— Nawiało mi śniegu do uszu.

— Święty Bernardzie!

— Święty Gotardzie!

Tu nastąpił nowy wybuch śmiechu i nowe wyzywające spojrzenia, które z wesołych stawały się coraz bardziej nieprzyjazne, albowiem nienawiść do Anglików przechodziła wówczas wśród Francuzów wszelką miarę. Oficerom wydało się, że przybysz umyślnie nie zwraca na nich żadnej uwagi, aby okazać im pogardę. Poczęli tedy przedrzeźniać Anglików i powtarzać pojedyncze angielskie wyrazy, przekręcając je najokropniej.

Nakoniec dragon ukręcił gałkę z chleba i rzucił ją na nieznajomego. Młody gołowąsy huzar poszedł natychmiast za jego przykładem, ale obie gałki chybiły.

Na młodzieńczej twarzy Marka odbiło się przykre zdziwienie.

— Co im ten człowiek zawinił i czego oni od niego chcą? — zapytał cicho Cywińskiego.

A ów ruszył ramionami.

— Chcą awantury i jeśli to nie jest jaki kapłon, to ją znajdą.

Tymczasem trzecia gałka poleciała w stronę przybysza.

— Koledzy z jazdy gorzej strzelają od nas pie-

churów — ozwał się oficer od grenadjerów. — Ot jak się powinno to robić!

I to mówiąc, wypuścił z pomiędzy palców gałkę tak zręcznie, że trafił nią w czoło nieznajomego.

— Brawo piechota! — zawołali trzej inni.

Lecz trafiony podniósł się, schował książeczkę z notatkami i począł ku nim iść. Twarz jego pozostata tak samo zimna, a oczy zamyślone. Nie śpieszył się, szedł powolnym krokiem, przyczem stało się coś dziwnego. Oto w sali powiało istotnie jakby mrozem. Jakieś nieokreślone, ciężkie wrażenie niepokoju ogarnęło nietylko Marka i Cywińskiogo, ale i wesołych przed chwilą oficerów. Rozmowa i śmiechy umilkły. W ciszy, jaka zapadła, słychać było tylko spokojne kroki nieznajomego, jak kroki przeznaczenia.

Oficerowie podnieśli się, przybysz zaś stanął przed nimi i począł mówić, nie podnosząc wcale głosu.

— Jestem kapitanem z legji polskiej, stojącej obecnie w Rimini. Nazwisko moje jest Jakób Ferdynand Bogusławski...

— Rodak! — zawołał, zrywając się z krzesła Cywiński.

Marek podniósł się także. Nadolski wspominał wprawdzie w Wenecji o tem, że Bogusławski ma wyjechać z Rimini, chłopcu jednak nie przyszło nawet do głowy, że może spotkać go tak prędko.

Lecz Bogusławski spojrzał na nich tylko przelotnie, poczem mówił dalej do oficerów, z coraz to większym naciskiem na każdem słowie:

— Poprzednio służyłem pod Masseną i biłem się pod Rivoli. Nie dałem żadnego powodu do zaczepki, ale rozumiecie panowie, że po tem, coście uczynili, rzeczy muszą pójść dalej.

Na twarzach wojskowych odbiła się wielka przykrość. Żadnemu ani do głowy nie przyszło, że mogą mieć do czynienia z kolegą oficerem, a do tego należącym do legji polskiej, dla której mieli szczerą sympatję i wysoki szacunek. Wymienili jednak kolejno swe nazwiska, poczem najstarszy wiekiem, grenadjer, rzekł:

— Kapitanie, wzięliśmy cię za Anglika. Jesteśmy w każdej chwili na twoje rozkazy, poczytujemy jednak za obowiązek oświadczyć ci w każdym razie, że zaszła pomyłka, za którą szczerze cię przepraszamy.

Rysy Bogusławskiego pozostały spokojne, lecz odpowiedział jakby z żalem:

— Jako żołnierze i ludzie honoru rozumiecie, że zniewaga była zbyt ciężką i że odpowiedzią na gałki chlebowe, mogą być tylko ołowiane.

— A zatem służymy ci obywatelu, natychmiast.

— I my również, jako świadkowie, a w razie czego i w inny sposób — zawołał, zbliżając się, Cywiński.

— Dziękuję wam, rodacy — odpowiedział po francusku Bogusławski. — Zwyczajem jest w armji, że, gdy sprawa między oficerami, świadkami bywają zawsze żołnierze...

Poczem do oficerów:

— Obywatele, jesteśmy w mieście, należącem

do Austrji. Po spotkaniu sądziłby nas sąd austrjacki, na co wraz ze mną nie zechcecie się zgodzić. Ale w Weronie forty za Adygą są jeszcze w rękach Francuzów, a ja prócz tego mam do komendanta zlecenie od mojej władzy. Jeśli wola, to udamy się do Werony, a tam komendant wyznaczy świadków mnie i wam.

— Chcieliśmy, obywatelu, to samo ci zaproponować.

To rzekłszy, podnieśli palce do kapeluszy i wyszli. Cywiński i Marek przedstawili się Bogusławskiemu, który uścisnął im dłonie, poczem przysiadł się do ich stolika i rzekł:

— Raz jeszcze przepraszam waćpanów, że nie przyjąłem ich jako sekundantów. Jesteście ludzie młodzi i zapewne porywczy. Przy układaniu warunków, które, niestety, muszą być ciężkie, łatwo mogłoby przyjść do kłótni między wami a świadkami moich przeciwników. Wówczas sprawa przybrałaby charakter zajścia między Polakami a Francuzami. Tego trzeba uniknąć. Stosunek między naszą legją a armją francuską jest jak najlepszy i powinien taki pozostać. Ja zniewagi nie daruję, jako Polak, i zapłacę za nią, albo ich krwią, albo życiem własnem, ale wystąpię tylko jako wojskowy, którego znieważyli inni wojskowi. W Weronie zażądam od komendanta fortu, by sam wyznaczył mi sekundantów, i oczywiście wyznaczy mi Francuzów. Wobec tego, co się ma stać, tak będzie lepiej.

Ostatnie słowa wypowiedział Bogusławski jakby ze smutkiem, ale drgała w nich i pewna groźba.

Marek, patrząc na jego twarz, doznał wrażenia, że jest w niej coś nieubłaganego, i zrozumiał, że zajście z takim człowiekiem musi się źle skończyć dla niego samego, lub dla jego przeciwników. Uznając też za rzecz zupełnie słuszną, że kapitan chciał mieć świadków Francuzów, był z tego prawie rad.

Cywiński zaś rzekł:

— Mieliśmy i tak jechać do Werony, więc pozwolisz waćpan, że będziemy mu towarzyszyli w drodze.

Bogusławski zgodził się, poczem, dowiedziawszy się, że dążą do legji Dąbrowskiego, okazał im natychmiast więcej zajęcia i przychylności. Gdy oświadczyli, że dopiero przed kilku dniami przybyli do Włoch, jął ich wypytywać skwapliwie o to, co się w kraju dzieje.

Markowi kilkakrotnie przychodziła chęć powiedzieć mu, iż ma dla niego polecenie i przesyłkę z kraju, kilkakrotnie imię Klarybelli zawisło mu na ustach, ale się powstrzymał, powodowany uczuciem litości i obawą, że gdy w tułacza uderzy ten nowy cios, wówczas straci zimną krew, straci panowanie nad sobą, może umyślnie narazi się na śmierć, a w każdym razie tem pewniej zginie. To też rad był, że nie zwierzył się z niczem w tej sprawie Cywińskiemu, który niezawodnie nie potrafiłby opanować wrodzonej żywości i nie powstrzymał porywczego języka.

Bogusławski wypytywał tymczasem dalej o Polskę, o stan umysłów w niej, a postępki rządów zaborczych o znajomych ludzi i o stosunki, słuchając

błahych nawet odpowiedzi tak łakomie, że gdyby Cywiński i Marek mieli więcej doświadczenia, zrozumieliby, że to jest człowiek chory na ciężką nostalgję, która toczy go jak robak drzewo, napełniając mu serce próchnem żalu i rozpaczy. Zrozumieliby także, jak taki desperat mógł być okropnie niebezpiecznym, gdy lada kropla przelała kielich goryczy. Ale oni, nie zdając sobie z tego sprawy, chcieli raczej wiedzieć, czy i ten oficer podziela wiarę innych, że pokój w Campo Formio będzie krótkotrwały i że nowa wojna otworzy legjonom drogę do Galicji. Bogusławski, też, zrozumiawszy wkońcu, że nie dopyta niczego więcej o ludziach w kraju, zwrócił rozmowę na legję i na Włochy.

— W Rzymie źle się dzieje — rzekł. — Były rozruchy, w których zabito francuskiego generała Duphot. Dwór papieski odmówił satysfakcji, której Dyrektorjat zażądał, więc Józef Buonaparte, brat naczelnego wodza i nasz ambasador, opuścił Wieczne Miasto. Wiem to na pewno, gdyż Dąbrowski dawał mu od Rimini eskortę. Legja nasza ma ruszyć za kilka dni ku Rzymowi, a potem — mówią, że grozi wojna z Neapolem.

Na to Cywiński, który miał prosty, chłopski rozum, ozwał się z nieukrywanym żalem:

— A co nam, co Polsce z tego przyjdzie? Bo słyszałem to już i w kraju, i w Wiedniu i tu, że kto bije się za wolność narodów, ten służy tem samem Polsce... Ale, na mój głupi sąd, to jest tak, jakby kto powiedział, że jeśli we Włoszech spadną

deszcze, to i u nas nie będzie suszy. Gdzie Neapol, a gdzie Warszawa?

Bogusławski przymknął oczy i milczał, więc Cywiński, sądząc, że nie ma na jego pytania odpowiedzi, mówił dalej z coraz wzrastającem rozdrażnieniem:

— Co mnie Neapol? Ja nie dla makaronu, jeno dla ojczyzny młodą żonę w Rudni porzucił.

Zdjęła go chwilowa niezmierna tęsknota, jaka zdejmowała go zawsze, gdy wspomniał Anusię.

I aż łzy zaświeciły mu w oczach.

— Miałem ci ją przy sercu wszystkiego dziesięć dni — mruknął.

Bogusławski otworzył oczy i począł patrzeć przed siebie w zamyśleniu.

— Każdy — rzekł — rzucając kraj, oddarł kawał serca, więc to, co mu zostało i co ze sobą tu przyniósł, krwawi. Każdy zostawił drogie istoty, a nikt nie wie, czy je jeszcze w życiu zobaczy. Wojna nie rodzi ludzi, tylko ich gubi, a żołnierz jest jako ów pierścień, który doża wenecki rzucał w morze. Gdzie padnie, tam piasek go pokryje...

— Śmierć na obczyźnie nie pociecha — mruknął Cywiński.

— Ja też nie chcę was pocieszać — odpowiedział kapitan — chcę jeno powiedzieć, że gdyście tu szli, toście wiedzieli, że idziecie na wojnę z nieprzyjaciółmi Francji i że możecie zginąć. Ale i w tem się waćpan mylisz, bo dla nas jest wszelako pociecha. Oto, gdy zginiecie wy obaj, gdy zginę ja, gdy zginą nas setki i tysiące, przyjdą po nas inni i pol-

ska siła się ostoi i legja nas przeżyje. Po świecie mówią: niemasz już Polski! a Polska tu jest. Nie było już wojska polskiego, a ono tu jest. I może Bóg da, że nie dziś, to jutro, bagnet nasz przewierci przez Austrję drogę do ojczyzny. Rzeczpospolita Francuska głosi pryncypja nietylko nowe, ale tak przeciwne dawniejszym, że między nią a monarchjami musi być wojna na śmierć i życie. To siła rzeczy i nieuchronna konieczność. A jenjuszowi i męstwu Francuzów żadna siła się nie oprze.., My jeno po kościołach śpiewamy: „Niech ustąpią z Testamentem nowym prawom już starzy“, a Francuzi nakazują to światu z armat. Tyrańskwo musi ustąpić wolności, a wtedy ci z nas, którzy nie zginą, wrócą do kraju i odrestaurują ojczyznę.

— Dałby to Bóg! dałby to Bóg! — zawołał z zapałem Marek.

Bogusławski zaś tak po chwili milczenia mówił dalej:

— Na każdy czas muszą być inne sposoby, a teraz jest czas wojny. Trzeba tylko wytrwać, póki nie nadejdzie nasz dzień. Nic nam do Rzymu, nic do Neapolu, ale to jednak sprzymierzeńcy Austrji. Więc pójdziem, gdzie pójdą Francuzi, ale pójdziem pod naszym sztandarem, który okryjem sławą, a sławy nigdy nie możemy kupić zbyt drogo. Bo czy wiesz waćpan, co ona rozgłosi światu? Rozgłosi: „Jeszcze Polska nie umarła!“ Świeżo Wybicki ułożył dla nas pieśń, która się od tych słów poczyna, i żołnierz śpiewa ją w obozie, śpiewa w pochodach, wśród trudów, nieraz o głodzie i krzepi nią swą polską duszę.

Marek i Cywiński słuchali ze wzruszeniem tych słów, gdyż odpowiadały one temu, co leżało na dnie ich serc, a zatem czerpali w nich otuchę i nadzieję. A czyniły tem większe wrażenie, że Bogusławski wypowiadał je widocznie nie pod wpływem chwilowego uniesienia, ale spokojnie, jak człowiek, który doszedł do tego, co mówi, przez głęboki ból i przez głębokie nad położeniem rzeczy rozmyślanie. Zrozumieli też i naukę z tych rozmyślań płynącą: że kto chce prawdziwie i całą duszą służyć, ten musi pokwitować z własnego szczęścia, zaniechać wszelkich trosk o własne dobro, a służyć w tej myśli i w tej nadziei, że gdy go zasypią piaskiem tam, gdzie padnie, to jednak coś go przeżyje.

Więc Cywiński, jakby chcąc się usprawiedliwić, rzekł:

— Gdyby ja nie był na wszystko gotów, tobym tu nie przyszedł, i Bóg da, że legja się mnie nie powstydzi, ale nie tęsknić trudno!...

— A któż waćpanu broni, i naco zdałoby się zabraniać — odpowiedział kapitan. — Tęskno wszystkim. Ot, teraz, gdy wiosna nadeszła, żołnierze kręcą z wierzby fujarki i, zamiast spać, grają nocami, jak u nas koniuchy na łąkach. Jeden gra, a drugi imaginuje sobie, że widzi tę wieś, w której się urodził, i płacze... Obaczycie to w obozie.

To rzekłszy, wstał i począł się żegnać, lecz, zanim się rozeszli, Marek, którego bliższa rozmowa z Bogusławskim chwyciła mocno za serce, rzekł:

— Kapitanie, chcielibyśmy służyć w bataljonie i w kompanji, którą waćpan dowodzisz.

A ów uśmiechnął się i ruszył lekko ramionami.

— Zapominasz, kawalerze, że ja mogę nie wrócić z Werony.

— Oni waćpana niechybnie przeproszą i Bóg da, że się ta sprawa załagodzi.

Na to ożywiona nieco poprzednio twarz Bogusławskiego stała się znów jakby kamienna.

— Nie chcę — rzekł — by ten pojedynek zrodził między dwoma wojskami niezgodę, ale waćpanom powiem prywatnie, że kto polskiego oficera znieważy, ten musi albo go zabić, albo sam krwią zniewagę przypłaci.

III.

W forcie werońskim zgromadziło się wielu oficerów wszelkiej broni. Pojedynki między wojskowymi były wówczas rzeczą aż nadto zwykłą, wszelako pojedynek jednego przeciw czterem wzbudził powszechne zaciekawienie. Wiedziano o nim od rana, albowiem Bogusławski już się był widział z pulkownikiem komendantem i, spełniwszy polecenie, jakie miał od swej władzy, opowiedział o zajściu w Padwie i prosił go o wyznaczenie sekundantów Francuzów. Komendant, któremu to pochlebiło, zgodził się chętnie na prośbę kapitana i wyznaczył mu dwóch oficerów artylerji, a dwóch innych jego przeciwnikom.

Kwiatkowski i Cywiński zjawili się w forcie tylko jako przygodni znajomi Bogusławskiego i naoczni świadkowie zajścia.

Przyjęto ich z uprzedzającą grzecznością. Widocznem było, że to rzucanie gałek chlebowych na oficera nie podobało się Francuzom i że sympatje ich przechylały się raczej na stronę pokrzywdzonego. Komendant nie czynił też tajemnicy z tego, że ów pokrzywdzony był obywatelem francuskim, że służył poprzednio w armji Masseny i że po bi-

twie pod Rivoli otrzymał szpadę honorowa od Dyrektorjatu. Życzono sobie, by spotkanie nie było zbyt krwawe i by skończyło się na jakich lekkich ranach. Jednakże skupiona a zimna twarz polskiego legjonisty i jego spokój napełniały serca pewną obawą; znać bowiem było, że to jest człowiek, który awantur nie szuka, ale który, zaczepiony i zelżony, nie poprzestanie na byle jakiem zadośćuczynieniu. Cywiński i Marek odczuwali również, że jest w nim jakby coś żelaznego i jakaś taka siła, która, raz poruszona, działa nieubłaganie. Jednakże na czole jego nie było żadnej zmarszczki gniewu i nietylko na oficerów, zgromadzonych w forcie, ale nawet i na przeciwników spoglądał prawie obojętnie.

Marek myślał, że czyni go takim ciężka tęsknota i że, mając dość tułaczki, dość życia, może w duszy życzy sobie zginąć. Ogromny niepokój ogarnął obu chłopaków i zapierał im prawie dech w piersiach, tem bardziej, że obecnie stał przed nimi, nie człowiek ciwilny, ale oficer polski w mundurze, taki, jakich Marek widywał w dzieciństwie i pod jakimi służył w czasie insurekcji w dziewięćdziesiątym czwartym roku Cywiński.

W bastjonie, w obrębie pierwszego dziedzińca oficerowie utworzyli dwie grupy, w środku których przechadzał się z Bogusławskim pułkownik-komendant, stary żołnierz o poczciwej twarzy, o długich, jak u bociana, nogach, ale zbyt krótkim kadłubie i ramionach tak wysokich, jak u ludzi garbatych. W rozmowie z kapitanem pochylał się ku niemu,

co chwila zaś zatrzymywał się i biorąc go za guzik, odzywał się głosem klarnetowym, w którym jedne wyrazy brzmiały zbyt głośno, drugie zbyt cicho. Widocznie czynił mu jakieś przedstawienia, na które ów potrząsał tylko głową.

W grupie bliżej bramy stali czterej oficerowie, którzy się mieli strzelać. Twarze ich nie zdradzały bynajmniej obawy; spojrzenia skierowane na przeciwnika były zuchwałe, lecz towarzysze, bliżej stojący, mogli odczytać w nich pewne zniecierpliwienie i jakby zawstydzenie, że postąpili względem człowieka, który im w niczem nie zawinił i który był ich kolegą wojskowym, nietylko jak paliwody, ale i jak grubjanie. Widocznem to było szczególniej na pobladłej nieco twarzy młodego oficerka od huzarów, który marszczył brwi, chcąc pokryć w ten sposób przykrość i pomieszanie.

Dzień, jak często zdarza się we Włoszech, był niezmiernie wietrzny i zginał kity na kapeluszach. Cywiński, jako doświadczony myśliwy, wiedział, że przy takiej pogodzie trudno jest trafić nawet ze strzelby, która przecie opiera się silnie o ramię, a cóż dopiero z pistoletu, gdy uderzenia wichru szarpią za rękę i lufę. Przypuszczał więc, że strzały będą chybione. Komendant i inni oficerowie podnosili takoż oczy ku obłokom, przelatującym po niebie, jak spłoszone tabuny koni. Tymczasem z drugiego, przyległego dziedzińca wyszli sekundanci, którzy odmierzali tam plac i metę. Na ich widok pułkownik pochylił się nad Bogusławskim i począł mu znów coś mówić swym klarnetowym głosem.

Lecz Cywiński i Marek spostrzegli, jak ów potrząsnął po raz ostatni głową na znak przeczenia i, uścisnąwszy podaną mu rękę, skłonił się świadkom.

Ci zaś rozdzielili się na dwie pary, z których jedna zatrzymała się przy Bogusławskim. Wówczas siwy oficer piechoty, z plastrem na lewem oku, rzekł:

— Obywatele, prosimy z sobą.

Potem ruszyli ku bramie, która wiodła na ów mniejszy, przyległy dziedziniec.

Bramę zamknięto za nimi natychmiast. Rozmowy w grupach oficerskich umilkły. Marek pobladł tak bardzo, że pułkownik, który miał może syna w jego wieku, zbliżył się ku niemu, położył mu rękę na ramieniu i zapytał z dobrocią:

— Czy to twój bliski krewny?

— Tylko rodak — odpowiedział Kwiatkowski. — Poznaliśmy się dopiero w Padwie i byliśmy, ja i mój towarzysz, świadkami zajścia, do którego kapitan nie dał najmniejszego powodu.

— Wiem. Przyznali to i jego przeciwnicy. Licho to wszystko nadało... ale teraz niema rady!

To rzekłszy, zwrócił wzrok ku bramie. Oczy wszystkich były również w nią utkwione, jedne z niepokojem, drugie z niecierpliwością. Nastała chwila oczekiwania, która obu młodym ludziom wydała się długą jak wieczność. Pułkownik wydobył zegarek i począł głośno rachować. Kilku oficerów poszło za jego przykładem.

Lecz nie doliczyli jeszcze do dziesięciu, gdy gruchnął strzał, odbijając się przeciągłem echem

w kamiennych załamaniach fortu. Potem, nim zgromadzeni zdołali spojrzeć po sobie, rozległ się drugi.

Marek drżał teraz, jakby go chwyciła febra. Do głowy cisnęło mu się pytanie za pytaniem. Kto strzelał pierwszy? Kto drugi? Czy nastąpią dalsze strzały? I myślał, że jeśli nastąpią, to będzie okropne, jeśli zaś nie, to brama otworzy się na chwilę i wyniosą Bogusławskiego. Tak więc, można być zelżonym, a następnie zabitym? Na tę myśl serce chłopca zawrzało oburzeniem, goryczą i gniewem. Opanowała go nagła i paląca chęć wyzwać na wypadek śmierci kapitana tych samych oficerów i pomścić rodaka, lub zginąć. Oczekiwanie, dłuższe jeszcze niż poprzednio, stało mu się poprostu męką. W tej chwili jednak Cywiński zwrócił się ku niemu i począł mówić zcicha:

— Gdyby był zginął, jużby otwarto bramę i tamci zarazby wyszli. To kapitan strzelił drugi i strzelił celnie. Nabijają znów pistolety. To będzie zaraz...

Jakoż nie skończył jeszcze mówić, gdy runął trzeci strzał, a po nim czwarty.

— Dwóch! — zawołał Cywiński.

Nastała po raz wtóry chwila niepewności. W dziedzińcu, wśród zgromadzonych oficerów podniósł się szmer głosów, ale zgłuszył go wiatr, który zerwał się z nową siłą, zawył w blankach, porozpraszał żołnierską bieliznę, suszącą się na sznurach pod murami, i podniósł tuman białego kurzu ze szpar w kamiennych płytach. Brama, wiodąca do mniejszego obrębu, w którym odbywał się pojedynek, pozostała zamknięta. Ogromny i nieznośny niepokój

zaciężył kamieniem na wszystkich piersiach. Oficerowie nie mogli ustać na miejscu i wśród poświstów wiatru słychać było brzęk ostróg kawaleryjskich.

Zagrzmiał piąty wystrzał, a za nim szósty.

Zrozumiano teraz, że ofiarą spotkania padają oficerowie francuscy. Twarz pułkownika spoważniała. Inne skurczyły się i zmierzchły również, tem bardziej, że przelatujący obłok przesłonił na chwilę słońce i pokrył mrokiem cały dziedziniec.

Rozległ się siódmy strzał.

Wszystkie głowy zwróciły się ku bramie. Pułkownik podniósł znów szybko zegarek do oczu. Poprzednio, po każdym pierwszym strzale drugi następował bardzo szybko, tym zaś razem sekunda płynęła za sekundą w głuchej ciszy i wśród niecierpliwości ludzkiej tak napiętej, że prawie graniczącej z bólem.

Lecz po upływie niespełna minuty huk wystrzału targnął znów powietrzem i potoczył się złowrogiem echem wzdłuż murów.

Ósmy — zawołał jeden z oficerów.

A drugi odpowiedział jednocześnie:

— To nie pojedynek, to egzekucja.

Pułkownik popatrzył przez chwilę na mówiącego, zmarszczył brwi i rzekł:

— Proszę się liczyć ze słowami.

Potem skierował się ku mniejszemu dziedzińcowi, ale wtem otworzyła się wiodąca do niego furta i ukazał się Bogusławski, a za nim dwaj jego sekundanci, bladzi jak płótno. Kapitan szedł wolno,

bardzo posępny, ale z kamiennym spokojem na twarzy. Zapadła cisza tak grobowa, że słychać było każdy jego krok na granitowych płytach. Zbliżywszy się do oficerów, na których czele stał pułkownik, podniósł palce do czoła i salutował.

Odsalutowali mu wszyscy, on zaś, wśród tej samej ciszy, uścisnął dłonie swym świadkom, a następnie skierował się ku wyjściu[1]).

Cywiński i Marek udali się za nim. Warta przy głównej bramie sprezentowała broń i po chwili znaleźli się nazewnątrz fortu.

Tymczasem starszy z sekundantów stanął przed pułkownikiem i meldował:

— Dwóch zabitych, trzeci śmiertelnie ranny, ostatni obie nogi przestrzelone.

— Kto zabity, kto ranny?

Sekundant począł cytować nazwiska.

— Jak się wszystko odbyło?

— Kapitan, po zabiciu pierwszego przeciwnika, oświadczył, że poprzestanie na przeproszeniu przez trzech pozostałych, ale oni nie chcieli się na to zgodzić.

— Rozumie się. Co dalej?

— Dalej, wytrzymał każdy pierwszy strzał i czterokrotnie strzelał drugi.

Tak. Inaczej nie byłoby ośmiu strzałów.

— Straszny człowiek — ozwał się stary major od saperów.

---

[1]) Pojedynek ten odbył się istotnie w Weronie, zgodnie z powyższym opisem.

Wszyscy udali się teraz na plac spotkania, gdzie okrutny widok uderzył ich oczy. Oficer od grenadjerów, ten, który Bogusławskiego trafił gałką chlebową, leżał nawznak, z rozkrzyżowanemi rękoma, z raną na czole powyżej prawego oka. Drugi, huzar, trafiony w szyję, pławił się cały we krwi. Ten również zginął na miejscu. Trzeci, dragon, z przestrzeloną wątrobą, żył jeszcze, ale konał w ramionach pułkowego lekarza, tocząc ustami żółtą pianę, oraz zamykając i otwierając naprzemiau dłonie, przybrane w białe, pokrwawione rękawiczki. Ostatniego pomocnicy lekarza ułożyli właśnie na noszach. Zdołano go już rozebrać i felczer obmywał gąbką jego obnażone nogi. Był to drugi huzar, najmłodszy wśród czterech. Pułkownik popatrzył z ogromną litością na jego młodzieńczą, nadzwyczaj urodziwą twarz, pokrytą kroplami potu, i zapytał:

— Czy tego da się uratować?

— Może — odpowiedział drugi lekarz — ale służba jego skończona.

— Nieszczęsne dziecko!

Jakoż było coś okropnego w widoku tych ludzi pełnych przed godziną sił i życia, leżących teraz jak pościnane pnie, a okropniejsze jeszcze było to, że legli nie na polu bitwy, nie w obronie ojczyzny, ale wskutek niczem nieusprawiedliwionej zaczepki i karczemnej burdy. Oficerów i pułkownika, gdy patrzyli teraz na te kałuże krwi, brała zarazem litość i gniew. Ach, nieszczęśnicy! co im przyszło do głowy i dlaczego rzucali chlebowemi gałkami w tego piekielnego człowieka, który ich pobił, jak piorun,

a potem poszedł sobie, taki spokojny i zimny, jakgdyby nic nie zaszło. Jednak ten człowiek wytrzymał z niezmrużonem okiem cztery pierwsze strzały i czterokrotnie nadstawił piersi, a przytem chcia poprzestać na jednej ofierze. Nic nie można mu było zarzucić — zupełnie nic! Pułkownik i oficerowie czuli przytem doskonale, że chodziło tu o honor wojskowy, i że gdyby którego z nich tak znieważono, to nietylko zażądałby zadośćuczynienia, ale tak samo, jak ten polski kapitan, nie poprzestałby na innem, jak krwawe. Nikt tedy nie miał prawa wybiec za legjonistą, zawrócić go i powiedzieć mu: „Nadstaw piersi jeszcze i na mój strzał!...“ Ci ludzie lwiej odwagi i z żołnierskiem poczuciem honoru, rozumieli, że ścigać go, lub mścić się nad nim, byłoby rzeczą niegodną oficerów francuskich.

Lecz, że czterech towarzyszów leżało przed nimi w kałużach krwi, przeto nie mogli się obronić poczuciu, że stało się coś niemiłosiernego.

IV.

Bogusławski, Cywiński i Marek przeszli most San Pietra i znaleźli się na prawym brzegu Adygi. Przez całą drogę panowało między nimi milczenie, albowiem zaszło w nich coś takiego, czego nie umieli przewidzieć. W naturze polskiej tkwi nieprzeparte współczucie dla zwyciężonych, więc oto serca tych dwóch młodych chłopców, które przed chwilą jeszcze kipiały oburzeniem na krzywdę, wyrządzoną rodakowi, i drżały o jego życie, teraz odwróciły się od niego. Obaj nie wiedzieli wprawdzie, że kapitan, zabiwszy grenadjera, chciał na tem poprzestać, ale, narówni z oficerami francuskimi, wiedzieli, że pozwolił każdemu z przeciwników, by strzelał pierwszy. Rozumieli też i to, że jako oficer legji polskiej, nie mógł puścić płazem obelgi, a jednak opanowała ich odraza do tego krwawego, milczącego człowieka, który, idąc obok nich, patrzył przed siebie zamyślonym wzrokiem, jakby już zapomniał, co się stało. Żaden z nich nie zadał sobie pytania, jakby był postąpił na jego miejscu, ale każdemu wydawało się, że idzie z nimi kat. Marek był tak zbolały, jakby padło nań osobiste nieszczęście, wszelako i Cywiński, lubo z natury zawadjaka, myślał ze

wstrętem o tej krwi wytoczonej w kasztelu San Pietra.

Bogusławski odgadł, co się w nich dzieje, ale ani jednem słowem nie spróbował rozproszyć ich uczuć. Może zrozumiał, że one nie mogą być inne, a może i sam odczuwał pewną zgrozę. Milczenie poczęło im jednak ciężyć, a położenie stało się tak przykre, że najlepiej było się rozłączyć. To też, gdy znaleźli się w mieście, kapitan zatrzymał się i rzekł:

— Tu się rozstaniem, a obaczym się zapewne dopiero w Rimini, więc żegnam waćpanów i dziękuję im za kompasję.

— Chodziło o rodaka — odpowiedział sucho Cywiński.

Pożegnali się zimno i mieli się rozstać. Marek jednakże zawahał się przez chwilę i zatrzymał odchodzącego.

— Kapitanie, proszę na słowo.

Bogusławski spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Słucham — rzekł.

— Mam dla pana kapitana zlecenie z kraju, dane mi na wypadek, gdybym go spotkał. Szczególny traf zrządził, że się to stało wcześniej, niżlim się spodziewał, chociaż kapitan Drzewiecki wspominał, że możemy waćpana spotkać. O zleceniu nie chciałem mówić przed pojedynkiem, by waćpanu nie mącić myśli.

Cywiński, który o niczem nie wiedział, patrzył szeroko otwartemi oczyma na Marka. Bogusławski zaś rzekł:

— Proszę do mnie.

I po chwili znaleźli się w małem „albergo“, w którem zatrzymali się po przyjeździe do Werony. Tam Bogusławski zaprowadził Marka do swej stancji i, wskazawszy mu krzesło, sam siadł naprzeciw i czekał.

— Polecenie jest od panny Klarybelli Wyrożębskiej — rzekł Marek.

Na to kapitan wstał. Widocznem było, że całą siłą woli chce opanować wzruszenie, ale nie mógł zapobiec temu, by twarz jego nie stała się tak trupio blada i martwa, jak blade i martwe były twarze tych oficerów, których dopiero co postrzelał. Przyszło nań przelotne, ale najzupełniej wyraźne widzenie, że nowina będzie zła, nieszczęsna, — i oto ten sam człowiek, który niedawno szedł z największą obojętnością na śmiertelną walkę, chwycił teraz dlonią za poręcz krzesła, aby się nie zachwiać na nogach, i zapytał dziwnie zmienionym, głuchym głosem:

— Masz waćpan list?

— Nie. Mam tylko tę obrączkę, którą panna Wyrożębska kazała panu oddać i powiedzieć mu, abyś ją rzucił w morze.

To rzekłszy, podał kapitanowi obrączkę, a ów wziął ją i przez chwilę stał jakby ogłuszony.

Marek aż do tej chwili myślał, że w poleceniu panny Klarybelli jest tylko rezygnacja i głęboki smutek, teraz zaś dopiero zmiarkował, że może się ono wydać bezlitośne. Wrzucić obrączkę w morze — i nic więcej! Żadnego słowa pociechy, żadnego usprawiedliwienia, żadnego współczucia. Utopić razem z obrączką nadzieję, utopić marzenia, utopić

wiarę, jednym zamachem odłamać przeszłość od teraźniejszości, zostać z pustką w duszy i wytrącić sobie z pod nóg podstawę życia, a wszystko na jeden rozkaz, przesłany przez obcego człowieka, — oto co zawierało owo lakoniczne polecenie.

Markowi przypomniało się teraz, co o pannie Klarybelli mówił Kajetan, — i młoda, wrażliwa szczególniej na zawody sercowe jego dusza byłaby niezawodnie rozczuliła się nad losem legjonisty, gdyby nie to, że w oczach kapitana błysnęło coś złowrogiego, a w stężałej jego twarzy odbiła się zimna, biała wściekłość. Niedświadczony chłopak nie zmiarkował w pierwszej chwili, że jeśli on sam odczuwa bezlitośność polecenia, to tem bardziej mógł wzburzyć się Bogusławski.

W przelotnej błyskawicy jego oczu zobaczył dla siebie groźbę, że zaś wiedział, z jak niebezpiecznym człowiekiem ma do czynienia, więc, zamiast skłonić się i odejść, wyprostował się i czekał.

Nastało długie milczenie.

— Czy panna Wyrożębska wychodzi zamąż? — zapytał wreszcie z wysileniem Bogusławski.

Ani w słowach, ani w tonie pytania nie było nawet cienia groźby, jednakże Marek odpowiedział hardo:

— Tak jest. Za mego stryja, szambelana Augusta Kwiatkowskiego.

— Kiedy... ślub?

— Może już był. Stryj jeździł do dyspensę do Warszawy.

Bogusławski usiadł i schylił głowę. Na czole

i nad górną wargą wystąpiły mu gęste krople potu, a że siedział bez ruchu, twarz miał ciągle jednako bladą i oczy zamknięte, więc Markowi wydało się, że zemdlał. Na ten widok, obejrzał się po stancji za wodą, lecz, nie dostrzegłszy jej, poskoczył żywo do kapitana i, potrząsając go za ramiona, jął wołać:

— Kapitanie! kapitanie!

A ów podniósł głowę i odpowiedział cicho:

— Mnie nic nie jest... Dziękuję...

I nagle Marek zobaczył w jego oczach coś takiego, czego nigdy nie widział w ludzkich twarzach: taki ból, takie męczeństwo, taką rozpacz, zwalczaną nadludzkiem wytężeniem woli, że piersi zalała mu litość niezmierna. Zrozumiał, że ta obrączka z napisem „spes mea“ była jedynem ogniwem, które łączyło żołnierza-tułacza z życiem, z przeszłością z krajem — i jedynem źródłem nadziei. A teraz ogniwo zostało zdruzgotane, źródło wyschło, a słowa „spes mea“ brzmiały jak zgrzyt szyderczy. Zrozumiał również, że gdyby doniósł Bogusławskiemu o śmierci Klarybelli, to cios byłby mniejszy, albowiem po śmierci drogiej istoty tem bardziej się ją kocha, a po zdradzie tem boleśniej się nią gardzi. I jeszcze jedno, niezupełnie jasne, ale mocne poczucie zrodziło się w duszy chłopca, iż ten cios był dla tułacza i dlatego tak okropny, że przyszedł z Polski, za którą tęsknota toczyła tę twardą naturę, jak robak drzewo. Patrząc teraz na Bogusławskiego, mimowoli zadał sobie pytanie: „Czemże są moje zawody w porównaniu z tą milczącą męką?“ — i nie myślał już, że kapitan chce mu grozić,

a natomiast ogarnął go żal taki, jakiego nigdy w życiu nie zaznał. Do oczu napłynęły mu łzy. Był młody, nieobyty w świecie, skłonny do wszelkich uniesień, nie bał się śmieszności, nie liczył się z niczem, więc pod wpływem tego żalu, nie zastanawiając się ani przez chwilę, jak będzie przyjęty taki objaw współczucia, rzucił się na szyję Bogusławskiemu i, objąwszy go ramionami, począł powtarzać:

— Ja rozumiem! rozumiem! rozumiem!

A ów stropił się i cofnął. Był zbyt zamkniętym w sobie, by dzielić się z kimkolwiek bólem, i zbyt dumnym, by przyjąć od kogokolwiek jałmużnę litości. Człowieka w równym sobie wieku byłby niewątpliwie odsunął. Lecz widząc przed sobą poczciwe dziecko, które część jego niedoli chciało zagarnąć we własne serce — wzruszył się, przycisnął zkolei Marka do piersi i trzymał go przy nich długo.

Poczem rzekł:

— Trzeba wytrzymać.

V.

Dwaj młodzi przyjaciele jechali z Werony, przez Mantuę, stamtąd zaś przez Modenę, albowiem kapitan Bogusławski odradził im podróż przez mokradła i febryczne mierzeje Ferrary. Kwaterujące w różnych miejscowościach bataljony polskie były już pościągane na południe, a miejsca ich zajęły tu i owdzie włoskie wojska cyzalpińskie. Zdarzyło się zatem, że pierwszy oddział legjonistów spotkali dopiero za Bolonją, wpobliżu Imoli. Było to po zachodzie słońca, przy zachmurzonem niebie i w czasie dżdżu. Dyliżans wlókł się pod górę, noga za nogą, skrzypiąc i pobrzękując łańcuchem, którym przyprzężono konia, dodanego w C. S. Pietro di Emilia. Podróżni spali. Nagle rozbudzili się wszyscy, gdyż powóz stanął. Mocny głos przy drzwiczkach zapytał w języku włoskim, kto jedzie, i zażądał paszportów. Marek i Cywiński ujrzeli kilkadziesiąt postaci żołnierskich z karabinami, których lufy i bagnety tworzyły jakby ciemniejsze kresy na tle gęstego już mroku. Lecz, mimo ciemności, kwadratowe czapki żołnierskie zarysowały się wyraźnie, a gdy następnie jeden z żołnierzy zbliżył się z latarnią, której

blask oświecił mundur oficera, Cywiński zakrzyknął:

— Nasi!

— A kto mówi? — zapytał oficer.

— Cywiński i Kwiatkowski.

— Skąd?

— Z kraju, ochotnicy do legjonów.

— Witam waćpanów. Jestem Parys, kapitan z pierwszego bataljonu grenadjerów pod Białowiejskim.

Nastąpiły uściśnienia rąk, zwykłe pytania, co słychać w kraju, i dalsze objaśnienia. Cywiński znał oficera tegoż nazwiska z czasów wojny kościuszkowskiej, lecz pokazało się, że kapitan pochodził z Parysów galicyjskich, a o innych nie słyszał. I Cywiński i Marek mieli dość jazdy w dyliżansie, prosili więc, by im wolno było pójść z żołnierzami piechotą. Drobny deszcz nie wydał im się żadną przeszkodą. Parys rad gawędził i, ku wielkiej radości młodzieńców, powiedział im, że cały sztab legji, a mianowicie jenerałowie: Dąbrowski, Kniaziewicz i Wielhorski znajdują się chwilowo w Imoli, a z nimi bataljon artylerji i dwa bataljony piechoty.

— Myśleliśmy, że złapiemy nasze wojska dopiero gdzieś pod Rzymem — mówił Cywiński — albowiem mówiono nam, że legja dostała rozkaz marszu na Rzym.

— Tak — odrzekł kapitan. — Idziemy tam zastąpić załogę francuską, a mianowicie te półbrygady, które buntowały się przeciw jenerałowi Massenie,

a które jenerał Gouvion Saint-Cyr wysłał do Civita Vecchia i do Tulonu.

— To w Rzymie dowodzi Saint-Cyr?

— Nie. Przysłano go tylko do pokarania zbuntowanych. Przyjechał i pojechał. Potem był Brune, a teraz ma być Championnet.

— A w Rzymie będzie nasz Dąbrowski?

— Dąbrowski. Wojna z Napoleonem wisi na włosku.

— Słyszeliśmy. Ale dlaczego zatrzymaliście się w Imoli?

— Sztab nie tłumaczy nietylko żołnierzom, ale i oficerom jak, co i dlaczego? Taki widać był rozkaz i basta!

— A wedle waćpanowego sądu?

— Były tu rozruchy i jeszcze są, a do tego podwójne, bo republikanie miejscowi brali się do księży, a chłopstwo w obronie księży do republikanów. W Imoli mieszka kardynał, który rad jest, że go nasz żołnierz osłania, gdyż naród tu dziki i obrońcy często nie lepsi od nieprzyjaciół.

— To waćpan wraca z jakowejś wyprawy?

— Wysłali moją kompanję za San Pietro di Emilia, bo były wieści, że po wsiach między rzekami Idici i Savenną zbierają się kupy chłopskie. Jakoż i były, ale to się przed nami pochowało. Rozbroiliśmy kilkanaście wsi i wracamy. A spać się djablo chce i jeść też.

— Daleko jeszcze do Imoli?

— Za jaką godzinę będziemy. Pójdę zaraz z raportem do mego szefa i przedstawię mu waćpanów.

— Chwała Bogu. Skończy się nasza podróż.

Rozmawiał, pytał i odpowiadał tylko Cywiński. Marek milczał, albowiem z radości nie mógł przemówić ani słowa. Spełniło się nakoniec wszystko, czego pożądał i o czem marzył. Poczynał się dla niego zawód żołnierza. Oto szedł wśród szeregu polskich piechurów, których miał zostać towarzyszem i bratem. W ciemnościach widział niewyraźnie ich kwadratowe czapki; majaczyły mu się ich twarze i oparte pochyło na ramionach karabiny. Przydrożne skały odbijały stłumionem echem krok oddziału mocny, ciężki i grzmiący, a tak równy, jak miarowe uderzenia jakiejś machiny. Raz, dwa! raz dwa! Jakaż w tem siła, skupiona, żelazna, zwycięska. Chłopiec poczuł się cząstką tej siły. Szła jedna kompanja — niewiele więcej nad sto chłopa, a jemu wydało się, że to idą nieprzeliczone zastępy.

Pomyśleć, że ktokolwiek im się oprze, że oni nie złamią i nie zgniotą każdego nieprzyjaciela, który stawi czoło — to przecie niedorzeczność! Imię ich jest zwycięstwo. Marek, stosując swój krok do marszu żołnierzy, stąpał tak mocno, jakby chciał ubijać drogę, i szedł z namarszczoną brwią, z twarzą dumną, godną zwycięzcy i skutkiem tego niewypowiedzianie śmieszną, która dlatego tylko nie budziła wesołości żołnierskiej, że było ciemno.

Lecz tymczasem deszcz ustał i ze szczeliny wśród chmur wyjrzał księżyc, prawdziwie włoski księżyc, przy którego świetle można tak prawie łatwo czytać, jak we dnie. Więc pojaśniały przydrożne, obrośnięte przypołudnikiem mury i ściany domów, oma-

ściły się srebrem grupy cyprysów, a w szeregach rozbłysły lufy karabinów i ostre kanty bagnetów. Z mroku wychyliły się nagle twarze żołnierzy, niby groźne jak sto djabłów, wąsate, twarde, a takie zarazem swoje, takie znajome, tak bliskie, że obok dumy, pierś chłopca napełniła się niezmierną miłością. Z nimi żyć, z nimi chadzać ramię przy ramieniu dniem i nocą, z nimi cierpieć, z nimi umierać! Markowi nigdy nie było tak dobrze w życiu, jak w tej chwili. Uczuł taką ulgę, jaką uczuwa człowiek, który po długiej podróży i długich niepokojach odnajduje dom i spokój. Przyszła nań wreszcie potrzeba wyładowania tej dumy, radości i kochania. Chciało mu się, oto, rzucić na szyję tego polskiego kaprala, który maszerował obok niego, i rozpłakać się na jego piersiach, a potem pytać i pytać wszystkich o ich życie, o ich dolę, o ich troski i trudy, o ich żołnierską biedę, ale ponieważ nie wiedział, czy wolno mówić w szeregach, a czuł się już żołnierzem do szpiku kości, przeto hamował serce, hamował łzy, hamował język i maszerował wciąż grenadjerskim krokiem:

— Raz, dwa! raz dwa!

Przed samą Imolą trafili na szyldwachów. Żołnierz, stojący jak słup na środku drogi, pochylił do ataku karabin i zawołał silnym głosem, który wśród ciszy nocnej rozgrzmiał jak sroga groźba:

— Kto idzie?

— Wiara.

— Hasło?

— Racławice.

Marka i te głosy napełniły radością.

— O to, to wojsko! — pomyślał.

Minęli i drugą linję widet, poczem weszli do Imoli. Niebo wypogodziło się zupełnie. Wśród stojących bezładnie domów widać było wieże kościelne, a dalej ogromny gmach, którego kamienne ściany wydawały się przy blasku księżyca zielone. Szeregi złamały się. Parys wzkazał ręką na ów gmach, w którym świeciło się w wielu jeszcze oknach.

— To pałac kardynalski — rzekł. — W nim kwateruje sztab i szefowie bataljonów. Idę z raportem do mego szefa, a waćpanowie pójdźcie ze mną.

I po chwili znaleźli się w sporej stancji, ale prawie pustej, gdyż, prócz łóżka, stołu i paru krzeseł, nie było w niej żadnych innych mebli. Szef Białowiejski siedział za stołem i przy dwóch świecach przeglądał księgę, podobną do gospodarskiego rejestru. Na widok kapitana, który, przyłożywszy palce do daszka, stał wyciągnięty jak struna, nie przerwał wcale tej czynności, tylko, rzuciwszy krótkie „zaraz“, pochylił głowę i kończył coś cicho rachować, marszcząc przytem brwi i przymykając oczy.

Był to młody jeszcze człowiek, niezwykle szeroki w ramionach, przystojny, o którym można było rzec, że nazwisko swe, a przynajmniej pierwszą jego połowę nosi całkiem odpowiednio, albowiem rzęsy i włosy przy skroniach miał prawie zupełnie białe i takiż porost na rękach. Surowa twarz jego

wyrażała wielkie skupienie. Chwilami szeptał do siebie, dotykając piórem palców lewej ręki. Trwało to kilka minut. Poczem podpisał kolumnę cyfr — podniósł głowę i, zwróciwszy się do kapitana, który stał wciąż wyprostowany, rzekł suchym, rozkazującym głosem:

— Raport!

Parys, z palcami przy daszku, począł mówić. Wymienił zkolei nazwy kilkunastu wsi i zdał dokładnie sprawę z tego, co w każdej czynił. Z raportu okazywało się, że rozruchy ustały, okolica jest spokojna i że, wobec rozbrojenia chłopstwa, nie należy przewidywać nowych niepokojów.

Białowiejski zadał jeszcze kilka pytań co do zabranej broni i furażu, pytał zaś ciągle tym samym krótkim i ostrym głosem, jakby chciał zbadać, czy kapitan spełnił dokładnie polecenia i nie dopuścił się jakiego przekroczenia. Uderzyło to niemile Marka, a już całkiem zrobiło mu się nieprzyjemnie, gdy szef wskazał na nich niedbale piórem i zapytał:

— Co to za jedni? Aresztanci?

— Nie — odpowiedział Parys. — To rodacy, ochotnicy.

— A? — rzekł Białowiejski — witam!

Poczem położył pióro.

— Skończone — rzekł.

I, zbliżywszy się z wesołą twarzą do kapitana, który w tej chwili przestał salutować, zapytał całkiem innym tonem:

— Zmachałeś się Józefie, co?

— Dosyć. I głodny jestem, jak wilk — odpowiedział poufale Parys.

— Umizgnij się do kucharza kardynała. Znajdzie on zawsze jaki pełny rondel.

— A ty już po kolacji?

— Tak. Przedstaw mi rodaków i zmykaj.

Marek, nie mając pojęcia o dyscyplinie wojskowej, nie mógł przez chwilę ochłonąć ze zdziwienia, że ci sami ludzie, którzy przed chwilą zachowywali się jak podwładny i zwierzchnik, rozmawiają teraz jak koledzy i przyjaciele. Ale tymczasem kapitan Parys, wymieniwszy ich nazwiska, pożegnał się i poszedł do siebie na wieczerzę i wypoczynek. Białowiejski zabrał Marka i Stanisława do kwatery głównodowodzącego. Godzina nie była jeszcze późna i jenerałowie wrócili dopiero co od kardynała, który rad gawędził z nimi wieczorami. Podczas gdy szef powtarzał wodzom raport kapitana Parysa, Marek mógł się im dobrze przypatrzyć, ale tak był wzruszony i zmieszany ich widokiem, że ćmiło mu się w oczach. Miał poczucie, że dotychczasowe jego życie było jeno marną nicością, niewartą jednej myśli, ani żadnego wspomnienia — i że teraz dopiero zaczyna się nowa ogromna epoka, w której na początek otwierają się przed nim podwoje historji i zarazem epopei. Poniekąd było to prawdą, albowiem chłopiec stanął istotnie po raz pierwszy w życiu przed postaciami, należącemi do historji. Ogarniało go coraz większe wzruszenie. Buonaparte był dla niego dotychczas tylko echem i przedstawiał mu się,

nie jako rzeczywista istota, ale jak jakiś olbrzymi duch, rozpościerający skrzydła nad ludzkiemi dziejami. Lecz po Buonapartem, ci wodzowie byli wedle jego pojęcia największymi ludźmi na świecie, których każdy ruch powinien być uroczysty i wspaniały, a każde słowo wiekopomne. Nie chciało mu się w głowie pomieścić, że te nadzwyczajne istoty mogą chodzić, rozmawiać, jeść i spać jak zwykli ludzie. To też z pewnem zdziwieniem, którego nie umiał sobie jasno uświadomić, spostrzegł, że Dąbrowski ma rozpięty mundur i kamizelkę, a Kniaziewicz pyka z krótkiego cybuszka i, podnosząc głowę do góry, puszcza z pod wąsów od czasu do czasu kółka z dymu. Mimo wzruszenia, poznał jednakże ich obu: Dąbrowskiego po rozrosłej postaci, dużej, mięsistej twarzy i grubym nosie, Kniaziewicza po wzroście tak wielkim, że mógł uchodzić za olbrzyma. Widywał zresztą poprzednio przedstawiające ich ryciny. Trzeciego jenerała nie znał, lecz wiedział, od Białowiejskiego, że to jest Wielhorski. Obok nich zobaczył też i Drzewieckiego, który już był wrócił z Wenecji — i widok jego dodał mu pewnej otuchy, zapewne jako dowód, że zwykły oficer może żyć i nie czuć się zmiażdżonym między temi wielkościami.

Prócz trzech jenerałów i Drzewieckiego był jeszcze obecny w sali piąty wojskowy, przybrany w polski mundur adjutanta, ale z twarzą tak niepolską, że obaj młodzieńcy wzięli go za Włocha lub Francuza.

Drzewiecki przywitał Cywińskiego i Marka bar-

dzo przyjaźnie, a gdy Białowiejski skończył swą relację, zwrócił się do jenerałów i rzekł:

— To są moi znajomi z Wenecji, pan Cywiński i szambelanic Kwiatkowski, którzy chcą wstąpić w nasze szeregi jako prości żołnierze.

Marek tak był onieśmielony, iż nie zdobył się na sprostowanie, że nie jest szambelanicem, a nie zdobył się jeszcze i dlatego, że Dąbrowski kiwnął w tej samej chwili nowoprzybyłym swą ogromną głową i rzekł:

— To jest dobrze i chwalę to młodzieńcom. Z oficerami nie mam co robić.

Drzewiecki pośpieszył objaśnić, co znaczyły te słowa. Oto z trzech zaborów, po upadku insurekcji, przedarło się do Włoch już tylu dawnych oficerów kościuszkowskich, że nie było ich gdzie umieścić. Wielu służyło w stopniu podoficerów, a nawet kapralów — lecz dla innych zbrakło i takich stopni. Niektórzy przedarli się przez Niemcy, a nawet, pod groźbą haniebnej śmierci, przez Austrję, piechotą i o ostatnim groszu, a że rząd cyzalpiński nie wypłacał dla nadliczbowych żołdu, przeto wielu znosiło ciężką biedę, w której ratowali ich koledzy, ustępując im pół lenungu i pół racji. Było jednak tego za mało. Wogóle i w wojskach francuskich i w polskich panowała bieda, albowiem francuskie okradali przysyłani przez Dyrektorjat komisarze, a polskim rząd cyzalpiński, sam ubogi, jak mysz kościelna, wypłacał żołd zawsze z opóźnieniem, a nigdy całkowicie. Dąbrowski, osobiście i przez Konopkę, który zawiadował polskiem „dépot“ w Me-

djolanie, wykołatał z wielkim trudem nowe umundurowanie dla legji, ale brakło torb, zaprzęgów dla artylerji, obuwia i wielu niezbędnych rzeczy, a przedewszystkiem pieniędzy w kasach pułkowych. Z tego względu dostatni, a nawet wykwintny ubiór dwóch nowych ochotników, który zwiastował, że choćby zczasem zostali oficerami, to nie będą pukać zbyt gwałtownie do drzwi skarbnika, dobrze o nich uprzedził. Dąbrowski poznał w nich odrazu ludzi wyższego towarzystwa, to też rad był z nich widocznie, więc, jakkolwiek mieli zaciągnąć się do szeregów jako prości żołnierze, nie miał za złe Białowiejskiemu, że ich do kompanji przyprowadził. Póki nosili cywilne ubranie, nie było w tem przekroczenia subordynacji.

— Do jakiej broni chcecie? — zapytał Cywińskiego.

— Ja służyłem w jeździe — odpowiedział Stanisław — ale ponieważ legjon nie ma jazdy, więc tymczasem wstąpię do piechoty, i mój towarzysz także.

Na to olbrzymi Kniaziewicz wypuścił parę dymnych kółek i ozwał się swym tubalnym głosem, spoglądając na wdzięczną postać Marka;

— Towarzysz acana więcej na pannę, niż na żołnierza wygląda. Ejże, czyś tu nie przywiózł jakiej przebranej dziewczyny?

Marek zwrócił ku niemu zapłonioną twarz.

— W czasie insurekcji — rzekł — uciekłem ze szkół do wojska, ale mnie odesłano zpowrotem, gdyż miałem dopiero dwanaście lat.

— I zapewne poznałeś się z dyscypliną, jeśli nie z wojskową, to z księżą. A karabin udźwigniesz?

— Wolę pod nim paść, niż go nie nosić.

— Dobrze, dobrze, dzielna odpowiedź.

— Dobrze — powtórzył Dąbrowski. — Mój syn jest od niego młodszy, a służy. Będzie z ciebie fizyljer, jak się patrzy. Do którego chcesz bataljonu?

Marek już ochłonął, więc skłonił się i odpowiedział pewniejszym głosem:

— Jeśli łaska, obywatelu jenerale, chcielibyśmy służyć pod kapitanem Bogusławskim.

— Pod twardą pójdziecie rękę, ale to tem lepiej. Czy to wasz znajomy?

— Poznaliśmy go w Padwie i towarzyszyliśmy mu do Werony, gdzie miał pojedynek z czterema oficerami francuskimi.

— Znowu! — zawołał Dąbrowski.

Wiadomość poruszyła wszystkich. Dwaj jenerałowie zbliżyli się do Dąbrowskiego i Kniaziewicz zapytał:

— No i co? i co?

— I wszyscy czterej pozostali na placu.

— Zabici?

— Trzech. Czwarty ranny, pono śmiertelnie.

— Aj! — rzekł krzywiąc się Dąbrowski. — Sekundowaliście mu?

— Nie. Zażądał od komendanta fortu, by mu wyznaczył świadków Francuzów.

— Powiadaj, jak było.

Marek począł opowiadać wszystko, począwszy od zajścia w Padwie. Jenerałowie słuchali z widocznem zakłopotaniem, a nawet z przykrością. Chodziło im o to, o co w swoim czasie chodziło i Bogusławskiemu, by przyjazne dotychczas stosunki między dwoma wojskami nie zmieniły się w zobopólną nienawiść. Gdyby podobnemi uczuciami przejęły się wyższe władze francuskie, mogłoby to wpłynąć wprost na los legjonów — nie mówiąc już o tem, że wzajemna niechęć zrodziłaby na pewno nowy szereg kłótni, zajść i pojedynków.

— Francuzom brak oficerów, a tu naraz czterech! — mruknął Kniaziewicz. — Buonaparte nie darowałby tego Bogusławskiemu.

— Dobrze zrobił, że prosił o sekundantów Francuzów — zauważył Drzewiecki.

Dąbrowski miał twarz chmurną. Po chwili rozczesał palcami swą bujną jak lwia grzywa czuprynę i rzekł:

— Ludzie, którzy służą wolności, mordują się między sobą jak wrogowie. Plaga w obu armjach te pojedynki, plaga!

Na to ów wojskowy w mundurze adjutanta, którego Cywiński i Marek wzięli za Włocha lub Francuza, ozwał się najczystszą polszczyzną:

— Ale co Bogusławski miał zrobić? Czy miał pozwolić, by w polskiego oficera rzucano bezkarnie gałkami z chleba?

— Tremo ma słuszność — potwierdził jenerał Wielhorski. — Co miał Bogusławski zrobić?

Nikt nie umiał na to odpowiedzieć, więc nastała chwila milczenia.

Przerwał ją Drzewiecki:

— Nad Bogusławskim ciąży jakieś fatum — rzekł. — Człowiek zamknięty w sobie, cichy melancholik, surowy a nawet nieubłagany dla siebie i dla żołnierza na służbie, ale łagodny poza służbą, miał już kilkanaście pojedynków w życiu, choć nigdy nie dał do żadnego najmniejszej okazji. Coś w nim jest takiego, do czego czepiają się wszyscy awanturnicy.

— I źle na tem wychodzą — rzekł Białowiejski. — On-że to, parę lat temu, postrzelił ciężko w Warszawie znanego szulera Chadzkiewicza, który miał nie wiem ile pojedynków w życiu i, jak wiadomo, własny cmentarz... Bogdaj nawet, czy się z tego postrzału wygrzebał.

— Pan Chadzkiewicz żyje! — zawołał Cywiński. — Wyrobił nam paszporty od Fawratha i jechaliśmy z nim razem aż do Wiednia, a z Wiednia ma przyjechać do Włoch.

Dąbrowski skrzywił się znowu i spojrzał podejrzliwie na Cywińskiego.

— A czyście czasem nie z jego szkoły? — zapytał.

— Jakto? Nie rozumiem, jenerale.

— Czy nie należycie do jego domowników, do jego towarzystwa, do jego przyjaciół, albo do jego gry?

— Poznaliśmy go tej zimy u prymasa, poczem ułatwił nam wyjazd z Warszawy. Przedtem nie widzieliśmy go na oczy.

Tyle było szczerości w słowach Cywińskiego, że Dąbrowski rozpogodził się i rzekł:

— To lepiej. Strzeżcie się tego człowieka.

Po chwili zaś dodał:

— I niech Bóg ustrzeże od podobnych ludzi nasz kraj.

VI.

Marek stał jako szyldwach przy drzwiach ogrodowych, gdy w głębi alei cyprysowej obaczył jenerała Dąbrowskiego w towarzystwie nieznajomego człowieka, który, idąc, wspierał się dłonią na jego ramieniu. Obaj zbliżali się zwolna, zatrzymując się co chwila dla rozmowy. Nieznajomy przybrany był w czarny frak z białym żabotem, w czarne jedwabne spodnie do pończoch i w trzewiki ze srebrnemi klamrami, a na głowie miał fioletową czapeczkę. Chłopcu przyszło do głowy, że to może być kardynał Chiaramonti, któżby bowiem inny ośmielił się opierać z taką poufałością na ramieniu jenerała. Dziwiło go jednak ubranie, albowiem słyszał, jak oficerowie mówili między sobą, że ów był poprzednio zakonnikiem benedyktynem, a po wtóre, kardynała wyobrażał sobie zawsze w czerwonym kapeluszu i czerwonej aż do ziemi szacie. Gdy byli już blisko, wyciągnął się jak struna i sprezentował broń.

Nagłe jego ruchy ściągnęły uwagę nieznajomego, który zatrzymał na nim dłużej wzrok, poczem zwrócił się do jenerała i ze zdziwieniem zapytał:

— Takich-że to młodzianków macie w szeregach?

— To żołnierz ochotnik, eminencjo, który kilka dni temu zaciągnął się do legjonu.

Na to kardynał uśmiechnął się z niewysłowioną dobrocią i odpowiedział po włosku:

— Jest żołnierzem, ale zaprawdę mógłby być i cherubinem...

Marek stał wciąż wyprostowany, nieruchomy, tylko pod spojrzeniem tych mądrych i dobrych oczu twarz zapłoniła mu się jak róża.

A kardynał rzekł jeszcze, jakby ze smutkiem:

— Musi zaś krew rozlewać...

Poczem wszedł przez otwarte drzwi do pałacu, ale, przechodząc, podniósł dłoń wgórę i uczynił nad młodym żołnierzem znak krzyża.

Dąbrowski udał się za nim, Marek jednak usłyszał jeszcze, jak mówił po francusku do kardynała:

— To dziecko z dobrego domu...

Nie było to jednak ostatnie spotkanie Marka z przyszłym Piusem VII. Kardynał pokochał był szczerze Dąbrowskiego i jego oficerów, którzy prawie wszyscy umieli po łacinie — i przedewszystkiem tych polskich żołnierzy wąsatych, groźnych, pozornie strasznych, a tak dobrotliwych, że po kwaterach małe Włoszęta właziły im nietylko na kolana, ale i na karki. Nie mógł się też oddziwić, że ta legja, że ci sami żołnierze, którzy służą bezbożnej rewolucji, obalają książąt i królików włoskich, a za parę dni mają ruszyć na Rzym, chodzą na msze i na nieszpory, spowiadają się po polsku

włoskim księżom, a na jego widok, o ile nie są na służbie, klękają z daleko większą pokorą, niż mieszkańcy Imoli. Sprzeczności te i przeciwieństwa były stałym przedmiotem rozmów i dyskusyj między nim a jenerałami. Otaczano go jednak ogromnym szacunkiem, że zaś wśród zaburzeń krajowych i wśród rozpętanych namiętności czuł się za tym polskim płotem bagnetów bezpieczny, przeto lubił patrzeć na te bagnety i kiedy niekiedy chętnie brał udział w rewjach, na które zapraszali go jenerałowie.

Tak też zdarzyło się, gdy miał miejsce przegląd trzeciego bataljonu pod szefem Małachowskim. Zapowiedziano, że legja ma już wkrótce wyruszyć. Kardynał chciał zarazem wiarusów pożegnać. Zebrały się też, jak zwykle, duże gromady miejscowych mieszkańców, zawsze ciekawe oglądać tych żołnierzy, przybyłych z dalekiego kraju, o których męstwie rozpowiadano niestworzone rzeczy. Bataljon rozciągnął się długim szeregiem przed karetą kardynalską i przed sztabem, poczem rozpoczęły się manewry. Odwykli od służby wojskowej, Włosi podziwiali sprawność ruchów oddziału, który to rozpadał się na kompanje i plutony, to łączył się nagle w podobne do fortec czworoboki, to zmieniał się jakby w długie ramiona, zwracające się w prawo i w lewo z regularnością maszyny. Dzień był jasny. Żółte wyłogi na granatowych kurtach rozkwitły w słońcu jak kwiaty. W ciszy słychać było krzyki komendy w obcym dla Włochów języku, nabrzmiałe niepohamowaną energją. Gdy przyszło

do udanego ataku i gdy tłum ujrzał ławę żołnierzy, pędzącą nań wprost z pochylonemi bagnetami, cofnął się w bezładnej trwodze. Ale szereg stanął nagle przed sztabem jak wryty i stał nieruchomo, jak mur. Wówczas kardynał poznał pod kwadratową czapką zmęczoną twarz Marka i, zwróciwszy się do Dąbrowskiego, rzekł:

— *Ecco mio piccolo soldato.*

Poczem uśmiechnął się przyjaźnie. Widok młodego chłopca, dźwigającego ciężki karabin i przybory żołnierskie, wzbudził w nim litość i współczucie, gdyż po chwili dodał:

— *Povero, povero!...*

Tegoż zaś wieczora młody żołnierz otrzymał rozkaz stawienia się przed eminencją. W sali, prócz kardynała, był tylko Drzewiecki, który przywiązał się do niego ogromnie i codziennie zdawał mu raport z tego, co się dzieje w okolicy. Chiaramonti siedział w fotelu, opodal „brasero“, pełnego rozżarzonych węgli, gdyż pomimo, że słońce wiosenne ogrzewało już powietrze, bał się chłodu. Marek klęknął przed nim, a on położył mu swą białą, delikatną dłoń na głowie i począł mu mówić o Polsce, o gorącej wierze narodu i o krwi polskiej; przelanej w obronie krzyża przeciw poganom. Potem kazał mu sobie obiecać, że, wobec bezbożności i rozpusty, którą obaczy, zwłaszcza wśród wojsk francuskich, wiary dochowa i pozostanie czystym, a wśród okrucieństw wojennych nie zatraci uczucia litości. Kilkakrotnie powtórzył: „Bądź litościwy, bądź litościwy“ — a wkońcu wyjął z kornalinowej

miseczki mały krzyżyk z czarną wstążką i zawiesił go na szyi Marka.

Marek, jeszcze w Różycach, czytywał po śmierci księdza Lagrange'a encyklopedystów i wiara jego była podcięta, wyszedł jednak od kardynała z sercem, pełnem czci i rozrzewnienia. Uczuł się zarazem jakby wzmocniony i począł raźniej patrzeć w przyszłość. Trzeba mu zaś było jakowychś słów otuchy, albowiem upadał z wyczerpania i sam przed sobą nie śmiał wyznać, jak dalece ta służba, którą rozpoczął, była nad jego siły, Każdego wieczora karabin wypadał mu z rąk; nocami, wśród wyziewów spotniałego ubrania żołnierskiego, skwaśniałego wina i zapachu wygasłych fajek nie mógł spać. Po przebudzeniu się bolały go wszystkie kości, tak, że naciąganie kurty i lederwerków łączyło się z bólem fizycznym. Nogi nabrzmiały mu, a starcia na odparzonych podeszwach paliły go żywym ogniem. Chłopiec, wychowany w zamożnym, a nawet wykwintnym domu, nie miał poprostu żadnego pojęcia, co to jest służba prostego żołnierza w szeregu i koszarowe życie. Daleko silniejszy i zahartowany Cywiński był jakby u siebie w domu, dla Marka zaś wszystko łączyło się z niezmiernym wysiłkiem i prawie z męką. Szkodziła mu strawa żołnierska, raziły delikatne jego uszy grube rozmowy i śpiewy kamratów. Na ćwiczeniach, pod ciężarem karabina i torby, bywał bliski omdlenia. Nie skarżył się. Znosił swój los i trudy w milczeniu, lecz gdy czasem pomyślał, że przyjdzie mu tak służyć przez lata całe i maszerować z karabinem na ra-

mieniu po całym świecie, to był pewien, że padnie na pierwszym lepszym gdzieś kamieniu i nie podniesie się więcej.

A przecież nie było jeszcze wojny, nie rozpoczęły się żadne pochody — i bataljon jego, stojąc spokojnie w Imoli, prócz małych wypraw w okolice, odbywał tylko zwykłe ćwiczenia.

Towarzysze nie byli dla niego usposobieni nieprzyjaźnie — raczej przeciwnie. Rozniosło się, że jenerał Kniaziewicz nazwał go „panną", więc i oni nazywali go „panną", ale to właśnie jednało mu pewną ich opiekę. Raz, w chłodną noc, Marek, zbudziwszy się, spostrzegł, że sierżant Twardek okrywa go własnym płaszczem. Inni pomagali mu czyścić broń, wyręczali go, gdy przyszła jego kolej w zamiataniu izby, w rozpalaniu ognia, w noszeniu wody i kotłów. Ujmował ich wprawdzie życzliwością i datkami z dobrego serca na „tabak" i wino, jednakże nie czynili tego tylko dla datków. Był prostym żołnierzem — „gemajnem", tak samo jak oni, ale ci ludzie z pod strzech chłopskich czuli, że to „nie je to samo" i że to jest polski panicz „ze dwora".

Od oficerów nie doznawał również przykrości. Oczywiście, póki nosił frak i biały żabot, rozmawiał z nimi jak z ludźmi ze swego towarzystwa, obecnie zaś stosunek się zmienił. Marek zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że tak być powinno i musi, a jednak w głębi duszy odczuwał pewną przykrość, że ten sam Parys, Białowiejski lub Drzewiecki patrzą na niego teraz inaczej, mówią do

niego inaczej — i wydają mu rozkazy, których on musi słuchać wyprostowany, z dwoma palcami przy daszku czapki.

I niekiedy zdawało mu się, że zaznaczają tę różnicę umyślnie, a tymczasem oni byli aż nadto dla niego pobłażliwi, zwłaszcza od chwili, w której pobłogosławił go i obdarzył krzyżykiem kardynał Chiaramonti.

VII.

Z Imoli bataljony polskie wróciły do Rimini, stamtąd zaś miały iść ku Rzymowi. Niektóre poszły wprost wdół ku Pesaro i Fano, ku Ankonie. Trzeci bataljon, w którym służyli Marek i Cywiński, wymaszerował do Urbino, skąd dalsza na zachód droga prowadziła przez Apeniny rzymskie w stronę Kortony i jeziora Trazymeńskiego. Na szczytach Apenin leżały jeszcze śniegi; wezbrane rzeki i potoki utrudniały przeprawy. Ale dnie były piękne, a ożywcze tchnienie wiosny budziło nowe siły nietylko w naturze, ale i w ludziach. Szczególnie wesoły był pierwszy dzień pochodu, po wyjściu z Rimini. Mieszkańcy małej rzeczypospolitej San Marino, którzy poprzednio drżeli o swą niepodległość, przekonawszy się, że im ze strony Dąbrowskiego nic nie grozi, przeprowadzali żołnierzy okrzykami: „Niech żyją waleczni Polacy!“ — i na pierwszy nocleg przysłali im gromadkę owiec, a wraz z nią beczkę wina. Tuż za San Marino wznosił się jak gniazdo orle na pionowej skale zamek San Leo, który Włosi uważali od wieków za niezdobyty, ale który zdobył już był poprzednio Dąbrowski. Żołnierze ze śmiechem przypominali sobie, że gdy grenadjerowie

z pierwszego bataljonu założyli czapki na bagnety i ruszyli ku bramie, załoga sądząc, że widzi wielkoludów, tak się przelękła, iż kapitulowała natychmiast. Mówili też Markowi i Cywińskiemu, jak w więzieniach zamkowych znaleźli polskiego żyda rabina i jak oglądali celę, w której siedział wielki czarownik [1]), u którego djabli służyli za parobków, ale z więzienia nie mogli go wydobyć, gdyż na progu był napis po łacinie święconą kredą: „Kiep djabeł przeciw boskiej mocy". Sierżant Twardek opowiadał im także o zajęciu Pesaro i Fano, gdzie mieszkał kardynał, nie ten sam, co w Imoli, ale inny, nazwiskiem Saluzzo, który przedtem bywał w Warszawie i po polsku mówił, „jakby kto grochem sypał". Od oficerów dowiedzieli się, że był to istotnie ostatni nuncjusz, który z Polski wyniósł nietylko miłe wspomnienia, ale szczerą dla niej miłość.

Z Urbino szli na San Angelo, za którem piętrzyły się coraz wyżej szczyty Apenin. Wiosek i osad tu było mało, ludność na połoninach pasterska, nawpół dzika, bardzo do dawnego rządu i do swych duchownych przywiązana. Mieszkaniec, na wieść o ciągnących kohortach, zapędzał wyżej ku szczytom kozy i krowy, sam zaś podglądał ze stromych skał żołnierzy, a widząc nieznane mundury i słysząc nieznane pieśni, nie umiał sobie zdać sprawy, co to za wojsko. Niektórzy sądzili, że to ludzie cesarscy dążą do Rzymu przeciw Francuzom, inni

---

[1]) Cagliostro.

widzieli w nich nieprzyjaciół Ojca świętego i wiary. Czasem przewodnicy nastręczali się sami, gdzie indziej ludność kryła się w niedostępnych wąwozach. W kilku miejscach strzelano z poza zębów skalnych do żołnierzy i Marek po raz pierwszy w życiu usłyszał świst kuli koło ucha.

Na trzeci dzień po przejściu San Angelo porucznik Piekarski, wysłany w przedniej straży, schwytał trzech pasterzy i młodą koziarkę z czarną, rozczochraną grzywą, płomiennemi oczyma i piersią, jakby wykutą z bronzu. Ich chwycono z dymiącemi jeszcze strzelbami, ją w chwili, gdy staczała głazy na idących dołem żołnierzy. Zostali skazani na rozstrzelanie, więc ustawiono ich nad wykopanym umyślnie rowem, naprzeciw zaś stanęli z nabitą bronią grenadjerzy. Jeden ze skazanych chwiał się na nogach i bliski był omdlenia, ale dziewczyna nie dała sobie oczu wiązać i, gryząc orzechy, śmiało patrzyła w skierowane ku sobie lufy. Żołnierzyskom zadrżały na ten widok łysty i karabiny w rękach, to też kamień spadł im z serca, gdy przed ostateczną komendą: „Pal!“ pojawił się Małachowski, zastępca właściwego szefa bataljonu, i ułaskawił całą czwórkę, a dziewczynę obdarzył nawet kilku bajokami, przykazawszy jej zarazem, by pamiętała, że Polacy są dobrzy chrześcijanie i katolicy. Uciekła jak spłoszona koza, przesyłając dłonią z poza skał żołnierzom całusy. Wieść o ułaskawieniu rozniosła się szybko po górach i miała ten skutek, że przez dwa dni następne ani jeden kamień nie stoczył się na szeregi, a natomiast na postojach

nie brakło koziarek z połyskliwemi zębami i płomiennemi oczyma, zaczepnych, a zarazem płochliwych i gotowych do ucieczki, pod warunkiem, żeby je ścigano. Jedną, nadzwyczaj urodziwą Marek poczytał za Atalantę i wcale nie był pewien, czy to nie jakaś wyższa nad zwykłe śmiertelniczki istota, której podobało się żyć wedle zasad Rousseau'a na łonie natury. Myślał nawet, że możeby warto poświęcić serce i resztę dni żywota takiej dzikiej dziewicy górskiej, na nieszczęście jednak rozkaz dalszego pochodu stanął tym zamiarom na przeszkodzie.

W czasie tych pochodów zauważył z radością i wzruszeniem, że jego uprzedzenia co do wyniosłości zwierzchników były mylne, i że w bataljonie, mimo żelaznej karności, panuje spójność wielka i duch jakby rodzinny. Może tak było dlatego, że ojczyzna została za tą garścią rycerzy daleko, może wiązadłem była niepewność losu, a większa pewność śmierci na obczyźnie, ale kochali się jak bracia. Oficer nietylko dbał o chleb dla żołnierza, ale kształcił go, uczył czytać i pisać, uczył go historji ojczyzny, a o Włoszech opowiadał, co sam widział. W korpusie oficerskim uczyli także jedni drugich rzeczy tyczących wojny i na te nauki pozwalali przychodzić nawet tym żołnierzom, którzy mogli mieć z tego korzyść. Marka, Cywińskiego i kilku innych podobnych im ochotników wzywano nawet często i chętnie, gdyż choć byli „gemajnami", wiedziano jednakowoż, że to są chłopcy „z edukacją", którzy jeśli nie polegną w przyszłych

wojnach, to zostaną oficerami. Wiedzieli o tem szeregowi i uważali w prostocie ducha, że się to „paniczom“ należy.

Gdy, po wielu pochodach, zaszli na północny brzeg jeziora Trazymeńskiego, kapitan Amira przywołał Marka i zapytał, czy wie, jakie wspomnienie związane jest z tą miejscowością, a po odpowiedzi chłopca, że tak jest, polecił mu, by opowiedział żołnierzom ze swej kompanji o bitwie Hannibala z Rzymianami. Marek wywiązał się z zadania, jak umiał, a chłopy słuchały go z ciekawością, dziwiąc się, że to już i przed Wielkim Bartkiem (tak nazywano w legji Buonapartego), przed Kościuszką i przed Dąbrowskim „bywały tęgie jenerały“. Następnie jednak, chociaż rybacy naznosili mnóstwo ryb, żołnierze nie chcieli ich jeść, mówiąc, że „w tej wodzie za dużo luda namokło“ — i próżno im tłumaczono, że od tej bitwy upłynęło przeszło dwa tysiące dwieście lat. Wieczorem odkomenderowano do głównej kwatery dziesięciu żołnierzy z podporucznikiem Krukowskim, a między nimi i Marka. Kwatera znajdowała się w pokaźnej willi wiejskiej, między Torontolą a brzegiem. Jenerał Wielhorski odjechał był do Mantui, ale znajdowali się Dąbrowski, Kniaziewicz, szefowie bataljonów, adjutanci, a prócz nich francuski pułkownik Gautier i Claudio, adjutant jenerała Rusca, jednego z przywódców wojsk cyzalpińskich. Ponieważ wymarsz w kierunku Orvietto miał nastąpić nazajutrz, skoro świt, przeto jenerałowie chcieli zwiedzić słynne pole bitwy bo-

daj nocą, eskorta zaś okazała się potrzebna dlatego, że okolica nie była zbyt pewna.

Gdy żołnierze nadeszli, sztab siedział jeszcze na tarasie, przy świetle lamp, popijając wino z oplecionych słomą flaszek i paląc fajki. Na stole, między flaszkami leżała książka, którą Dąbrowski przykrywał w czasie rozmowy co chwila swoją ogromną dłonią. Pięciu szeregowców stanęło z każdej strony na schodach, wiodących na taras, oczekując, aż jenerałom podoba się wstać — i wówczas Marek usłyszał następującą rozmowę:

— W bitwie nad Trazymenem — mówił Dąbrowski — o mało nie rozstrzygnęły się losy Rzymu, a zatem i losy świata. Gdyby Rzym był upadł w walce z Kartaginą, my może bylibyśmy tem, czem jesteśmy, to jest Polakami, ale (tu zwrócił się do Gautiera) ty, obywatelu pułkowniku, nie byłbyś Francuzem.

— A to dlaczego? — zapytał żywo Gautier.

Jenerał począł mu tłumaczyć, jaką drogą powstał język i naród francuski, a zarazem wykazywać, że gdyby Galję zajęli zamiast Rzymian Kartagińczycy, albo tylko Germanowie, to wytworzyłaby się z tego jakaś mieszanina zgoła odmienna. Naukowe te wywody nie na wiele się jednak przydały, gdyż Gautier, wysłuchawszy ich, odrzekł z niezachwianem przekonaniem:

— Jenerale, choćby djabli pomieszali się z Gallami, to ja byłbym tak samo Francuzem.

Dąbrowski kiwnął dłonią, poczem wziąwszy książkę, rzekł:

— Zanim pójdziemy na pole bitwy, możeby dobrze było przeczytać jej opis. Wożę zawsze w swoim żołnierskim mantelzaku kilka książek, a między niemi i Liwjusza.

To rzekłszy, podał książkę Drzewieckiemu.

Drzewiecki wziął ją, lecz zanim ją rozłożył i znalazł odpowiedni ustęp, Gautier zapytał go z widoczną obawą:

— Po jakiemu to będzie?

— Po łacinie.

— Powiedz mi tedy, obywatelu, czy wyście byli księżmi w swojej ojczyźnie, czy co?

— Nie, ale w szkołach księża bili nas w skórę, ile wlazło, żeby nas łaciny nauczyć — odpowiedział wesoło Drzewiecki.

Poczem popatrzył przymrużonemi oczyma na Marka, stojącego z karabinem u nogi tuż przy wejściu na taras, uśmiechnął się i rzekł:

— Ba, między nami i prości żołnierze umieją po łacinie.

— Obywatel drwisz sobie ze mnie? — oburzył się Gautier.

Na to Drzewiecki skinął na Marka, a gdy ów zbliżył się i wyciągnął po żołniersku, wyjął mu z rąk karabin, a natomiast podał książkę i rzekł:

— Czytaj.

A Dąbrowski, który rad był zawsze pochwalić się swym żołnierzem, dodał:

— Siadaj i czytaj.

Gautier ścisnął zębami cybuch fajki i począł pykać mocno. Na tarasie uciszyło się, bo jednak

wszyscy ciekawi byli usłyszeć nad Trazymenem opis trazymeńskiej bitwy. Zdala dochodziły tylko głosy wartowników. Niebo nad tarasem nabite było gwiazdami; w powietrzu wielki spokój.

Marek spojrzał naprzód na rozświetloną toń jeziora, którą widać było doskonale, następnie na lampy, koło których kręciły się ćmy nocne i począł czytać wzruszonym, młodym głosem, co następuje:

„Przybywszy do jeziora poprzedniego dnia, o zachodzie słońca, Flaminius ruszył nazajutrz naprzód, zanim pierwszy brzask rozwidnił okolicę, i nie wysławszy dla jej rozeznania żadnych podjazdów. Gdy, po przejściu wąwozów, kohorty na szerszej nieco równinie poczęły się rozwijać, spostrzegł tylko tych nieprzyjaciół, których miał przed sobą. Zasadzki ztyłu i nad głową uszły całkiem jego baczności. A wtem Kartagińczyk, ujrzawszy, że stało się, czego sobie życzył, i widząc Rzymian zamkniętych między górami i jeziorem, a zarazem otoczonych przez swe wojska, daje znak wszystkim naraz do ataku. Ci pędzą wprost, jak komu najbliżej. Mgła, gęstsza w dolinie, niż na wzgórzach, czyni ów atak bardziej nagłym i niespodziewanym. Kartagińczycy, rozstawieni na wyniosłościach, widzą się lepiej i pędzą wdół jednocześnie. Rzymianin tylko z krzyków, rozlegających się ze wszystkich stron, poznaje, że jest otoczony. Bitwa, nim legjonista zwarł się w szyki, nim za broń chwycił, nim wyciągnął miecze, rozpoczyna się zprzodu, z boków, ztyłu.

Wśród ogólnego przerażenia sam tylko konsul

serca nie traci, a w zmieszanych szeregach każdy zwraca się w tę stronę, z której dochodzą wrzaski najsroższe, on, o ile może, zbiera żołnierzy, ustawia szeregi, napomina, rozkazuje stać twardo i walczyć mężnie. „Nie czas“ — woła — „ślubować, nie czas błagać bogów: siła tylko i odwaga może was zbawić. Drogę przez nieprzyjaciół toruje jeno żelazo, a im mniej bojaźni, tem ratunek pewniejszy“. Niestety, wśród wrzasku i skrzętu nie słyszano ni rad, ni rozkazów. Żołnierz nie mógł odnaleźć swego znaku, swego szeregu, swego miejsca. Przytomności starczyło zaledwie do chwycenia za broń. Niektórym zbroja raczej brzemieniem była, niż obroną. W głębokim mroku słuch płużył lepiej od oczu. Więc zwracali wzrok i oblicza w stronę, skąd szły jęki rannych, dźwięk zderzających się zbroi, okrzyki triumfu i trwogi... Tym, co uciekali, zagradzał drogę zbity tłum żołnierzy, tych, co wracali do bitwy, porywał prąd uciekających. Więc gdy nanic był wszelki wysiłek, gdy z jednej strony góry, z drugiej jezioro, a ztyłu i zprzodu nieprzyjaciel, — zrozumiał Rzymianin, że zbawienie jeno w prawicy i w żelazie. Zaczem nowa rozszalała bitwa: nie taka w ordynku, którą rozpoczyna prymak, a toczą dalej włócznicy i groźne trzeciaki, — i nie taka, w której przedchorągiewni biją się w przodku znaków, a za nimi uderza szyk główny, ale bezładna, gdzie żołnierz, walcząc, nie w swoim legjonie, nie w swej kohorcie i rocie, sam sobie przewodnikiem i wodzem. Tak wielka zaś była zaciekłość wojsk obu, że nikt nie odczuł strasznego trzęsienia ziemi,

które zburzyło mnóstwo miast w Italji, góry zrównało z ziemią, odwróciło biegi rzek i wepchnęło w ich koryta fale morskie..."

Marek odetchnął i przerwał, nie wiedząc, czy ma czytać dalej. Słuchali w skupieniu oficerowie; mniej biegły w łacinie Kniaziewicz pochylił głowę i otoczył dłonią ucho, by żadnego słowa nie stracić; pułkownika Gautiera, który był w czasie czytania zasnął, zbudzila cisza, więc począł pykać na nowo ze zgasłej fajki, a wreszcie zabrał głos Dąbrowski.

Po francusku już, lubo niezbyt poprawnym językiem, jął opowiadać o śmierci konsula z ręki isumbryjskiego jeźdźca i o ostatecznej klęsce Rzymian. Wywołana opowiadaniem złowroga, ale olbrzymia postać Hannibala stanęła jakby żywa przed oczyma słuchaczy, okrutna, nieubłagana, zwycięska. Dąbrowski mówił dalej:

— Nie był to jenjusz, jak Aleksander lub Cezar, albowiem brakło mu wzniosłych pomysłów, które zmieniają życie człowieczeństwa; ale i Aleksander i Cezar, gdyby im przyszło z nim walczyć, mogliby byli bitwy przegrać. Nie umiał może myśleć i czynić planów na dłuższe lata, ale natomiast na placu, wobec nieprzyjaciela nikt nie zdołał mu wyrównać. Wspomnijcie, że po bitwie trazymeńskiej przyszły Kanny.

— Tak, jenerale — przerwał Tremo — a jednak na Rzym po Kannach nie uderzył i Rzymu nie zburzył.

— „Umiesz zwyciężać, Hannibalu, korzystać ze

zwycięstwa nie umiesz“ — zacytował słowa Maharbala Drzewiecki. Poczem dodał:

— Hannibala mogę podziwiać, ale nie mogę się do niego przekonać.

— Przekonać się trudno — odpowiedział Dąbrowski — albowiem brakło mu nietylko wzniosłych pomysłów, lecz i wspaniałomyślności. Nigdy mu serce nie zadrgało miłosierdziem, nigdy dobrocią. To dusza innej rasy. Ale tę swoją Kartaginę kochał jednak do ostatniego tchu życia, i gdy nadeszła chwila, w której zrozumiał, że nanic trud i cel życia, nanic niesłychane zwycięstwa, że Rzym, tylekroć przez niego zdeptany, triumfuje, a ojczyzna ginie i zginąć musi, wówczas był to człek chyba najbardziej nieszczęsny na ziemi. Widzę go oto jako tułacza na obcej ziemi — po Zamie — i schylam przed nim głowę, chociaż na Kapitolu nie był i Rzymu nie zburzył.

To powiedziawszy, umilkł i dopiero po chwili rzekł:

— Ale już późno, więc może pójdziemy rzucić okiem na dawne pole bitwy.

Ruszyli wszyscy, z wyjątkiem pułkownika Gautiera, który odezwał się z żołnierskim humorem:

— Mój jenerale, Hannibal mógł być wielkim wodzem, ale w Rzymie nie był, a ja byłem, więc idę spać.

I, przyłożywszy palce do skroni, zawrócił na miejscu i poszedł do swej kwatery.

A oni udali się nad jezioro i szli wolnym krokiem, mając przed sobą i za sobą po pięciu żoł-

nierzy. Księżyc wysunął się już z poza Apenin, rozświetlił kortońskie wzgórza i położył się szerokim, srebrnym mostem na cichej toni. Noc była jasna, jak dzień, żadnego powiewu, i mgły, zwykłe nad Trazymenem, nie przesłaniały widoku. Na tle skąpanych w białym niemal blasku zboczy rysowały się czarne wpadliny i wąwozy, w których czaili się swego czasu Kartagińczycy. Oficerowie to zatrzymywali się chwilami dla rozmowy, to szli dalej, rozglądając się dookoła. Niejeden mówił też sobie w duszy: „Hej! gdzieśmy to doszli! śladami Hanibala aż nad trazymeńskie wody!“ I tak myśląc, spoglądali na migające w oddaleniu ogniska polskich biwaków.

Dąbrowski znów zabrał głos, ale mówił cicho, jak się mówi w kościołach, albo na cmentarzach:

— Musiało się tu dużo zmienić. Zwietrzało dużo skał, porozsypywały się wzgórza, ale to było tu. Tu piętnaście tysięcy legjonów, cała siła Rzymu, leżało pokotem we krwi.

— A Rzym czekały jeszcze Kanny — zauważył Kniaziewicz.

Tremo zaś rzekł:

— Jednakże się ostał, i zwyciężył.

Na to Dąbrowski odkrył głowę, przyłożył dłoń do czoła i trwał tak przez chwilę, a potem począł zwolna mówić:

— Bo nigdzie miłość ojczyzny nie gorzała tak wielkim płomieniem... Nigdzie obywatel nie był tak gotów na śmierć *pro aris et focis*... Ach! w Rzymie nie mogło być Targowicy, Rzym mógł być zgła-

dzony, ale nie mógł być rozdarty między sąsiadów... Rzym to nie... Polska...

I dalsze słowa uwięzły mu w ustach, a tym, którzy go słuchali, przygniótł dusze jako niezmierny ciężar. Zapadła cisza — i pochyliły się wszystkie głowy. Ściśnięte serca zalała wielka gorycz...

Wtem zdala, wśród głuchej nocy, doszedł ich na tem trazymeńskiem pobojowisku, od strony ognisk i biwaków polskich, żołnierski głos śpiewający:

„Jeszcze Polska nie umarła,[1])
Póki my żyjemy..."
. . . . . .

— Słyszysz, jenerale? — zapytał Tremo.

A Dąbrowski podniósł załzawione oczy ku księżycowi.

— Daj to Bóg — rzekł.

---

[1]) Tak brzmiał pierwotny tekst utworu Wybickiego.

VIII.

Szli dalej. Niektóre bataljony w kierunku Terni. Przybył z Ankony dowódca trzeciego bataljonu Grabiński i objął komendę, w której zastępował go dotychczas Małachowski. Słońce w pogodne dni dogrzewało już dobrze i granatowe kurty płowiały w jego promieniach, w nocy natomiast na wysokościach dokuczało zimno. Co pewien czas padały obfite dżdże. Pochody były trudne i nieraz o głodzie, gdyż rząd Rzeczypospolitej Rzymskiej nie przygotował żadnych składów po drodze i wogóle nie myślał o zaprowjantowaniu wojsk, zbliżających się do stolicy. Rekwizycje nie przynosiły tyle, ile było trzeba do wyżywienia żołnierza. Żywność i furaż dla koni brano siłą, albowiem mieszkaniec nie chciał przyjmować republikańskich bonów. Dużo koni od armat Aksamitowskiego odpadło, te zaś, które zajmowano wieśniakom, były mdłe i do służby artyleryjskiej niezdatne. W miastach, owianych duchem republikańskim, witano żołnierzy radośnie, natomiast w małych burgadach i po wioskach patrzono na nich jak na wrogów. Im dalej zaś szli w głąb Państwa Kościelnego, tem bardziej wzrastała niechęć, tem więcej było posępnego milczenia, tem

więcej ognia i nienawiści w chłopskich oczach. Wieśniak żałował papieża, żałował swych księży, żałował dawnych rządów; Francuzów uważał za djabłów i za zbliżeniem się wojska uciekał w góry, a gdzie niegdzie stawiał nawet zbrojny opór. Żołnierze, którzy w czasie postojów odłączali się nieostrożnie w pogoni za dziewczętami od swych plutonów, poczęli ginąć. W jednej z wiosek pod Città della Pieve znaleziono dwóch z poderzniętem gardłem, zaco rozstrzelano na miejscu pięciu podejrzanych chłopów. Bieda dawała się we znaki z każdym dniem większa. Zeszłoroczne kasztany stanowiły podstawę pożywienia, a w wielu miejscach brakło i kasztanów. Gdzie żołnierz znalazł wino, pił bez miary. W ciągłych pochodach obdarł się też znacznie. W niektórych kompanjach podeszwy poodpadały całkiem od butów i nawet oficerowie maszerowali boso. Żołd miał być zapłacony dopiero w Rzymie.

Ale oni szli naprzód, nie zważając na biedę, jedząc byle co, śpiąc byle gdzie, krzepiąc się, kto fajką, kto winem, kto pieśnią. Na postojach pytał przy ognisku jeden drugiego:

— Cobyś zjadł? Kiełbasy łokieć byś zjadł? Grochu ze słoniną byś zjadł? to naści!

I rzucał w niego zmurszałym kasztanem, albo wytchłym włoskim orzechem.

Powiedziano im, że bieda skończy się w Rzymie, więc wesołość panowała w kompanjach. Ducha dodawała im też myśl, że idą do stolicy świata, w której nigdy nie postało jeszcze wojsko polskie.

Oficerów podtrzymywała również chęć zobaczenia Wiecznego Miasta, ale zarazem i marzenia o piękności rzymianek. Wiedziano już z doświadczenia, że płowe czupryny synów Północy mają szczególny dla Włoszek urok, każdy przeto spodziewał się, że tem bardziej tak będzie w Rzymie, gdyż żadne oczy niewieście nie oglądały tam dotychczas polskich wojowników. Nadzieja ta kołysała wszystkich, bez różnicy stopnia i wieku. Sam Kniaziewicz, który wówczas nosił jeszcze wąsy, począł je czernić codziennie, co widząc, uśmiechali się młodzi oficerowie i mówili między sobą, że gdzie pojawi się olbrzymia postać jenerała i rozlegnie się jego tubalny głos, tam prędzej strach niż miłość wzbudzić może. Jednakże już przy tęczowym wodospadzie w Terni znalazł jenerał swoją „Pandolfinę“, którą zresztą z miejsca zbałamucił mu adjutant Drzewiecki.

Marek w czasie pierwszych pochodów myślał, że Rzymu nigdy nie zobaczy, gdyż odparzenia na nogach zmieniły mu się w bąble, bąble w rany — i musiał iść do ambulansu, a inaczej mówiąc, wlec się podwodą za wojskiem. Ale zajął się nim szczerze chirurg bataljonowy Otelli, a i sierżant Twardek leczył go na swój sposób, okładając mu stopy maścią, sporządzoną z oliwy i tartego prochu. Gryzło to, ale pomagało, tak, że po tygodniu stanął znów „paniczyk“ w szeregu. W dalszych pochodach było mu, wbrew oczekiwaniu, coraz lepiej. Nogi wezwyczaiły się zwolna do butów, na dłoniach porobiły się twarde jak kamień odciski, dzięki którym karabin przestał go urażać; ciężka torba, którą przed

wprowadzeniem tornistrów nosili legjoniści, nie ciągnęła mu wdół ramienia. Słońce powlokło mu twarz złotawą barwą. W marszu szedł lekko, albo nawet lżej od starszych żołnierzy. Trud począł w nim mnożyć siły — młodość przezwyciężała trudy. Cywiński zapewniał go, że wkrótce będzie z niego żołnierz całą gębą. Jakoż, zanim doszli do Trazymenu, pełnił już służbę, jak pierwszy lepszy szeregowiec.

Twardek, instruktor bataljonowy i wielki mistrz na bagnety, uczył go robić tą bronią, ale prócz tego nauczył go wielu innnych rzeczy, które żołnierz wiedzieć powinien. On to pokazał mu, jak trzeba trzymać koszulę nad rozżarzonemi węglami, aby „gad“ oczadział i wysypał się na zarzewie. Oddał mu też nieocenioną przysługę, pokazując sposób, w jaki należało obwijać nogi onucami, by nie uwierały w pochodzie. Marek słuchał go pilnie i korzystał z jego rad. Po niejakim czasie począł udawać wiarusa: marszczył brwi bez żadnego powodu, przemawiał krótkiemi, dobitnemi słowy, spoglądał groźnie na kozy, pasące się na zboczach, na bieliznę, porozwieszaną na sznurach przed domami — i wzdychał do bitew, chociaż obawiał się w głębi duszy, czy w pierwszym ogniu potrafi się dość bohatersko zachować.

Nauczył się także palić fajkę. Twardek uciął krótki, wierzbinowy patyk, zdjął z niego korę, tak, jakby chciał zrobić fujarkę, rozłupał wzdłuż patyk, wydłubał rdzeń, potem złożył obie połowy, naciągnął napowrót korę i cybuch był gotów. Opowiadał

przytem Markowi, jak niegdyś pod Weroną włoscy żołnierze, widząc u naszych takie cybuszki, pytali ich, jak się to robi? „A my im na to: trzeba w patyk dmuchać, póki z niego dusza nie wyleci. No, to jak wzieni, paniczku, dmuchać, to tak dmuchali i dmuchali, aże się trza było pod wiater od nich trzymać, i dziwowali się, że żaden nie wskórał, a my im mówili, że dobrego tchu nie mają“.— Marek niełatwo przywykł do żołnierskiego „tabaku“, ale się przemógł i wkrótce przekonał się, że fajka często może żołnierzowi chleb zastąpić.

Bogusławski, po załatwieniu rozmaitych spraw, z któremi był wysłany, dogonił swój bataljon pod Orte i objął komendę nad tą kompanją, w której służyli Cywiński i Marek. Kapitan, czyniąc przegląd swych żołnierzy, zatrzymał na nich chwilowo swe kamienne, zimne oczy, jakby je zatrzymał na każdym innym nowozaciężnym żołnierzu. Najmniejszem słowem, najmniejszym gestem nie dał poznać, że ich widział poprzednio i że w dziwnych okolicznościach zawiązały się między nim a nimi bliskie stosunki towarzyskie. Teraz byli to dla niego dwaj żołnierze i nic więcej. Dotknęło to ich obu, a szczególniej Marka, który pamiętał, jak w Weronie kapitan przyciskał go do piersi i mówił mu zdławionym głosem: „Trzeba wytrzymać!“ Lecz dotknięta miłość własna nakazała chłopcu zachowywać się względem kapitana również tak, jakby go przedtem nie znał. Obaj z Cywińskim poczęli jednak bacznie przyglądać się kapitanowi, albowiem dziwny ten człowiek zaciekawiał ich coraz bardziej.

Dostrzegli więc, że wśród kolegów oficerów więcej ceniono Bogusławskiego, niż lubiono. Żołnierze szanowali go tak, jak żadnego innego zwierzchnika, ale także nie otaczali go przywiązaniem, albowiem głównem uczuciem, jakie w nich wzbudzał, była obawa. Przez pewien instynkt, który trafnie odgaduje duszę ludzką, przezwali go „Pustelnikiem“ i straszyli się nim wzajemnie. Dość było sierżantowi powiedzieć: „Pustelnik cię obaczy“, by powściągnąć każdy wybryk, lub zapobiec niedbalstwu żołnierza. Jakoż trzecia kompanja, którą dowodził Bogusławski, była wzorem dla całego bataljonu. W żadnej innej bagnety, lufy karabinów i guziki nie połyskiwały tak świetnie, w żadnej granat mundurów nie zachował się lepiej, w żadnej żołnierz nie okazywał tyle sprawności w mustrze i — jak się to okazało przy szturmie Werony — tyle uporczywości w boju.

Jedna tylko kompanja Nadolskiego mogła z trzecią iść w zawody, ale i Nadolski krzykiem, djabłami, piorunami i „psiąkrwią“ nie umiał tyle wydobyć z żołnierza, ile Bogusławski każdem dłuższem spojrzeniem swych dziwnych i strasznych oczu.

Żołnierze, nie kochając go, mieli w nim jednak ufność nieograniczoną. Powszechne było przekonanie, że „Pustelnik“ wszystko wie, wszystko umie, wszystko rozumie i że, gdyby zrobiono go jenerałem, „toby sprał Niemców, jak się patrzy“. Od niego tylko zależało pozyskać i wielką miłość tych prostych serc, albowiem nie było między oficerami nikogo, ktoby więcej dbał o żołnierza. Marek i Cy-

wiński zauważyli, że Bogusławski je chleb tylko żołnierski, żywi się z kotła, zabiega z wyjątkową energją i wytrwałością, by żołnierz nie marł głodem, kładzie się spać ostatni, a na postojach wykłada porucznikom matematykę, sierżantów zaś i żołnierzy uczy pilnie czytać i pisać. Niechby tylko był mniej surowy, niechby kiedy przeoczył umyślnie jaką winę, niechby przy fajce gwarzył z żołnierzami, jak czynili inni, powiedział czasem jakiś dowcip żołnierski, po którym śmiech idzie jak rotowy ogień przez szereg, ci ludzie skoczyliby za niego w ogień i wodę. Ale to wszystko było przeciwne jego duszy, w której czucie, zamiast wyładowywać się nazewnątrz, zapadało w jakieś wewnętrzne, zamknięte głębie.

A jednak, gdyby Marek był mniej dotknięty zachowaniem się kapitana, byłby może spostrzegł, że ów zwierzchnik wodzi za nim czasem oczyma tak, jakby starszy brat wodził za młodszym, bardzo kochanym. Z niektórych drobnych uczynków i krótkich słów byłby zmiarkował, że ten milczący, surowy oficer może nie zapomniał tej chwili, w której objęły go młode ramiona i łzy litośne zwilżyły mu zbolałe piersi. Ale Marek nie umiał ani odczuć tego, ani zmiarkować.

Spostrzegł natomiast co innego, co napełniło mu młode, dobre serce współczuciem, a mianowicie, że kapitan był niezmiernie ubogi. Mundur na nim był zawsze czysty, ale tak wytarty, że można było policzyć nitki, buty zaś w takim stanie, iż Twardek, majster do wszystkiego, musiał po jednym dniu

marszu przymocowywać do nich przez następne wieczory podeszwy, albowiem chciały koniecznie pozostać na drodze. Obaj młodzieńcy nie widzieli nigdy, żeby kapitan kupił co sobie do jedzenia lub picia poza zwykłą racją żołnierską, a że często wszyscy byli głodni, więc i on bywał głodny. Bieda srożyła się i między innymi oficerami, albowiem rząd cyzalpiński nie nadsyłał nigdy należnego żołdu w całości, a tem, co nadsyłał, dzielono się z kolegami nadliczbowymi. Marek miał jeszcze z tego, co mu wypłacił na odjezdnem szambelan, kilkadziesiąt czątych i z całej duszy pragnął udzielić coś z tego kapitanowi. Nieraz, przemagając obawę i wrodzoną nieśmiałość, zb'iżał się do niego, by mu zaofiarować pomoc. Ale już za pierwszym razem, gdy stanął przed nim, z piętami przy sobie i z dłonią podniesioną do czoła, zrozumiał, że przedział między szeregowcem a starszym oficerem jest tak wielki, iż nigdy nie zdoła go przekroczyć.

IX.

Z Orte do Rzymu jest przeszło dwanaście mil drogi, ale nawet między oficerami, zwłaszcza młodszymi, było wielu takich, którzy, nie znając odległości i nie mając map, sądzili, że lada chwila zobaczą siedm wzgórz i kopuły miasta. Mieli je ujrzeć znacznie później, ale tymczasem zeszli za miastem w dolinę Tybru i szli jego prawym brzegiem, pełni wzniosłych historycznych myśli. — Tyber!... Wiedzieli przecie, że taka rzeka płynie pod Rzymem we Włoszech, było to jednak dla nich dotychczas więcej wyrażenie i pojęcie szkolne. A teraz oto spoglądali na jego mętne, żółte fale, prawie oczom nie wierząc, i niejeden powtarzał sobie w duszy: „Jestem nad Tybrem!“ jakby samego siebie chciał o tem upewnić. Wspomnienia szkolne cisnęły im się tłumnie do głowy. Maszerując w szeregu, wśród karabinów, opartych o ramiona polskich żołnierzy, i wśród połysków słońca na bagnetach, myśleli o Eneidzie, o Eneaszu, o Lawinji, o okrętach, zmienionych w nimfy, i o Turnusie. Niektórzy, obdarzeni silniejszą pamięcią, deklamowali, ku wielkiemu zdziwieniu żołnierzy ustępy z Eneidy, starając się rytm heksametrów pogodzić z równym, grzmiącym

marszem szeregu. Wiatrz wiał dość silny, przyginając wierzchołki cyprysów; po niebie przelatywały chmurki, zraszając drogę krótko trwającym dżdżem, po którym rozbłyskiwało znów jasne słońce. Krajobraz to posępniał, to rozjaśniał się, jakby się śmiał do słońca. Potem chmury uciekły gdzieś nad morze, niebo wybłękitniało, wiatr ustał i uczynił się wielki spokój. Srebrne liście oliwek przestały szemrać nad głowami żołnierzy. Pinje stały na wysokościach bez ruchu, jakby zamyślone. Kompanje rozciągnęły się długim wężem po drodze i szły w kierunku Borghetto, mając wciąż u stóp Tyber. Rozległy się pieśni polskie, których echo skała odsyłała skale, wzgórze wzgórzu.

Żołnierze wytężali wzrok, zawsze w nadziei, że w południowej stronie nieba ujrzą kopułę Świętego Piotra, ale do Rzymu było jeszcze daleko, a tymczasem ujrzeli tylko wyszczerbioną Soracte. Wówczas w myślach Marka Wirgiljusz wraz z Eneaszem zasunęli się napowrót w głębiny wieków, a wysunął się z nich Horacy. Niektórzy oficerowie poczęli powtarzać nazwę góry, ukazując ją sobie rękoma, czemu dziwili się żołnierze, widzieli bowiem przy przejściu Apenin wynioślejsze i bardziej strome szczyty.

Ale już słońce przeszło w stronę Civita Vecchia i zniżało się ku zachodowi. Coraz czerwieńsze światło oblewało skały przydrożne. Gaje cyprysów przybrały barwę fioletową; wieże kościołów poczęły maścić się purpurą. Wstał znów powiew i szedł od morza, nasycony wilgocią i chłodem. Potem

słońce zaszło i ziemię ją otulać liljowy mrok. Tylko daleka Soracte świeciła długo jeszcze, jakby wielki stos płomienny.

Rzym obaczyły bataljony polskie dopiero za Monte Rotondo, po połączeniu się z temi oddziałami, które szły z Ankony przez Spoleto. Dywizja wyruszyła z Monte Rotondo o świcie i szła dawną via Salaria. Ranek czynił się rozkoszny, rosisty, promienny, przesycony zapachem kwiecia mimozy, na niebie nie było ani jednej chmurki, tylko nad ziemią unosiła się jakby złocista mgła subtelna i przezrocza, która raczej opromieniała niż przesłaniała skały, wzgórza, drzewa i domy. Nagle woddali, ponad tą mgłą rozbłysło coś w czystym błękicie. Wysoko na niebie zarysowały się kształty kopuły, jakby zawieszone nad ziemią, lekkie, strzeliste, choć nie bodliwe, — zarazem wielkie i wesołe, władne nad całą krainą jakąś radośną władą, potężne, a spokojne i ukojone, zlane zaś w tak cudny i nieodzowny ład z okolicą, ze wzgórzami, z majaczącemi szczytami dalszych gór, — iż zdawało się, że tej krainie nigdy nie mogło ich braknąć, i że wraz z nią wyszły one przed wiekami z rąk bożych.

Na ten widok w pierwszych szeregach maszerującej kolumny podniosły się głosy i szły jak echo w głąb, i głębiej aż do ostatniego szeregu, powtarzając dwa słowa:

— Święty Piotr, święty Piotr!

Od strony sztabu dano sygnał. Bataljony stanęły jak wkopane w ziemię. Wszystkie twarze zwróciły się ku kopule. Nastała cisza i w tej ciszy, w po-

rannych blaskach patrzyli ci polscy żołnierze z nad Warty, Wisły, Niemna, Buga i Dniestru na wielki, rzymski kościół świata.

. . . . . .

. . . . . .

Ogarnął ich nastrój całkiem uroczysty. Było między szeregowcami wielu takich, którzy nie umieli czytać i pisać, ale nie było ani jednego, któryby nie rozumiał, że oczy jego patrzą na „moc Bożą". Mówili im w czasie pochodów o tym kościele oficerowie i sierżanci, wiedzieli więc, że z niego „wiara płynie", i że jest on dla wszystkich innych kościołów, czyto w Polsce, czyto nie w Polsce, tem, czem kokosz jest dla kurcząt. Porównanie to trafiało doskonale do ich umysłów. To też i sami czuli się w tej chwili pisklętami, które idą przytulić się pod skrzydłami kokoszy. Z tego powodu ta daleka świątynia wydawała im się jakby czemś polskiem, czemś swojem i wraz z podziwem rodziła się w ich sercach do niej tęsknota.

UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA
3 0112 075960408